

**Diana PALMER**

# **PRZED ŚWITEM**

Przełożyła: Weronika Żółtowska

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Knoxville, stan Tennessee, maj 1994*

Cortez jak zawsze wyróżniał się z tłumu. Był wyższy od większości gapiów zgromadzonych wokół podium. Doskonale się prezentował w drogim, nienagannie skrojonym garniturze z kamizelką. Na śniadej, pociągłej twarzy miał kilka małych szram; oczy duże, ciemne, w kształcie migdałów, ocienione krótkimi rzęsami. Usta szerokie, ale wargi raczej wąskie, podbródek dumnie wysunięty do przodu. Gęste, kruczoczarne włosy sięgające niemal do pasa starannie zaczesał do tyłu i związał w kucyk. W ceremonii uczestniczyło kilku mężczyzn z długimi włosami, głównie białych. Cortez był Komanczem, więc nosił taką fryzurę nie dla kaprysu, lecz z szacunku dla tradycji, co sprawiało, że otaczała go aura pierwotnej, niemal groźnej zmysłowości.

Lekko łysiejący rudzielec z kucykiem i masywnymi okularami na nosie triumfalnym gestem uniósł kciuk. Cortez wzruszył ramionami i skupił się na obserwowaniu ceremonii wręczania dyplomów. Nie miał ochoty tu przyjeżdżać, więc dlaczego miałby zachowywać się przyjaźnie? Wolałby teraz siedzieć w Waszyngtonie i odrabiać zaległości w pracy. Miał huk roboty w związku z kilkoma federalnymi procesami, w których uczestniczył jako oskarżyciel.

Rektor uniwersytetu wyczytywał nazwiska absolwentów w kolejności alfabetycznej. Gdy doszedł do K, jako druga została wymieniona Phoebe Margaret Keller.

Był piękny wiosenny dzień, więc uroczystość wręczenia dyplomów absolwentom Uniwersytetu Stanowego w Tennessee odbywała się na świeżym powietrzu. Phoebe wyróżniały z grona kolegów długie jasne włosy o platynowym odcieniu, odcinające się od ciemnej togi. Przyjęła dyplom od dziekana, który uścisnął jej dłoń. Zeszła z podium i przełożyła frędzel wysokiej czapki z szerokim płaskim daszkiem na drugą stronę. Cortez widział z daleka jej promienny uśmiech.

Poznał Phoebe rok wcześniej, prowadząc śledztwo w sprawie naruszenia ustawy o ochronie środowiska. Była wtedy na czwartym roku antropologii. Trop prowadził do Charlestonu w Karolinie Południowej, Dzięki pomocy Phoebe odnalazł miejsce, gdzie składowano toksyczne odpady. Wpadła mu w oko, choć ubierała się jak chłopak. Niestety mieli wtedy mnóstwo roboty, więc zabrakło czasu na amory. Obiecał jej, że przyjedzie na uroczystość rozdania dyplomów i dotrzymał słowa. Co prawda skończyła studia, lecz dzieliła ich spora różnica wieku. Miał trzydzieści sześć lat,

Phoebe dwadzieścia trzy. Znał doskonale jej ciotkę Derrie, z którą współpracował kiedyś przy śledztwie w sprawie niebezpiecznego skażenia środowiska. Phoebe była córką nieżyjącego brata Derrie. Cortez przyjechał zatem na uroczystość jako przyjaciel rodziny.

Rektor nadal wyczytywał nazwiska i kolejni absolwenci odbierali swoje dyplomy. Wkrótce na podium stanął ostatni student. Zabrzmiały radosne okrzyki i posypały się gratulacje.

Cortez nie zwracał uwagi na rozradowany tłum. Trzymał się z boku i obserwował. Phoebe też nie garnęła się do wesołego towarzystwa. Podobnie jak Cortez, lubiła chodzić własnymi drogami. Jeśli zacznie szukać ciotki Derrie, prawdopodobnie zamiast torować sobie drogę przez tłum, okrąży wiwatującą gromadę. Spojrzał w stronę alejki prowadzącej wzdłuż budynków od podium ku uczelnianemu parkingowi. Wkrótce zobaczył Phoebe. Szła w jego stronę, omijając rzędy krzeseł. Przydepnęła brzeg za długiej togi, potknęła się i omal nie upadła.

Mamrotała, pomstując na krawca, który nie potrafił wziąć miary jak należy.

- Nadal mówisz do siebie? - zapytał Cortez, opierając się o ścianę, z rękoma założonymi na piersi.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Ogarnięta szaloną radością rozpromieniła się natychmiast a Cortezowi z wrażenia zaparło dech. Niebieskie oczy lśniły jak gwiazdy. Wstrzymała oddech, a po chwili z jej ust wyrwał się radosny krzyk.

- Cortez!

Po jej minie poznał, że wystarczyłaby niewielka zachęta, by podbiegła i rzuciła mu się w ramiona, toteż stanął na wysokości zadania. Odsunął się od ściany i szeroko rozłożył ręce.

Bez wahania podbiegła i wtuliła się w niego. Natychmiast zamknął ją w objęciach.

- Przyjechałeś - szepnęła radośnie, z głową przytuloną do jego ramienia.

- Przecież obiecałem - przypomniał. Roześmiał się ubawiony jej podekscytowaniem. Dotknął podbródka Phoebe, delikatnie unióś jej głowę i zajrzał w niebieskie oczy.

- Po czterech latach ciężkiej pracy dotarłaś do celu.

- Dobrze powiedziane. Skończyłam studia - odparła wesoło.

- I masz na to papiery - przytaknął żartobliwie. Popatrzył na różowa usta i spoważniał.

Najchętniej pochyliłby się nieco i skradł jej całusa, lecz było kilka powodów, dla których nie powinien tego robić. Walcząc z sobą, machinalnie przytulił ją mocniej. - Połamiesz mi kości - poskarżyła się cicho i zrobiła krok do tyłu.

- Wybacz. - Z przeproszającym uśmiechem odsunął się od niej. - Podczas treningów w Quantico dawali nam niezły wycisk. Czasami nie uświadamiam sobie własnej siły - odparł przeproszającym tonem, robiąc aluzję do lat spędzonych w FBI.

- Nie dostanę całusa? - przymlała się jak mała dziewczynka.

Ubawiony zmrużył oczy.

- Skończyłaś antropologię. Ty mi powiedz, czemu to niemożliwe.

- Plemiona indiańskie - zaczęła śmiało - a dotyczy to zwłaszcza mężczyzn, nie akceptują publicznego okazywania uczuć. Gdybyś mnie teraz pocałował, byłaby to dla ciebie kompromitacja porównywalna z publicznym striptizem.

Popatrzył na nią z rozrzewnieniem.

- Znakomita odpowiedź. Twoi nauczyciele odwalili kawał dobrej roboty.

- Fakt. Jestem świetna. I co z tego? W Charlestonie nie ma dla mnie odpowiedniej pracy. Skończę jako nauczycielka...

- Ależ skąd - zaprzeczył stanowczo. - Przyjechałem między innymi po to, żeby zaproponować ci pracę.

Spojrzała na niego roziskrzonymi oczyma.

- Naprawdę?

- W Waszyngtonie - dodał. - Jesteś zainteresowana?

- No pewnie. - Kątem oka dostrzegła znajomą postać. - O! Ciocia Derrie! - zawołała. - Ciociu! Jestem magistrem! Oto dowód! - Po - machała upragnionym trofeum i podbiegła, że - by uściskać ciotkę, która przyjechała w towarzystwie senatora Clayтона Seymoura. Senator Seymour przez wiele lat był szefem Derrie, a niedawno zaręczył się z nią.

- Cieszymy się razem z tobą - zapewniła serdecznie ciotka. - Cześć, Cortez! Znasz Clayтона, prawda?

- Tylko z widzenia - odparł Cortez i podał rękę senatorowi, który uśmiechnął się przyjaźnie.

- Wiele o panu słyszałem od Kane'a Lombarda, mojego szwagra. Chciał tu dziś przyjechać z moją siostrą Nikki, ale ich bliźniaki złapały jakąś infekcję. Kane nie zapomniał, ile panu zawdzięcza. Zawsze płaci swoje długi.

- Zrobiłem, co do mnie należało. To moja praca.

- Co z Haralsonem? - spytała zaciekawiona Derrie, nawiązując do wielkiej wpadki notorycznego przestępcy, który nielegalnie składował toksyczne substancje. Po tamtej aferze Clayton Seymour omal nic stracił senatorskiego fotela, a Kane Lombard swojej firmy.

- Dostał dwadzieścia lat. - Cortez wcisnął ręce w kieszenie i uśmiechnął się krzywo. - Są sprawy, do których szczególnie się przykładam. Taki wyrok daje prokuratorowi wyjątkową satysfakcję.

- Pracujesz w prokuraturze? - zapytała Derrie. - Gdy widzieliśmy się rok temu w Charlestonie, wspomniałeś, że jesteś z CIA.

- Pracowałem w CIA. Byłem też w FBI - odparł. - Od kilku lat jestem prokuratorem federalnym.

- Jak doszło do tego, że tak szybko i skutecznie rozprawileś się z oszustami nielegalnie składującymi toksyczne odpady?

- Miałem fart, to wszystko - odparł gładko.

- To oznacza, że nic więcej na ten temat nie powie - mruknęła ironicznie Phoebe. - Daj spokój, ciociu.

Clayton zerknął na nią z jawnym zainteresowaniem, więc wyjaśniła pośpiesznie:

- Cortez i ja przyjaźnimy się od pewnego czasu. Ma nosa. Dzięki jego śledczym talentom uratował pan swój fotel.

- Słuszna uwaga - przyznał Clayton i trochę się rozluźnił - Niewiele brakowało, bym wszystko spaprał. - Popatrzył serdecznie i czułe na Derrie, która się rozpromieniła. Po chwili zapytał: - Kiedy pan wyjeżdża? Gdyby zechciał pan zostać nieco dłużej, chętnie zaprosilibyśmy pana na kolację. Phoebe idzie z nami do restauracji, żeby świętować otrzymanie dyplomu. - Bardzo żałuję, ale czas mnie goni - odparł powściągliwie. - Dziś wieczorem muszę być w Waszyngtonie.

- Rozumiem. A więc tam się zobaczymy - odparła Derrie, mocno zdziwiona, że Cortez i jej bratanica wydają się sobą bardzo zainteresowani.

- Muszę porozmawiać z Phoebe na osobności - powiedział, zwracając się do niej i do Claytona. - Porywam ją na godzinę.

- Proszę bardzo - zgodziła się Derrie.

- Wrócimy do hotelu, wypijemy kawę, zjemy po ciastku i odpoczniemy do szóstej, a potem zabierzemy cię na kolację, zgoda, Phoebe?

- Dzięki - odparła. - Aha, weź moją togę i czapkę! - Zdjęła pośpiesznie galowy

strój i oddała ciotce.

- Chwileczkę, o ile mnie pamięć nie myli najlepsi absolwenci zostali zaproszeni na uroczysty obiad u dziekana.

- Nikt nie zauważy, że się urwałam - odparła bez namysłu Phoebe, pomachała jej i ruszyła za Cortezem.

- No proszę, na dodatek jesteś prymuską - mruknął, idąc w stronę parkingu, gdzie zaparkował wynajęty samochód - - Prawdę powiedziawszy, wcale mnie to nie dziwi.

- Antropologia to moja pasja - odparła szczerze, zatrzymała się, widząc koleżankę z roku. Pogratulowały sobie nawzajem. Phoebe była tak szczęśliwa że niemal unosiła się w powietrzu.

- Gratuluję pomysłu - mruknął chłopak koleżanki, nim rozeszli się w przeciwne strony. Zerknął na Corteza. - Zabrałaś na rozdanie dyplomów żywy materiał źródłowy.

- Bill - skarciła aroganta jego oburzona dziewczyna. Dostał kuksańca.

Phoebe omal nie zachichotała. Cortez zachował kamienną twarz, ale nie wybuchnął gniewem. Spiorunował ją tylko wzrokiem.

- Przepraszam - mruknęła. - Zwariowany dzień. Wszystkim odbija.

Cortez wzruszył ramionami.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. Pamiętam, jak czułem się po obronie pracy i otrzymaniu dyplomu.

- Skończyłeś prawo, tak? Potwierdził skinieniem głowy.

- Twoja rodzina przyjechała na uroczystość rozdania dyplomów? - wypytywała zaciekawiona.

Milczał, ale nie przejęła się drobnym afrontem, który prawdopodobnie miał jej dać do myślenia.

- Znowu coś palnęłam. Teraz jestem dla ciebie jak zadżumiona - odparła rezolutnie. - A już myślałam, że mi się poprawiło!

Niespodziewanie parsknął śmiechem.

- Bywasz niepoprawna. Dobrze pamiętam, że nie dało się ciebie okiełznać. - A ja nie mogę się nadziwić, że w ogóle mnie zapamiętałeś - odparła. - Nie do wiary, chciało ci się sprawdzić, kiedy i gdzie odbędzie się uroczystość, żeby tu przyjechać. Nie mogłam wysłać zaproszenia - dodała trochę zmieszana - bo nie miałam twojego adresu. Nie oczekiwałam, że przyjedziesz. Na palcach jednej ręki można policzyć godziny, które spędziliśmy razem w ubiegłym roku.

- Owszem, ale okazały się pamiętne, choć nie przepadam za kobietami - odparł, gdy stanęli przy wynajętym samochodzie, nierzucającym się w oczy, stosunkowo nowym, amerykańskiej produkcji. Cortez odwrócił się, obrzucił ją poważnym spojrzeniem i dodał rzeczowo:

- Szczerze mówiąc, nie lubię takich spędów, bo wszyscy się na mnie gapią.

- W takim razie co tu robisz? - Pytając uniosła brwi.

- Jestem, bo cię polubiłem. - Wcisnął ręce w kieszenie i zmrużył ciemne oczy. -

A wolałbym nie.

- Serdeczne dzięki! - odparła zirytowana.

- Moim zdaniem w związkach najważniejsza jest szczerłość i uczciwość. - Przyglądał jej się uważnie.

- Coś nas łączy? - spytała z miną niewiniątka. - Nie zauważyłam.

- Gdyby rzeczywiście coś nas łączyło, nie miałabyś żadnych wątpliwości. - Skrzywił się lekko i dodał przyciszonym głosem: - Jestem, bo obiecałem ci, że przyjadę. Co do oferty pracy, mówiłem poważnie - dodał. - Propozycja jest aktualna, choć raczej nietypowa.

- Chcesz powiedzieć, że nie chodzi o porządkowanie zakurzonych muzealnych zbiorów? Cóż za rozczarowanie!

Cortez roześmiał się na całe gardło, otworzył drzwi auta od strony pasażera i z jawną pobłażliwością czekał, aż Phoebe zechce wsiąść.

- Komediantka!

- Działam ci na nerwy, co? - zapytała, sadowiąc się na fotelu.

- Większość ludzi ma dość rozumu żeby nie wspominać zbyt często o moich korzeniach.

- Dlaczego? - spytała. - Jesteś szczęściarzem, bo żyjesz w czasach, gdy indiańskie dziedzictwo zostało wreszcie docenione, a stereotypy legły w gruzach.

- Ha!

- Dobrze, już dobrze. Sytuacja wcale nie wygląda tak różowo, ale przyznaj, że społeczeństwo jest teraz mądrzejsze niż dziewięćdziesiąt lat temu.

Cortez uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Prowadził pewnie, jechał szybko. Wszelkie jego działania cechowała oszczędność wydatkowanej energii. Sięgnął ręką do kieszeni i skrzywił się zabawnie.

- Czego szukasz? - zapytała.

- Papierosów - odparł ponuro. - Zapomniałem, że znowu rzucam palenie.

- Twoje płuca i mózg docenią ogrom wyrzeczeń.

- Moje płuca nie mają tu nic do gadania.

- A ja jestem w bardzo dobrej komitywie z moimi - odparła rezolutnie. - Nieustannie słyszę: tylko nie pal, tylko nie pal...

- Gadasz jak najęta - powiedział z uśmiechem. - Kto by pomyślał, że wyrośniesz na taką paplę!

- Nie wyczuleś sprawy, bo od ślęczenia z nosem w prawniczych kodeksach całkiem straciłeś zdolność empatii. Jak można czytać takie nudne, bezduszne tomiska?

- Prawo nie jest nudne - odparł.

- Zależy dla kogo. - Nagle spoważniała. - Wspomniałeś o posiadzie dla mnie. Co to za praca? Mam nadzieję, że nie wymaga prawniczego przygotowania. Chodziłam na zajęcia z nauk społecznych i historii, ale trwały zaledwie jeden semestr, więc...

- Nie potrzebuję prawnika - wtrącił.

- A kogo?

- Nie będziesz pracowała ze mną - tłumaczył. - Mam znajomych w fundacji walczącej o pełną autonomię dla plemion indiańskich. Zatrudniają swoich adwokatów. Pomyślałem, że przyda im się także antropolog, wykorzystałem więc swoje kontakty, żeby umówić cię na rozmowę.

Zamilkła na kilka chwil, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

- Mam wrażenie, że o czymś zapomniałeś. Specjalizuję się w antropologii, a to oznacza, że badam głównie kości i znaleziska archeologiczne.

- Bardzo dobrze, ale nie licz na to, że będziesz dla nich prowadzić wykopaliska.

- Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Co miałabym robić? - Popatrzyła w okno. - To posada biurowa - przyznał - lecz zapowiada się ciekawie.

- Doceniam, że o mnie pomyślałeś - zaczęła, uważnie dobierając słowa - ale nie zamierzam rezygnować z pracy w terenie. Dlatego wolałabym zostać na uczelni albo zatrudnić się w jednym z rządowych instytutów i nadal uczestniczyć w wykopaliskach.

Cortez długo nie odpowiadał.

- Chyba wiesz, co Indianie myślą o archeologach. Nie przepadamy za obcymi, którzy rozkopują cmentarze i wyciągają z ziemi naszych krewnych, choćby to byli przodkowie sprzed wieków.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Nie mam sklerozy i właśnie odebrałam



dyplom - przypomniała ironicznie. - Archeologia nie polega wyłącznie na rozkopywaniu starych cmentarzysk!

Zatrzymał się, widząc czerwone światło, i popatrzył na nią z dezaprobatą.

- Moje obiekcje, jak widzę, nie zniechęcą cię do pracy w terenie. A przecież zakłócasz wieczny spoczynek naszych przodków.

- Nigdy nie bezczeszczę grobów! - Westchnęła zirytowana. - Na miłość boską...

Przerwał jej, unosząc dłoń.

- Nie warto się kłócić, Phoebe. Mamy w tej kwestii odmienne zdania. Nie przekonasz mnie, a ja nie przekonam ciebie. Szkoda, że moja propozycja nie przypadła ci do gustu. Byłabyś dla nich prawdziwym skarbem.

- Dzięki, że mnie poleciłeś, ale praca przy biurku to nie dla mnie. - Odprężyla się nieco. - Poza tym za parę miesięcy, gdy nieco odetchnę po czteroletniej harówce, prawdopodobnie zacznę studia podyplomowe.

- Pamiętam, jak skarżyłaś się, że tyrasz niczym niewolnica.

- Dlaczego poleciłeś mnie znajomym? Na pewno jest mnóstwo chętnych, i to o wiele wyższych kwalifikacjach.

Odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Tak, jakby ukrywał coś na dnie serca.

- Może czuję się samotny? - odparł krótko. - Niewielu ludzi zachowuje się w mojej obecności zupełnie swobodnie. Większość trzyma się na dystans.

- To cię martwi? Przecież nie lubisz zbyt bliskości - odparła.

Z ciekawością obserwowała jego surowy profil. Na śniadej twarzy dostrzegła nowe bruzdy, których nie było w ubiegłym roku.

- Coś cię trapi - powiedziała niespodziewanie. - Martwisz się, prawda?

- Słucham? - rzucił szorstko.

Nie zwróciła uwagi na opryskliwą wyniosłość i mówiła dalej, zastanawiając się na głos.

- Nie chodzi o pracę. To sprawa osobista...

- Dość - przerwał stanowczo. - Jesteśmy tutaj, żeby pogadać o posadzie dla ciebie, a nie o moim prywatnym życiu.

- Rozumiem... Tajemnica. Bardzo ciekawe. - Przyglądała mu się z uwagą. - Nie chodzi przypadkiem o kobietę?

- Mam tylko ciebie.

- A to dobre! - Niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

- Mówię poważnie. Nie romansuję i z nikim się nie umawiam. - Zerknął na nią, a potem skręcił w najbliższą przecznicę. - Dla ciebie robię wyjątek, ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Mężczyzna powinien dbać o reputację.

- Zapamiętam sobie twoje słowa. - Uśmiechnęła się szeroko.

Wjechał na parking znanego hotelu w którym znajdowała się restauracja słynąca z dobrej kuchni.

- Mam nadzieję, że zgłodniałaś. Nie jadłem śniadania.

- Ja też. Nerwy - wyjaśniła. Zaprowadził ją do sali, w której było niewielu gości. Usiedli przy oknie. Gdy przejrzel menu i złożyli zamówienie, Cortez usiadł wygodnie i ponad blatem stolika przyglądał się Phoebe z jawną ciekawością.

- Tusz mi się rozmazał? - spytała po minucie, choć nie była umalowana. Roześmiał się cicho.

- Nie. Uświadomiłem sobie, jaka ty jesteś młodziutka.

- W dzisiejszych czasach nikt nie jest na nic za młody - sprzeciwiła się. Pochylona do przodu oparła łokcie o blat stolika, a podbródek na dłoniach, i obserwowała go przez chwilę. - Nie duś tego w sobie - zachęcała kpiąco. - Wiem, że po raz pierwszy w życiu trafiłeś na osobę, przy której czujesz się nieswojo.

- To ma być twój największy atut? - spytał zdziwiony.

- No pewnie! Ale mniejsza z tym. Mówmy o tobie. Jesteś skryty i zamknięty w sobie. Tłumisz uczucia i nie chcesz się do nich przyznać, bo uważasz je za przejaw słabości. Prawdopodobnie kiedy byłeś młodszy, zostałeś głęboko zraniony.

- Przestań się mądrzyć - ostrzegł łagodnie, lecz stanowczo.

- Im więcej czasu będziemy spędzać we dwoje, tym bardziej będę się mądrzyła - usłyszał w odpowiedzi.

Z powagą analizował jej słowa. Na pewno nie zadowoliliby się przelotną znajomością. Nazywała rzeczy po imieniu i zmierzała prostą drogą do celu. Cortez czuł i myślał podobnie, ale cechowała go nieufność, bo raz się sparzył, kiedy dziewczyna poderwała go wyłącznie z ciekawości.

- Byłem dla jednej takiej interesującym okazem w kolekcji mruknął. - Rozumiesz?

Spochmurniał, a oczy mu pociemniały. Wolno pokiwała głową.

- Dorodny i przystojny tubylec został natychmiast zaprezentowany wszystkim jej znajomym, prawda?

Zacisnął zęby, a oczy zabłysły mu gniewnie.

- Tak podejrzewałam - dodała półgłosem, obserwując grę uczuć na jego twarzy.  
To był rzadki i nadzwyczaj ciekawy widok.

- Zależało jej na tobie choć trochę?

- Szczerze wątpię.

- Zapewne bez skrupułów dała ci to do zrozumienia, i to przy świadkach.

Kiwnął głową.

- Bardzo mi przykro - szepnęła. - Życie bywa okrutne.

- I tobie dało to nauczkę? - zapytał prosto z mostu.

- Owszem, ale nie taką - przyznała, bawiąc się widelcem. - Wobec mężczyzn jestem nie. śmiała. Koledzy ze studiów traktowali mnie jak kumpla albo przyszywaną siostrę. Wykopaliska nie sprzyjają romantycznym porywom.

- Moim zdaniem w zabłoconych butach i zbyt obszernej kurtce musisz wyglądać bardzo apetycznie.

- Nie zaczynaj! - Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

Ciemne oczy prześlizgnęły się po luźnej sukience z koronkowym kołnierzykiem pod szyją i długimi, szerokimi rękawami ujętymi w wąski mankiet. Marszczona spódnica sięgała niemal do kostek. Wystawały spod niej skromne czółenka w stylu retro. Jasne włosy o platynowym odcieniu zaplecione były w warkocz. Phoebe prawie się nie malowała. U nasady nosa miała kilka piegów.

- Wiem, że nie jestem ładna - wymamrotała, zbita z tropu jego uważnym spojrzeniem, - Mam chłopcę figurę.

- Nadal jesteś na tyle naiwna, by sądzić, że wygląd jest najważniejszy?

- Wystarczy przeciętna inteligencja, by zauważyć, że spośród dziewczyn z roku największe wzięcie mają ślicznotki.

- Na początku.

- Zapewniam cię, że mało jest chłopaków gotowych przez cały wieczór słuchać o pasjonujących znaleziskach, takich jak skorupy misy zdobione ornamentem roślinnym albo cybuch kamiennej fajki. - Stanowisko w dorzeczu Missisipi - wtrącił. Dyskutowali o tym przed rokiem.

- Zapamiętałeś! - ucieszyła się.

- Też miałem zajęcia z antropologii kulturowej - odparł, z uśmiechem patrząc na jej rozpromienioną twarz. Po chwili dodał z naciskiem: - Ale nie zajmowałem się znaleziskami kostny - mi. Żadnych szkieletów. Sama widzisz, że w dziedzinie antropologii nie jestem ekspertem, ale sporo się nauczyłem, więc możemy pogadać.

- Nie wspomniałeś o tym w Charlestonie - odparła.

- Po co miałem opowiadać takie rzeczy, skoro nie sądziłem, że znowu się spotkamy?

Nie zamierzał przyjeżdżać na dzisiejszą uroczystość. Teraz wahał się, czy cieszyć się, czy żałować, że zmienił zdanie. Ciemne oczy spotkały się z błękitnymi. - Życie jest pełne niespodzianek.

Popatrzyła na niego i zrobiło jej się ciepło na sercu. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby uświadomiła sobie, że z nikim dotąd nie czuła się równie mocno związana.

Kelnerka przyniosła sałatki, a potem steki z warzywami. Jedli w milczeniu. Wrócili do rozmowy dopiero przy szarlotce i kawie.

- Jeśli chodzi o uczucia, nie masz żadnych obaw ani lęków, prawda? - zapytał, kończąc drugą filiżankę kawy - Emocjonalne katastrofy jak dotąd cię omijały.

- Przepraszam bardzo! - obruszyła się żartobliwie. - Na pierwszym roku podkochiwałam się w jednym przystojniaku, ale on wolał ślicznego chłopaka z kulturoznawstwa.

Cortez parsknął śmiechem.

- Biedna Phoebe.

- Ciągle mam takie problemy - wyznała. - Nie jestem szczególnie atrakcyjna. Najchętniej biegam w dzinsach i bawełnianej bluzie a moje ulubione zajęcie to wykopaliska.

- I bardzo dobrze. Powinnaś robić to, co lubisz. Kobieta może teraz być, kim zechce. Nie potrzebuje stroić się w koronki i epatować bezradnością.

- Twoim zdaniem dawniej to było konieczne? - spytała z ciekawością. - Z moich lektur wynika, że sprawy miały się inaczej. Na przykład Elżbieta I albo Izabela Kastylijska. W szesnastym wieku żyły po swojemu i rządziły ówczesnymi mocarstwami.

- Ale to wyjątki - przypomniał. - Z drugiej strony w niektórych plemionach indiańskich kobiety miały często własny majątek i zasiadały w radzie starszych, współdecydując o pokoju i wojnie. U nas był zawsze matriarchat.

- Wiem. Skończyłam antropologię.

- Tak. Coś mi się obilo o uszy.

Roześmiała się cicho. Palcami wodziła po deseniach filiżanki.

- Będziemy się spotykać, jeśli uda mi się przenieść do Waszyngtonu i zaczepić

w tamtejszym instytucie antropologii? - Raczej tak - odparł. - Przy tobie potrafię się wyluzować, choć nie wiem, czy to mi służy.

- Dlaczego jesteś spięty? Banda zagranicznych szpiegów depta ci po piętach? Chcą cię ukatrupić?

- Nie sądzę - odparł z uśmiechem i rozparł się na krześle. - Choć dawniej miałem do czynienia z wywiadem.

- Byłam tego pewna. - Spojrzała mu w oczy. - Życie w Waszyngtonie jest drogie?

- Nie za bardzo, o ile się oszczędza. Pomogę ci wynająć mieszkanie. Żeby było taniej, powinnaś pomyśleć o współlokatorach.

- Jesteś zainteresowany? - spytała ze wzrokiem utkwionym w filiżance.

- Nie - odparł po chwili wahania.

- Żartowałam - mruknęła z uśmiechem. Gdy ujął jej dłoń, poczuła miły dreszcz.

- Nie spieszmy się - oznajmił stanowczo. - Przekonasz się wkrótce, że niczego nie robię pochopnie. Nim zacznę działać, muszę wszystko przemyśleć.

- To chwalebna cecha, zwłaszcza u agenta FBI, którego przestępca trzyma na muszce - zauważyła, kiwając głową. Puścił jej dłoń i zachichotał.

- Oj Phoebe, Phoebe! Jak coś palniesz...

- Przepraszam, tak mi się wyrwało. Już nie będę gadać bzdur. Obiecuję.

- Nigdy nie zapomnę pierwszych słów, które od ciebie usłyszałem - powiedział, kręcąc głową. - Zapytałaś, jaki kształt mają moje siekacze.

- Przestań! - jęknęła.

Chwycił ją za długi warkocz i lekko pociągnął.

- Nie lubię, kiedy zaplatasz włosy. Tak miło ich dotykać, gdy są rozpuszczone.

- Wiem, co czujesz odparła, spoglądając znacząco na jego kucyk.

- Musimy kiedyś oboje rozpuścić włosy i sprawdzić, kto ma dłuższe mruknął z szerokim uśmiechem.

- Twoje są o wiele gęstsze niż moje - zauważyła, wyobrażając go sobie z włosami opadającymi na plecy. Gdy rok temu pracowali razem w strefie skażenia, były rozpuszczone. Pamiętała, że stali na brzegu rzeki, całując się zachłannie, jakby zamierzali trwać tak do końca świata. Gdyby im nie przerwano, kto wie, do czego by doszło. Zarumieniła się, wspominając tamte chwile. Głaskała wtedy ciemne, jedwabiste włosy, a Cortez przyłgął do niej całym ciałem...

- Przestań - mruknął ostrzegawczo, zerkając na złoty zegarek. - Muszę zdążyć

na samolot.

Odchrząknęła i wróciła do rzeczywistości, starając się ukryć zmieszanie i rozczarowanie. Udawał, że niczego nie widzi.

Po obiedzie odwiózł ją do hotelu, gdzie zatrzymała się wraz z Claytonem i Derrie. Zaparkował pod rozłożystym klonem daleko od drzwi i odwrócił się do niej. Gdy siedzieli, różnica wzrostu jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Phoebe ledwie sięgała głową do podbródka Corteza. Nie miał pojęcia, czemu tak go to podnieca.

- Mam osobny pokój - wymamrotała, nie podnosząc wzroku. - Clayton i Derrie jeszcze nie wrócili.

- Nie wejdę - odparł zdecydowanie. - Czas mnie goni.

- Chciałabym, żebyś został i poszedł z nami na kolację.

- Mam rozgrzebaną sprawę, która jest dość pilna. Jednodniowa zwłoka to wszystko, na co mogłem sobie pozwolić.

- Prawdę mówiąc, nic o tobie nie wiem - oznajmiła niespodziewanie, - Przedstawiłeś mi się jako agent FBI Derrie słyszała, że pracujesz dla CIA, a teraz okazało się, że jesteś prokuratorem. Tajemniczy z ciebie facet.

- Owszem, ale nie łgarz - odparował natychmiast. - Opowiedziałbym ci o sobie to i owo, gdybyśmy mieli więcej czasu, ale poznaliśmy się w takich okolicznościach, że nadmierna szczerość nie była wskazana. Dzisiaj zjawilem się tu wbrew zdrowemu rozsądkowi. Jestem dla ciebie za stary, zbyt doświadczony. Ty entuzjasmujesz się namiętym pocałunkiem, a mnie od dawna nie bawią takie wiktoriańskie zaloty.

Zarumieniła się, ale śmiało spojrzała mu w oczy.

- Inaczej mówiąc, gdybyśmy przed rokiem mieli więcej czasu, przespałbyś się ze mną, tak?

Spojrzenie czarnych oczu prześlizgnęło się po jej twarzy.

- Owszem, mam na to wielką ochotę, dlatego zamiast iść z tobą na górę, pojedę na lotnisko i odlecę do Waszyngtonu.

Nie była pewna, co o tym myśleć - Spojrzała mu prosto w oczy. - Może jednak zapytasz - zaproponowała.

- O co?

- Czy chciałabym się z tobą przespać - wyjaśniła szczerze.

- Odpowiedź mogłaby wprowadzić mnie w zakłopotanie.

Przyjrzała się jego pociągłej twarzy i ostrym rysom.

- Masz kogoś?

- Jestem tradycjonalistą - oznajmił i pogłaskał ją po policzku. - I nie lubię kłamać. Było w moim życiu kilka kobiet. Raczej niewiele, ale każda coś dla mnie znaczyła. Większość nadal ze mną rozmawia, i to całkiem przyjaźnie.

Westchnęła ciężko i próbowała się uśmiechnąć, chociaż oczy miała smutne.

- Wolalabym, żebyś został dłużej - wyznała szczerze - ale nie będę próbowała wzbudzić w tobie poczucia winy. Dzięki, że przyjechałeś na rozdanie dyplomów. To bardzo miły gest.

- Jesteś dziewczyną z zasadami - powiedział. - Zdajesz sobie sprawę, że trudno pogodzić nasze style życia. To dwie odmienne kultury, Phoebe. Za bardzo się różnimy. Skończyłaś antropologię, toteż nie muszę ci tłumaczyć, o co mi chodzi.

- Na miłość boską! Przestań dramatyzować! Przecież ci się nie oświadczam! - wybuchnęła.

- I bardzo dobrze - mruknął. - Wziąłem ślub ze swoją pracą. Ale gdybyś potrzebowała kochanka, daj mi znać.

- Serdeczne dzięki. - Spiorunowała go wzrokiem.

- Ja tylko głośno myślę - odparł z roztargnieniem. - Tak czy inaczej możesz mnie uważać za dobrego przyjaciela, o ile kogoś takiego ci potrzeba. Waszyngton to wielkie miasto z mnóstwem atrakcji. W razie jakichkolwiek problemów przybędę na pomoc.

Przyglądała się jego zdecydowanym rysom znamionującym dojrzałość i życiowe doświadczenie. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej jej się podobał. Z całego serca pragnęła zatrzymać go przy sobie na całe życie. Ledwie ich znajomość odżyła, znalazła się ponownie w impasie. Nie widzieli się prawie rok, a już musieli się rozstać. Dzielił ich nie tylko styl życia, korzenie i dziedzictwo kulturowe, lecz także plany i zamierzenia. Spora różnica wieku dodatkowo komplikowała sprawę. Jednak Cortez był taki męski. Z tajemniczym uśmiechem wodziła zaborczym spojrzeniem po jego śniadej twarzy.

- Pożalujesz, jeśli nadal będziesz patrzeć na mnie w ten sposób - ostrzegł żartobliwie, podnosząc gęste brwi.

- Obiecanki cacanki. - Wzruszyła ramionami.

- Jeśli coś ci obiecuję, na pewno dotrzymam słowa. Gratuluję ukończenia studiów. Jestem z ciebie dumny.

- Raz jeszcze serdecznie dziękuję, że chciało ci się lecieć tak daleko i zobaczyć, jak odbieram dyplom. To wiele dla mnie znaczy. - Z westchnieniem zajrzała mu w

oczy. - Nienawidzę takich imprez.

Chwycił długi warkocz i łagodnie pociągnął, aż jej głowa opadła na zagłówek. Pochylił się nad nią i szepnął z ustami tuż przy jej wargach: - Tutaj jest pusto. Nie ma gapiów. Skradł jej całusa. Nim ochłonęła, wyprostował się i puścił warkocz. Natychmiast skarcił się w duchu za ten przejaw słabości. Nie zamierzał jej całować. Ta cała wyprawa również była sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem, ale nie potrafił oprzeć się pokusie.

Phoebe wpatrywała się w niego jak łakoma kotka w miseczkę tłustej śmietanki.

- Co jest? - rzucił zaczepnie. - Jakiś problem? Coś ci się nie podoba?

- Tak. To już wszystko? - spytała rezolutnie.

- Nie stać cię na więcej?

- Proszę? - zdziwił się. Westchnęła i pogłaskała go po policzku.

- Chcąc, nie chcąc, porównuję to anemiczne cmoknięcie z namiętym pocałunkiem, którym swego czasu obdarzyłeś mnie nad rzeką - odparła śmiało.

Popatrzył na nią z wywyższością.

- To było przed rokiem. Teraz sytuacja się skomplikowała.

- Tak? - mruknęła, zachęcając go w ten sposób do zwierzeń.

Zastanawiał się przez chwilę, wodząc palcem po jej uchu.

- Mam brata - powiedział. - Na imię mu Izaak. Jest ode mnie młodszy o czternaście lat. Mniej więcej w twoim wieku. Rodzicom i mnie udało się przepchnąć go przez szkołę średnią, ale od matury raz po raz wchodzi w konflikt z prawem. Teraz ma problem z dziewczyną. Nasza matka choruje na serce, ojciec i ja boimy się, że kłopoty odbiją się niekorzystnie na jej zdrowiu.

Phoebe współczuła mu, a zarazem pochlebiała jej że opowiedział jej o swoich kłopotach.

- Żałuję, że nie mam rodzeństwa, choć prawdopodobnie czasami mocno daje się we znaki - wyznała.

- Twój ojciec nie żyje, prawda? - Uśmiechnął się przyjaźnie. - A co z matką?

- Zmarła na raka, kiedy miałam osiem lat - wyjaśniła spokojnie. - Ojciec powtórnie się ożenił. Sześć lat temu zginął w Libanie podczas ataku na koszary piechoty morskiej. Macocha znalazła sobie nowego męża. Nie widziałam jej od lat. Mam tylko dziadków i ciocię Derrie.

Cortez spochmurniał. Zwierzała się nie po to, żeby wzbudzić w nim litość. Wcale nie był sentymentalny, ale zrobiło mu się smutno, bo bardzo sobie cenił więzy



rodzinne. Dla najbliższych gotów był na wszystko.

- O kurczę! Co ja gadam? Nie o to mi chodziło - zreflektowała się, kpiąc z samej siebie. Wybuchnęła śmiechem i popatrzyła na Corteza, unosząc brwi. - Zechcesz wejść na górę i bez żadnych zabezpieczeń szaleńczo kochać się ze mną na dywanie?

Popatrzył na nią z jawnym rozbawieniem. A to dopiero mała szelmutka!

- Wiesz co? Jedna koleżanka mówiła, że można się zabezpieczyć, używając...

Gestem nakazał jej, by natychmiast zamilkła.

- Dość! - rzucił stanowczo, z trudem tłumiąc śmiech. - Żadnych niemoralnych propozycji. Ja pasuję.

Phoebe westchnęła z rezygnacją.

- A co ze mną? - zapytała ze wzrokiem utkwionym w desce rozdzielczej. - Narażasz mnie na śmieszność. Jak mam wypełnić kwestionariusz, gdy będę starać się o pracę?

- Słucham? - Pochylił się w jej stronę.

- Formularz zawiera rubrykę „płeć”. Będę musiała napisać, że jestem bezpłciowa, ponieważ jedyny facet, na którego mam ochotę, odmówił współpracy, bo nie uznał mnie za prawdziwą kobietę.

Cortez parsknął śmiechem i pokręcił głową. - Zabieraj się stąd! Ale już! - Sięgnął do klamki u drzwi od strony pasażerki.

Znaleźli się nagle twarzą w twarz, bo wbrew jego oczekiwaniom Phoebe się nie odsunęła. Ich usta dzielił zaledwie cal. Z tej odległości widziała wyraźnie czarne obwódki wokół ciemnobrunatnych źrenic Corteza i czuła jego oddech pachnący miętą. Odruchowo rozchyliła usta. Palcami zimnymi jak lód dotknęła jego szyi.

- W ostatnim semestrze miałam trzy randki, za każdym razem z innym chłopakiem - szepnęła. - Musiałam zaciskać zęby, żeby wytrwać, kiedy całowali mnie na dobranoc.

- Do czego zmierzasz?

- Przy innych facetach nic nie czuję. - Spojrzała na niego wymownie.

- Kochanie, jesteś bardzo młoda - powie - dział cicho i łagodnie. Opuszkami palców musnął jej wargi. Nie zdawał sobie sprawy, że wymknęło mu się czułe słówko. Jego twarz przybrała wyraz powagi. - Na pewno poznasz kogoś...

- Już poznałam, ale znów mnie opuszcza - wymamrotała.

- Mam pilną robotę - przypomniał i delikatnie pocałował ją w usta. - Czeka na mnie mnóstwo spraw. To nie jest wymówka.

- Idę o zakład, że obywasz się bez urlopu - szepnęła z ustami przy jego wargach. Pocałowała go, jakby chciała odwlec moment rozstania.

- Raczej tak. - Zębami przygryzł dolną wargę Phoebe i przesunął po niej językiem. Serce zaczęło mu nagle kołatać. Zareagował na jej bliskość z intensywnością, do której nie był przyzwyczajony. Machinalnie objął dłonią smukły kark i wsunął palce w jasne włosy. Uniósł jej twarz i zajrzał w niebieskie oczy.

- To nie jest dobry pomysł - mruknął, dotykając wargami rozchylonych ust Phoebe.

Namiętny pocałunek wprowadził ją w stan euforii. Objęła go za szyję, zapominając o przechodniach, którzy lada chwila mogli się pojawić na parkingu. Na szczęście Cortez postawił auto w zacisznym kącie, gdzie mało kto zaglądał. Zresztą nawet gdyby ktoś ich zobaczył, wcale by się tym nie przejęła. Pragnęła go aż do bólu.

Jęknął, wsuwając język między jej zęby. Dłonią przesunął po bokach i dotknął piersi, ostrożnie poznając ich kształt. Kciukami delikatnie pieścił twarde sutki.

Phoebe zadrżała.

Uniósł głowę i spojrzał prosto w zamglone, błyszczące oczy. Pożądał jej, nie umiał tego ukryć. Zaciśnął palce i zobaczył, jak pod wpływem rozkoszy rozszerzają się jej źrenice.

- Gdybyś była starsza... - zaczął urywanym głosem.

- Skoro mnie pragniesz, nieważne, ile mam lat - szepnęła, obejmując go mocniej.

- Dopóki nie pójdziesz ze mną do łóżka, będziesz rozdrażniony jak marcowy kocur, mój Jeremiaszu - powiedziała drżącym głosem, po raz pierwszy tego dnia nazywając go po imieniu. - A po naszej pierwszej nocy na pewno się ode mnie uzależnisz.

- I nawzajem - odparł szorstko, zirytowany jej spostrzegawczością. Kiedy użyła jego imienia, poraziło go wrażenie niezwyklej bliskości. Tak samo czuł się, trzymając Phoebe w objęciach.

- Wiem - odparła zdyszana. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała zachłannie. Przez cały rok marzyła o tej chwili. Ucieszyła się, gdy odwzajemnił pocałunek, nie bacząc na wcześniejsze skrupuły.

Opamiętał się pierwszy. Phoebe ani myślała przestać. Chwycił za ramiona, które zarzuciła mu na szyję, i opuścił je stanowczym gestem. Gdy popatrzył jej w oczy, wydawał się opanowany i niedostępny.

- Chwilowo mam więcej osobistych problemów, niż jestem w stanie udźwignąć

- tłumaczył powoli i dobitnie. - Nie mogę teraz zajmować się tobą.

- Ale chcesz - odparła śmiało.

- Owszem - przytaknął z błyskiem w oczach i dodał po chwili: - Nawet bardzo.

Zmieniła się na twarzy, słysząc to wyznanie Uśmiechnęła się, lekko oszołomiona.

- Najpierw muszę uporać się z bieżącymi sprawami - tłumaczył dalej. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i z nieukrywaną tęsknotą popatrzył na jej usta. Delikatnie obrysował ich kształt.

- Mam nadzieję, że do Bożego Narodzenia wszystko się ułoży. Spędzisz święta u Derrie w Charlestonie?

- Tak - odparła rozpromieniona, bo dał jej do zrozumienia, że nie żegnają się na zawsze.

- A co do posady, przemyśl moją propozycję. Dasz mi adres?

Niezdarnie pogrzebała w torebce, szukając notesu i ołówka. Nagryzmoła pospiesznie waszyngtoński adres ciotki Derrie i ten drugi. w Charlestonie.

- Na razie zatrzymam się u cioci. Potrzebuję trochę czasu, żeby podjąć decyzję, co mam dalej robić.

- Instytucja, której cię poleciłem, bardzo dobrze płaci - odparł z uśmiechem. - A poza tym często byśmy się widywali, bo spędzam tam wiele czasu jako wolontariusz.

- To jest przekonujący argument.

- Też tak sędzę. - Zaśmiał się, popatrzył jej w oczy i dodał z wahaniem: - Uchodzę za mruka. Łatwo zrażam do siebie ludzi. Trwałe związki niezbyt mi się udają, przelotne niewiele lepiej, a ty nie zadowolisz się byle czym, prawda?

- Ty również - odparła krótko.

- Chyba tak. - Skrzywił się.

- Nie naciskam. O nic cię nie proszę - zastrzegła cicho.

- Wiem. - Opuszkami palców musnął jej policzek.

- Od pierwszego wejrzenia zdawało mi się, że znamy się całe wieki. Trudno to pojąć.

- Czasami lepiej nie próbować - odparł. - Naprawdę powinienem uciekać. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

Rozbrojona zapierającą dech w piersiach czułością wtuliła się w niego, westchnęła cicho, objęła go za szyję i przyciągnęła jeszcze bliżej. Z jękiem przyłgął do niej, całym ciężarem przygniatając ją do fotela. Im dłużej się całowali, tym bardziej

była rozpalona. Odnosiła wrażenie, że jej ciało pulsuje. Usta miała spuchnięte, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Cortez niechętnie uniósł głowę, a potem odsunął się zdecydowanym ruchem. Był tak samo wytrącony z równowagi jak Phoebe.

- Sporo nas już łączy. Pewnie z czasem odkryjemy wiele innych podobieństw. Na szczęście nieźle orientujesz się w naszych zwyczajach i plemiennych rytuałach.

- Byłam pilną studentką. - Uśmiechnęła się pogodnie.

- I bardzo dobrze - westchnął. - Poczekamy, zobaczymy. Napiszę do ciebie, kiedy wrócę do Waszyngtonu. Nie oczekuj długich listów. Czas mnie goni, więc muszę się streszczać.

- Żadnych wygórowanych oczekiwań - przyrzekła.

- W jednej sprawie miałaś rację - oznajmił niespodziewanie, dotykając kciukiem jej podbródka.

- To znaczy?

- Powiedziałaś, że jeśli nie przyjadę do ciebie na rozdanie dyplomów, będę tego żałować do końca życia - przypomniał z uśmiechem. - Cóż, trafiłaś w dziesiątkę.

Obrysowała palcami jego szerokie usta i lekko zadrżała.

- Ja też byłabym rozczarowana - przyznała, obrzucając go czułym spojrzeniem.

- Napiszę.

Pocałował ją ostatni raz, sięgnął do klamki i otworzył drzwi.

- Napisz, na pewno odpowiem. - Wysiadła i skinęła mu głową, a potem zatrzasnęła drzwi i zajrzała do środka. - Mam nadzieję, że wszystkie sprawy ułożą się po twojej myśli - dodała.

- Jakoś to będzie - odparł. Kiedy znów na nią popatrzył, ogarnęły go nagle złe przeczucia. Zupełnie jakby czyhało na nich wielkie niebezpieczeństwo. Ojciec i stryjowie Corteza, a także oczywiście szamani uważali dar przewidywania przyszłości za błogosławieństwo. Dla Corteza była to jedynie irytująca uciążliwość, która dopadała go w najmniej spodziewanych momentach.

- Co jest? - dopytywała się, widząc niepokój malujący się na jego wyrazistej twarzy.

- Nic - skłamał, wierząc się niespokojnie. Próbował zignorować złe przeczucia. - Głowa puchnie mi od najróżniejszych myśli. Uważaj na siebie, Phoebe.

- Ty również. Bardzo mi się podobało rozdanie dyplomów.

- Mnie też. Nie żegnamy się na długo - dodał, widząc jej smutną minę.

- Racja. - Nie wiedzieć czemu poczuła się nieswojo.

Raz jeszcze popatrzył na nią i oczy mu pociemniały ze zmartwienia.. Nie mógł się uwolnić od złych przeczuc, Nim zdążyła spytać co mu leży na sercu, podniósł szybę.

Pomachał Phoebe na pożegnanie i wyjechał z parkingu. Odprowadziła wzrokiem samochód, aż zniknął jej z oczu. Miała wrażenie, jakby ustami nadal dotykała warg Corteza. Rozpalone ciało domagało się powtórki i nowych doznań. Serce przepęniały radość i ekscytacja. Phoebe odwróciła się i wolno ruszyła w stronę hotelu. Przyszłość jawiła się jej w jasnych barwach.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Trzy lata później*

Pracownicy niewielkiego muzeum etnograficznego w Chenocetah w Karolinie Północnej nie narzekali na brak zwiedzających, szczególnie w soboty. Phoebe uśmiechnęła się do gromadki mijających ją dzieci. Dwoje zaczęło przesadnie dokazywać, więc nauczycielka skarciła je, spoglądając na nią przepraszająco.

- Proszę się nie przejmować. Wszystkie cenne i niezbyt wytrzymałe objekty przechowujemy w szklanych gablotach albo odgradzamy sznurami! - oznajmiła z komiczną powagą Phoebe.

Nauczycielka zachichotała i poprowadziła klasę do kolejnej sali.

Phoebe zatrzymała się przy tablicy, na której podano słowa w języku Czirokezów. Obok irokeskich nazw widniały ich angielskie odpowiedniki. Nie był to może idealny przekład, lecz znaczeniowo dużo bliższy oryginałowi niż poprzednie tłumaczenie. Do niedawna ekspozycja uchodziła za tak bezładną i nudną, że lokalny samorząd planował nawet zamknięcie placówki. Gdy Phoebe została kustoszem, tchnęła w martwe muzeum nowe życie.

Listę słów wypisanych na tablicy otwierała nazwa miasteczka. Chenocetah znaczy po irokesku: rozejrzyj się wokół. Nic dziwnego, pomyślała Phoebe. Przecież miasteczko rozpościerało się wśród majestatycznych, wysokich gór, z których roztaczał się wspaniały widok. Phoebe w trybie zaocznym uzyskała niedawno doktorat z antropologii. Zaledwie przez kilka tygodni uczestniczyła w zajęciach studium doktoranckiego, organizowanych przez jej macierzysty uniwersytet. Gdy starała się o posadę kustosza muzeum w Chenocetah, zatrudniono ją początkowo na okres próbny. Zawarcie umowy na czas nieograniczony uzależniono od uzyskania stopnia doktora antropologii.

Na terenach przyległych do ziem szczepu Czirokezów w Karolinie Północnej grunty osiągały wysoką cenę. Rezerwat Yonah, niewielki bastion rdzennej ludności Ameryki, sięgał granic Chenocetah. Na obrzeżach niewielkiej miejscowości turystycznej wyrosło więcej hoteli niż w pasie nadmorskim Karoliny Południowej. Kolejne objekty były wznoszone w zawrotnym tempie przez trzy konkurujące ze sobą firmy. Jeden z koncernów budował ekskluzywny kompleks na wzór centrów rozrywkowo - hotelowych Las Vegas. Dwie pozostałe inwestycje zaplanowano jako luksusowo wyposażone ośrodki wypoczynkowe. Projektodawcy brali pod uwagę

atrakcyjność miejscowych szlaków turystycznych oraz bliskość gór gęsto usianych jaskiniami, które stanowiły dodatkowy wabik dla miłośników speleologii.

Podczas obrad rady miejskiej dwaj radni stanowczo sprzeciwili się powstaniu monstualnych obiektów grożących zachwianiem równowagi środowiska naturalnego, lecz stanowili mniejszość, trzej pozostali radni oraz burmistrz po prostu ich przegłosowali. Przeważała opinia, że same opłaty za wodę i kanalizację wnoszone przez centra wydatnie zasilą miejską kasę, a masowy napływ gości do górskiego regionu, od dawna nastawionego na turystykę i wypoczynek, spowoduje powstanie nowych miejsc pracy i przyływ gotówki.

Phoebe podzielała obawy obu protestujących radnych. Przewidywała narastające kłopoty zarówno z zaopatrzeniem okolicy w wodę, jak i odprowadzaniem ścieków. Obiekty wznoszono tak blisko muzeum, że w placówce spodziewano się drastycznego spadku ciśnienia wody, które i teraz, w związku z licznym napływem zwiedzających, nie było wystarczająco wysokie. Kolejny problem to hałas rosnący w miarę nasilania się ruchu samochodowego wokół niewielkiej miejscowości. Zastępca szeryfa, który chętnie przekomarzał się i flirtował z Phoebe, często rozmawiał z nią o tym zagrożeniu. Lubiła go, ale nie odpowiadała na przyjazne zaczepki. Od pewnego czasu omijała szerokim łukiem każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z wymiarem sprawiedliwości.

- Czemu jesteś taka ponura? - mruknęła Marie Locklear, jej koleżanka z muzeum. Pode - szła bliżej. Była półkrwi Indianką z plemienia Czirokezów. Miała wyższe wykształcenie ekonomiczne i pracowała jako księgowa.

- Uśmiecham się tylko w samotności, żeby nie straszyć podwładnych - wyznała żartobliwie Phoebe.

- Mój kuzyn Drake Stewart wpadnie tu z obiadem dla nas obu - odparła Marie. Miała na myśli policjanta flirtującego z Phoebe. - Kazałam mu przywieźć dwie porcje sałatki z kurczaka na ostro. Ma je kupić w nowym barze szybkiej obsługi. - Po chwili dodała: - Wpadł mi w oko.

- Faceci mnie nie interesują.

- Drake skończył trzydzieści lat Może się podobać - nie dawała za wygraną Marie. - Ma w sobie sporą domieszkę indiańskiej krwi, co dodaje mu uroku. Gdybyśmy nie byli tak blisko spokrewnieni, sama bym za niego wyszła.

- Pracuje w policji.

- Jasne. Zapomniałam. Faceci z wymiaru sprawiedliwości zupełnie cię nie

interesują.

Phoebe weszła do swego gabinetu, a Marie pospieszyła za nią.

- Generalnie skończyłam z mężczyznami - padła stanowcza odpowiedź.

- Dlaczego?

Phoebe udała, że nie słyszy. Rozmowa o przeszłości była dla niej zbyt bolesna.

- Stać nas na załatwienie dziury w nawierzchni parkingu? - zmieniła temat. -

Zwiedzający okropnie narzekają.

- Owszem, jeśli zrezygnujemy z reperacji dachu - oznajmiła ponuro Marie.

- Znowu przecieka? - jęknęła Phoebe. - Gdzie?

- Nad męską toaletą - wyjaśniła Marie. - Przy umywalkach jest kałuża.

Phoebe usiadła przy biurku i ukryła twarz w dłoniach.

- Mamy dopiero początek listopada. Czeka nas śnieg z deszczem, a potem zamiecie śnieżne. Dach zawali się pod takim ciężarem. Dlaczego wzięłam tę robotę? Po co mi to było?

- Bo nikt inny na nią nie reflektował. Phoebe wybuchnęła śmiechem. Marie była niepoprawna. Teraz uśmiechała się szeroko do młodej szefowej, która odparła sarkastycznie:

- Raczej dlatego, że nikt inny nie chciał mnie zatrudnić.

- Nie gadaj głupstw. Skończyłaś studia jako jedna z najlepszych na roku. Z marszu napisałaś znakomitą pracę doktorską i obroniłaś ją w rekordowym czasie - przypomniała Marie, - Czytałam twój życiorys - dodała, gdy Phoebe spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Wysokie kwalifikacje to nie wszystko - usłyszała w odpowiedzi.

- Zapewne, ale nie ulega wątpliwości, że jesteś świetnym antropologiem - upierała się Marie. - W twojej branży na pewno nie brak ciekawych ofert. Mogłabyś w nich przebierać.

- Kiedy musiałam się gdzieś zaczepić, nie było żadnych - odparła rzeczowo Phoebe, podając jej teczkę z dokumentami. - Najbardziej zależało mi na tym, żeby jak najszybciej zejść z oczu rodzinie i wreszcie się usamodzielić. Tutaj nikt mnie nie zna, a poza tym mała szansa, żebym wpadła na... - W samą porę ugryzła się w język, bo omal nie wspomniała o Cortezie.

Pulchna Marie przysiadła na brzegu jej biurka i odgarnęła długie, gęste, proste włosy.

- Wiem, są sprawy, o których nie chcesz rozmawiać, ale wydaje mi się, że



doszłaś już do siebie po tamtym rozczarowaniu. Mam rację?

Phoebe energicznie kiwnęła głową.

- Tak. Moim zdaniem wreszcie się z tym uporałam.

- Będiesz mogła uznać się za wyleczoną, jeśli spontanicznie podbiegniesz do Drake'a i dasz mu całusa, błagając, żeby umówił się z tobą na randkę - powiedziała Marie z łobuzerskim błyskiem w oku.

- O ile wiem, Drake ma pannę na każdej ulicy. - Phoebe z powątpiewaniem spojrzała na koleżankę. - Ten czaruś kocha wszystkie kobiety: brunetki, blondynki, szczupłe i pulchne. Bez różnicy. One też go uwielbiają, a ja nie chcę faceta, który jest mocno zużyty. Marie aż zamrugła ze zdziwienia. Phoebe zorientowała się, że plecie bzdury. Wybuchnęła śmiechem i dodała:

- To tylko takie gadanie - mruknęła zarumieniona. - Nie waż się powtarzać Drake'owi, że go obgadywałyśmy!

- O co ty mnie podejrzewasz? Nie pisnę ani słówka. - Marie położyła rękę na sercu.

- Natychmiast wszystko wypaplesz - odparła pobłaźliwie Phoebe. - Bierzmy się do roboty. Znajdź sposób, żeby w tym roku budżetowym udało się naprawić dach i załatać dziury na parkingu.

- Trzeba pojechać do rezerwatu Yonah i rozmówić się z szamanem Fredem Fourkillerem - zaproponowała Marie, - Może znajdzie lekarstwo na nasze bolączki. Moim zdaniem ma swoje sposoby, by wpłynąć na radę nadzorczą i zachęcić naszych szefów do sypnięcia groszem. Jeśli przyznają nam dodatkowe fundusze, załatwimy najpilniejsze naprawy.

Wystarczyła luźna uwaga na temat indiańskiego rezerwatu, żeby Phoebe natychmiast pomyślała o Cortezie, potomku wielu szamanów. Odruchowo sięgnęła ręką do środkowej szuflady i raptownie cofnęła dłoń.

- Zrobimy to, gdy inne sposoby zawiodą - oznajmiła, włączając komputer - Muszę odwalić papierkową robotę, nim pojawią się wy - cieczi - dodała. - O jedenastej przyjedzie cały autokar młodzieży z gimnazjum. - Rozmarzona spojrzała na Marie - Kiedy zaczęłam tu pracować, gratulowaliśmy sobie, jeśli raz w miesiącu pojawiło się kilku turystów. Teraz co tydzień mamy całe klasy.

- W okolicy jest mnóstwo ludzi z domieszką indiańskiej krwi, to naturalne, że ciekawią ich obyczaje i dzieje Czirokezów - przypomniała z uśmiechem Marie. - Chcą poznać swoje korzenie i dziedzictwo, chętnie uczą się tutaj historii.

- A dzięki temu rosną wpływy z biletów oraz dochody ze sprzedaży książek poświęconych lokalnej tematyce. Mamy ich sporo w sklepie z pamiątkami - wpadła jej w słowo Phoebe.

- Mimo wszystko marzę o znalezieniu hojnego sponsora.

- Wszystko w swoim czasie. Dopiero rozkręcamy działalność - odparła pogodnie Marie.

- No, pora wziąć się do roboty.

Wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Za oprowadzanie wycieczek odpowiedzialna była Harnet Withe, jedyna asystentka Phoebe wdowa po pięćdziesiątce. Wykładała dawniej historię na uniwersytecie stanowym, ale nie chciała dłużej pracować w pełnym wymiarze godzin. Złożyła podanie o pracę bez odrobiny nadziei, że ją otrzyma. Phoebe zadzwoniła do niej kilka minut po przeczytaniu dokumentów. Początkowo nie mieściło jej się w głowie, że osoba z takimi kwalifikacjami chce się zatrudnić jako asystentka, lecz wkrótce usłyszała logiczne wyjaśnienie. Harriet szukała zajęcia ciekawego, lecz niezbyt absorbującego, by mieć czas na prowadzenie badań. Okazała się cennym nabytkiem i wkrótce zasłużyła na uznanie szefowej.

Phoebe wahała się przez chwilę, nim otworzyła środkową szufladę. Wyjęła niewielki talizman ozdobiony kołyszącym się piórem, rzecz jasna nie orlim, bo wówczas groziłyby jej poważne kłopoty. Orły były pod ochroną. Osobliwy podarunek... Cortez przysłał go jej tydzień po uroczystości rozdania dyplomów. Do kółka owiniętego paskiem niewyprawionej skóry przyczepione było pióro, a środek wypełniała plecionka z trawy. Cortez napisał, że jego ojciec nalegał, by przyjęła i stale nosiła przy sobie talizman. Phoebe nie była przesądna, ale ten przedmiot stanowił dla niej cenną pamiątkę, bo pochodził od rodziny ukochanego. Rzadko rozstawała się z tym drobiazgiem.

Obok koperty, w której był talizman, leżała druga, całkiem płaska, z adresem nakreślonym tą samą ręką, co wyjaśnienia na poprzedniej. Phoebe dotknęła jej ostrożnie, jakby podejrzewała, że w środku kryje się jadowna żmija. Minęły trzy lata, ale trucizna nie straciła mocy.

Zaciskając zęby, wyjęła niewielki wycinek prasowy. W kopercie nie było nic oprócz tego świstka. Popatrzyła na niego, aby przypomnieć sobie po raz kolejny, dlaczego nie powinna wracać myślami do Corteza.

Przeczytała krótki nagłówek głoszący, że Jeremiasz Cortez żeni się z Mary

Baker. Żadnej fotografii narzeczonych, tylko imiona i nazwiska oraz data ślubu, który odbył się trzy tygodnie po ceremonii wręczenia dyplomów.

Phoebe schowała wycinek do koperty, próbując nie myśleć o tym, jak bardzo cierpiała po przeczytaniu po raz pierwszy tego listu. Kładła go zawsze obok talizmanu jako przypomnienie, że nie powinna się roztkliwiać na myśl o niespełnionym romansie. Z powodu tamtego doświadczenia wciąż była samotna. Oddała Cortezowi serce i została z niczym. Nie mogła pojąć, dlaczego najpierw robił jej nadzieję na wspólną przyszłość, a potem przysłał króciutki wycinek informujący o ożenku. Żadnego listu, przeprosin, wyjaśnień. Nic.

Mogła do niego napisać choćby po to, aby zapytać, dlaczego nie powiedział, że jest zaręczony. Na drugiej kopercie nie było adresu zwrotnego, a list wysiany na ten spisany z pierwszej koperty, wrócił nieotwarty z adnotacją „adresat nieznany”. Phoebe poczuła się zdruzgotana. Przeżyła załamanie nerwowe. Kiedyś była zdeklarowaną optymistką i wprost tryskała radością życia. Po tym zawodzie miłosnym zgorzkniała i o wiele częściej wpadała w ponury nastrój. Znajomi sprzed trzech lat teraz by jej nie poznali. Ścięła włosy, ubierała się jak matrona. Wyglądała na poważną i zasadniczą panią kustosz. W ciągu tych wszystkich lat zdarzało się jej czasami przez cały dzień ani razu nie pomyśleć o Jeremiaszu, ale dziś było inaczej.

Rzuciła kopertę z wycinkiem na dno szuflady i westchnęła ciężko. Miała dobrą posadę, która gwarantowała bezpieczną przyszłość. Mieszkała w drewnianym domu na odludziu, a dla bezpieczeństwa postarała się o psa. Nie chodziła na randki. Nie prowadziła życia towarzyskiego. Wyjątek stanowiły miejscowe imprezy organizowane przez różne stowarzyszenia oraz partie polityczne, na które chodziła, żeby zdobywać fundusze dla muzeum. Niestety, goszczący tam politycy nie byli zbyt szczodrzy. Mimo gospodarczego rozkwitu górzystej okolicy dotacje były skromne. Zapewne przedwyborcze deklaracje wspierania badań etnograficznych trafiałyby do zbyt małej grupy i nie miałyby wpływu na sondaże. Za to prywatni sponsorzy, choć z reguły niezamożni, okazywali większą hojność. Niestety, były to skromne kwoty, toteż muzeum nieustannie borykało się z trudnościami finansowymi.

Phoebe rozejrzała się po gabinecie, który był równie bezosobowy jak wnętrze jej domu. Dawno przestała gromadzić rzeczy. Na ścianie wisiał gobelin sporządzony dla niej przez Klan Ptaków z plemienia Czirokezów oraz dmuchawa, którą wykonał ojciec pewnego dwunastolatka. Popatrzyła na nią z uśmiechem. Ludzie byli zwykle mocno zdziwieni, gdy tłumaczyła, że Czirokezi używali kiedyś dmuchaw w trakcie

polowań. Owi dyletanci zdumiewali się jeszcze bardziej, gdy stwierdzali, że Indianie mieszkają w normalnych domach, nie noszą pióropuszy ani przepasek biodrowych i nie malują twarzy. Stroje i atrybuty przodków były wykorzystywane jedynie w czasie spektaklu przypominającego o historycznym marszu Drogą Łez, który odgrywano w ramach corocznych uroczystości. Indianie przybywali wówczas do niezbyt odległego rezerwatu Quallah, sąsiadującego z terytorium Czirokezów w Karolinie Północnej. Ludzie nie mieli pojęcia, jak naprawdę wygląda życie Indian, i wymyślali na ich temat niestworzone rzeczy.

Telefon zadzwonił, gdy Phoebe próbowała zmusić się do napisania odpowiedzi na list przysłany pocztą elektroniczną. Z roztargnieniem podniosła słuchawkę i powiedziała głośno i uprzejmie:

- Muzeum etnograficzne w Chenocetah.

- Pani Keller? - usłyszała w słuchawce męski głos.

- Tak - odparła, nie patrząc na ekran komputera. Rozmówca wydawał się mocno zaaferowany. - W czym mogę pomóc?

Po chwili wahania mężczyzna zapytał:

- Ma pani w swojej placówce możliwość datowania obiektów zawierających substancje organiczne? Czy to dużo kosztuje?

- Owszem, ale metod jest wiele. Można także datować na podstawie słojuw drzewnych...

- Chodzi o szkielet - przerwał. - Mam czaszkę... i sporo kości. Bardzo stary szkielet, jak sądzę. W jaskini jest również trochę wytworów paleoindian z epoki kamiennej. Są także dwie bardzo piękne, dużo późniejsze figurki. Szkielet ma powiększoną mózgowicę i szeroko rozstawione nozdrza, a uzębienie jest charakterystyczne dla... Wygląda mi to na czaszkę neandertalczyka.

Phoebe wstrzymała oddech i ścisnęła słuchawkę tak mocno, że pobiegały jej palce.

- Naprawdę? Nie mamy tu żadnych znalezisk starszych niż dziesięć, góra dwanaście tysięcy lat a i te wykopano na stanowiskach w Tennessee, nie w Karolinie Północnej - Poza tym brak dowodów na obecność neandertalczyków na terenie Ameryki Północnej.

- Zgadza się, ale... ja znalazłem. Tak mi się wydaje.

Phoebe odruchowo wyprostowała się w fotelu.

- To jakiś żart? Chodzi o głupi dowcip? - zapytała lodowatym tonem. - Bo jeśli

tak...

- Wiem, że jest pani nieufna, i wcale się nie dziwię. - Zamilkł na chwilę. Jestem antropologiem... Nie pochodzę z tych stron. Przyjechałem... Oni to ukrywają - ściszył głos do szeptu. - Ten facet powiedział, że jeśli sprawa wyjdzie na jaw, tamci zabiją i jego, i mnie. Zrobią wszystko, by nie opóźnić budowy. Gdyby to się wydało, roboty zostałyby bezterminowo wstrzymane, żeby dać archeologom czas na przeszukanie całego terenu. Media natychmiast zainteresowałyby się unikalnym odkryciem, a to dla inwestora oznacza bankructwo.

- O czym pan mówi? - zapytała zaintrygowana. - Z kim rozmawiam?

- Nie mogę powiedzieć. Zadzwoń ponownie, kiedy to będzie możliwe. Śledzą mnie... - Phoebe usłyszała głośne pukanie, potem odgłos otwieranych drzwi i podniesiony, dobiegający z oddali i nieco przytłumiony kobiecy głos. Domyśliła się, że mężczyzna osłonił dłonią słuchawkę. - Chwileczkę! Rozmawiam z córką krzyknął do gościa i wrócił do przerwanej wątku. - Później się odezwę. - Po drugiej stronie rozległy się jakieś hałasy i połączenie zostało przerwane.

Phoebe natychmiast zadzwoniła do centrali, żeby ustalić, skąd do niej telefonowano, ale namierzenie numeru okazało się niemożliwe. Zaciśnęła zęby i odłożyła słuchawkę. Może to naprawdę tylko głupi dowcip? W ciągu ostatnich lat było kilka takich rzekomych rewelacji. Na przykład w Kalifornii odkryto niekompletny szkielet należący jakoby do człowieka z paleolitu. Pojawiły się również kości neandertalczyka, których autentyczność została potwierdzona j przez antropologów o światowej sławie. Ustalenia okazały się jednak dyskusyjne i część autorytetów naukowych je zakwestionowała. Podobne kontrowersje towarzyszyły znaleziskom z jaskini w Nowym Meksyku, które liczyły sobie rzekomo dwadzieścia pięć tysięcy lat, ale zniknęły w tajemniczych okolicznościach, zanim specjaliści poddali je naukowej ekspertyzie. Nie sposób było dojść, czy te odkrycia to jedynie głupie żarty. Ostatnio poważne spory budził człowiek z Kennewick znaleziony w Kalifornii i nazwany paleoindianinem. Okazało się jednak, że brak mu cech typowych dla tej rasy. Znalezisko nadal wywoływało ożywione dyskusje i spory.

Może tajemniczy informator to wariat, dzwoniący do różnych placówek naukowych z nudów lub czystej złośliwości, pomyślała Phoebe. Jednak z drugiej strony mówił jak fachowi był konkretny i przekonujący. Wydawał się też mocno przestraszony. Po chwili skarciła się za łatwowierność. Przecież nie powiedział nic pewnego. Po co robić z igły widły? Popatrzyła na ekran monitora i zabrała się do

pisania emaila.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o lekko oliwkowej cerze, ciemnych krótkich włosach i błyszczących wesołych oczach wsunął głowę do środka.

- Pora coś przekąsić! - zawołał.

Phoebe podniosła głowę znad komputera i uśmiechnęła się do zastępcy szeryfa.

- Cześć, Drake. Marie powiedziała, że obiecałeś przynieść nam obiad. Dzięki!

- Drobiazg. Sam też zgłodniałem. W czasie patrolu wypadałoby coś przekąsić - odparł, wchodząc do gabinetu z dwoma zestawami obiadowymi. - Jestem na służbie, więc muszę zjeść w radiowozie. To dla ciebie i dla Marie.

Phoebe wystukała numer wewnętrzny księgowości.

- Marie, jest tu Drake. Przywiózł pyszne papu.

- Już lecę!

- Przynajmniej jedna osoba ucieszyła się z mojej wizyty, choć to tylko kuzynka - narzekał żartobliwie. Przyjrzał się Phoebe i dodał:

- Jesteś trochę wytrącona z równowagi.

- Owszem - przyznała, zamykając program. Spojrzała na Drake'a bardzo zafrasowana.

- Przed godziną dzwonił jakiś facet. Może to wariat, ale wydawał się mocno przestraszony.

Drake natychmiast spoważniał i podszedł bliżej.

- O co mu chodziło?

- Wspomniał o szkielecie neandertalczyka znalezionym jakoby w jaskini na terenie jednej z budów - odparła, streszczając rozmowę.

- Szybko odłożył słuchawkę. Próbowałam dowiedzieć się w centrali telefonicznej, z jakiego numeru dzwonił, ale nie mogli tego ustalić.

- Szczaćki neandertalczyka. Pasjonujące - mruknął ironicznie.

Uśmiechnęła się przepaszająco, bo zapomniała, że dzięki rekomendacji muzeum Drake studiował zaocznie archeologię.

- Moim zdaniem mamy do czynienia z dowcipnisiem.

- Pewnie to spragniony mocnych wrażeń maturzysta. Namierzymy żartownisia. To pewnie jeden z tych, którzy wysyłają do swojej szkoły informację o podłożonej bombie, ale nie chce im się pójść do sklepu po nową papeterię i piszą na papierze listowym tatusia - odparł lekceważąco Drake.

Phoebe pokiwała głową.

- Dzięki za sałatkę. - Wskazała przyniesione pudła i sięgnęła do torebki po portfel.

- Wciąż nie udaje mi się namówić cię na randkę. Mam teraz dwa niespełnione marzenia: zjeść tu obiad w towarzystwie miłych pan i spotkać się z tobą - oznajmił Drake. - No, muszę lecieć. Marie zajrzała do gabinetu szefowej.

- Umieram z głodu! Dzięki, Drake. Jesteś aniołem, choć takich rzeczy nie powinno się mówić kuzynowi.

Drake kpiąco uniósł brwi.

- Nareszcie ktoś mnie docenił - odparł ponuro, rzucając znaczące spojrzenie na Phoebe.

- Moja szefowa niestety skreśliła wszystkich facetów.

- Dlaczego?

Marie, spiorunowana wzrokiem przez Phoebe, pojednawczym gestem uniosła rękę i ze skruszoną miną zmieniła temat.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu Phoebe usłyszała wycie syren dobiegające z krętej górskiej drogi biegnącej w pobliżu Jej małego domu. Jazda autem po tej okolicy nie była łatwa. Zdarzało się, że turyści tracili panowanie nad kierownicą i wypadali poza barierki ochronne, prosto w przepaść.

Ubrała się, nakarmiła psa i wypila filiżankę kawy, a potem wsiadła do starego forda. O tej porze parking muzeum był na ogół pusty. Dziś przed samym wejściem stał radiowóz z włączonym silnikiem.

Zachmurzona wysiadła z samochodu, a potem sięgnęła po torebkę i aktówkę. W tej samej chwili z radiowozu wysiadł Drake. Nie uśmiechał się i sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego.

- Cześć - przywitała go. - Co jest? Położył dłoń na kaburze służbowego rewolweru i podszedł bliżej.

- Podobno wczoraj dzwonił do ciebie jakiś facet. Wspomniał o szkielecie, dobrze mówię.

- Owszem - przyznała z ociąganiem.

- Podał nazwisko?

- Nie.

- Co o nim wiesz? - wypytywał dalej Drake.

- Twierdził, że jest antropologiem...

- Cholera jasna!

Phoebe popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Po raz pierwszy widziała zazwyczaj pogodnego i uśmiechniętego Drake'a w tak podłym humorze.

- Co się stało? - zapytała.

- Znaleźliśmy zwłoki w rezerwacie - odparł cicho.

- Co takiego? - Zamrugnęła gwałtownie. - W rezerwacie?

Drake pokiwał głową, a potem dodał:

- Raczej na jego obrzeżach. Zapewne był Czirokezem, bo miał przy sobie indiańską kartę identyfikacyjną. Fragment z numerem i nazwiskiem został oderwany. Znaleźliśmy też legitymację Towarzystwa Antropologicznego. Zakładamy, że to własność denata. W legitymacji oraz prawie jazdy brak fragmentów z nazwiskiem. Ktoś celowo zniszczył dokumenty.

- Twoim zdaniem dzwonił do mnie człowiek, który potem został zabity?



- Na to wygląda. Nie mamy prawa wejść na terytorium Czirokezów, chyba że zostaniemy o to poproszeni. Sprawą powinni zająć się agenci federalni. Na szczęście mój kuzyn jest policjantem w rezerwacie, więc mam informacje z pierwszej ręki. Od niego wiem, że FBI przyśle agenta, który poprowadzi śledztwo. Facet pracuje w niedawno zorganizowanym wydziale do spraw przestępczości wśród Indian. Muszę cię uprzedzić, że prawdopodobnie zechce cię przesłuchać.

- Dlaczego?

- Wiele wskazuje na to, że jesteś ostatnią osobą, z którą rozmawiał denat. Przy telefonie w jego pokoju znaleziono notes. Zapisał w nim twój numer. Z tego powodu kuzyn Richard do mnie zadzwonił. Wie, że często bywam w muzeum. - Zatraskany popatrzył na Phoebe. - Twój rozmówca został zamordowany w motelu niedaleko Chenocetah, gdzie się zatrzymał, albo na mało uczęszczanej polnej drodze. Tam znaleziono zwłoki. Droga przylega do placu budowy, a za nim jest góra naszpikowana jaskiniami. Wczesnym rankiem biegaczka znalazła zwłoki na poboczu. Ktoś strzelił facetowi w tył głowy. Biedaczka, przeżyła szok. Leży w szpitalu, bo nie może dojść do siebie - ciągnął.

Phoebe oparła się o kolumnę werandy, Z wrażenia zaparło jej dech w piersiach. Kto by pomyślał, że będzie zamieszana w śledztwo dotyczące morderstwa! Potrzebowała trochę czasu, żeby ochłonąć.

- Wiem, co czuła. Chyba mnie również przydałaby się krótka kuracja - odparła ponuro.

- Nic ci nie grozi... tak mi się przynajmniej wydaje - mruknął Drake.

- Słucham? - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie wiemy, kto go zabił i dlaczego - odparł Drake. - Nie można wykluczyć, że opowieści denata to bujda, ale nawet gdyby tak było... Cóż, w okolicy realizowane są trzy duże inwestycje. Nie wiemy, którą budowę miał na myśli, kiedy opowiadał o znaleziskach.

- Jak sądzisz, dla kogo pracował? - zapytała Phoebe.

- Na razie nie wiadomo. Śledztwo dopiero się zaczęło. Aha, jeszcze jedno. Nie mów o niczym Marie.

- Dlaczego?

- Nie potrafi trzymać języka za zębami - odparł rzeczowo. - Śledztwo jest w toku. Powiedziałem ci, co się dzieje, ponieważ leży mi na sercu twoje bezpieczeństwo, ale nie chcę, żeby cała okolica plotkowała o tej sprawie.

Phoebe gwizdnęła cicho.

- Ale się porobiło!

- Czy masz broń? Pokręciła głową.

- Strzelałam raz z pistoletu znajomych, ale tak mnie wystraszył huk, że dałam sobie a tym spokój i więcej nie próbowałam.

- Mieszkasz na odludziu. - Drake westchnął głęboko. - Gdybym przywiózł tarczę, zgodziłabyś się potrenować pod moim okiem? Przyjadę i trochę poćwiczymy, zgoda?

Phoebe miała wrażenie, że ziemia ucieka jej spod nóg. Na co dzień Drake był uroczym dowcipnisiem, ale dziś mówił i zachowywał się śmiertelnie poważnie. Naprawdę martwił się o nią. Z trudem przełknęła ślinę.

- Dobrze - odparła po chwili. - Będę wdzięczna, jeśli nauczysz mnie strzelać, skoro uważasz to za konieczne. - Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - Drake, coś przede mną ukrywasz. O co chodzi?

- Wykopaliska, o których wspomniał denat... - zaczął z namysłem zastępca szeryfa. - Odkrycie szczątków neandertalczyka... Jeśli tego nie zmyślił, budowa natychmiast zostanie wstrzymana, a przeznaczenie terenu ulegnie zmianie. Developer poniesie milionowe straty, bo przecież sporo już zainwestował. Gdy gra toczy się o tak wysoką stawkę, niektórzy gotowi są na wszystko.

- Przekonałeś mnie - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Nauczę się strzelać.

- Pogadam z agentem albo agentką FBI, kiedy się tutaj zjawi - obiecał Drake. - Zobaczymy, co da się zrobić w kwestii ochrony.

Phoebe kiwnęła głową, ale wiedziała, jak to się skończy. Agencje rządowe miały problemy finansowe podobnie jak lokalna policja oraz jej muzeum. Całodobowa ochrona sporo kosztuje. Kto znajdzie na to fundusze? Ona z pewnością nie da rady. Z drugiej strony na samą myśl o tym, że miałyby w obronie własnej strzelić do człowieka, robiło jej się niedobrze.

- Uważasz, że nie byłabyś w stanie wymierzyć w napastnika - domyślił się, mrużąc oczy.

Phoebe kiwnęła głową.

- Tak samo myślałem, idąc do wojska - przyznał Drake. Opuścił armię dopiero przed rokiem, po zakończeniu służby za granicą. - Nauczyłem się strzelać odruchowo. Ty też dasz sobie radę. Czasami to kwestia przeżycia.

- Jeszcze niedawno wszystko było takie proste. - Phoebe skrzywiła się, jakby

rozgryzła gorzką pigułkę.

- Coś wiem na ten temat. A jeśli chodzi o dochodzenie, nie zostałem oficjalnie do niego włączony, bo nie wiadomo, kto je będzie nadzorował. Wszystko zależy od tego, gdzie tak naprawdę zostało popełnione morderstwo. Fakt, że denata znaleziono w rezerwacie, nie oznacza, że tam został zabity.

- Jak sądzisz, czy morderca umyślnie tak to urządził, żeby FBI przejęło dochodzenie? - zapytała.

- Szczerze wątpię. Zapewne nie zdawał sobie sprawy, że tak to się skończy. Na mapach wszystko widać jak na dłoni, ale w terenie granice rezerwatu nie są wyraźnie oznaczone, choć miejscowi bez trudu potrafią je wskazać - przypomniał z drwiącym uśmiechem. - Polna droga, na której znaleziono zwłoki, wydaje się leżeć na obrzeżach Chenocetah, ale w rzeczywistości wygląda to inaczej. Do miasta jest stamtąd spory kawałek. Tak się złożyło, że słupek oznaczający granicę rezerwatu był niewidoczny, bo przewrócił się i leżał w wysokiej trawie mniej więcej pięćdziesiąt metrów od śladów opon.

- Morderca nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się na terytorium Indian. Może przyjechał tam w nocy.

- Dobrze rozumiesz. Nie korciło cię nigdy, żeby zostać gliną i ścigać przestępców?

- Policja za mało płaci. Stawiam wygórowane żądania finansowe - odparła, wybuchając śmiechem. - Nic stać ich na mnie.

- Ja też wysoko się cenię, ale to ich nie powstrzymało. Czy mogliby zrezygnować z takiego świetnego gościa jak ja? - odparł żartobliwie i pokazał w uśmiechu olśniewająco białe zęby. - Ty spokojnie kieruj swoim muzeum, a ja zatroszczę się o ciebie - zaproponował.

Phoebe spojrzała na niego podejrzliwie, więc uniósł dłoń i dodał pojednawczym tonem; - Bez żadnych podtekstów. Wiem, że nie gustujesz w mocni zużytych osobnikach płci męskiej.

Phoebe wstrzymała oddech, a potem zawołała oburzona:

- Marie się wygadała!

- Wcale nie poczułem się dotknięty, ale teraz rozumiesz, dlaczego prosiłem, żebyś nie wspominała jej o śledztwie. Szczerze mówiąc, twoje uwagi na temat mego stylu życia nawet mi pochlebiły. Niezły ze mnie pozer.

- Jak to?

- Przypominam pawia, który rozkłada barwny ogon, żeby wabić samiczki. Nawet jeśli pióra są nieco sfatygowane, a kolory wyblakły, samiec wciąż się puszy. Ja również - wyznał. - Nie jestem playboyem, ale udaję pożeracza kobiecych serc - zwierzał się, lekko pochylony w jej stronę. - Może kiedyś dopisze mi szczęście, kto wie?

Całkiem rozbrojona wybuchnęła śmiechem.

- Widziałaś film „Don Juan de Marco” z Johnym Deppem? Główny bohater podawał się za Don Juana - perorował zabawnie - W jego przypadku zagrywka okazała się skuteczna, więc dlaczego nie miałbym pójść w jego ślady? Człowiek nie wie, na co go stać, dopóki nie odważy się podjąć wyzwania. Musiałem tylko zrezygnować z peleryny i weneckiej maski, bo szeryf zagroził, że wezwie psychiatrę.

- Drake, jesteś niepoprawny - powiedziała tonem łagodniejszym niż ten, którym zwykle do niego przemawiała.

- Bardzo dobrze. Jesteś dla mnie łaskawsza - odparł uradowany i znów się uśmiechnął. - Dotąd byłaś chłodna i wyniosła, a teraz lody trochę stopniały. Tak trzymać, panno Keller - błaznował.

- Prawdziwy z ciebie poeta - pochwaliła go przyjaźnie.

Drake wzruszył ramionami.

- Nie zapominaj, że Czirokezi uważają się za lepszych od innych plemion. Mówimy o sobie: światli ludzie. Należymy do grona Pięciu Cywilizowanych Plemion.

Słuszna uwaga, pomyślała Phoebe. Czirokezi posługiwali się pismem na długo przed innymi plemionami indiańskimi.

- Żadnych uwag? - dopytywał się Drake.

- Z policją nie dyskutuję. - Uniosła dłoń.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją i wyprostował się, obciągając doskonale skrojony mundur, podkreślający muskularną sylwetkę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, dobiegł ich głośny warkot. Na parking wjechała Marie prowadząca wysłużone auto. Z rury wydechowej unosił się gęsty dym. Gdy wyłączyła silnik, rozległ się ogłuszający dźwięk podobny do wystrzału.

Drake spoważniał i natychmiast podszedł do zdezelowanego samochodu, gestem dając Marie znak, żeby otworzyła maskę. Cofnął się, machając ręką i czekając, aż opadnie spowijający auto dym, a potem obejrzał silnik i sprawdził zawory - Po chwili wyprostował się i popatrzył na zatroskaną Marie, która czekała na diagnozę. - To gaźnik. Spalanie szwankuje. Jeśli szybko tego nie naprawisz, dojdzie do pożaru.

- Obawiam się, że naprawa będzie kosztować więcej, niż warte jest auto. Może lepiej je wymienić na nowe? - spytała. - Nienawidzę takich sytuacji.

- Cóż chcesz? To weteran - odparł z uśmiechem. - Chyba... mocno zużyty.

Maria splonęła rumieńcem.

- Lecę zadzwonić do brata. - Minęła Phoebe, unikając jej wzroku. Dopadła drzwi, zorientowała się, że są zamknięte i zaczęła grzebać w torebce, szukając klucza. Na szczęście nie zapytała, dlaczego Phoebe jeszcze nie otworzyła.

- Nic jej nie powiem - obiecała półgłosem Phoebe.

- Zobaczymy, co jeszcze zdołam ustalić. Możemy spotkać się w sobotę, żeby postrzelać? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- Kończę o pierwszej.

- Dopilnuję, żeby mieć wolne przedpołudnie. - Spojrzał na radiowóz, w którym zaskrzeczało radio. - Chwileczkę.

Podszedł do auta i sięgnął po mikrofon. Przez chwilę słuchał uważnie, potem kiwnął głową i coś powiedział.

- Muszę uciekać - wyjaśnił. . Wkrótce będzie tu agent FBI. Federalni chcą wciągnąć nas do współpracy - dodał z zadowolonym uśmiechem. - Sądzę, że moje talenty detektywistyczne zrobiły wrażenie na ich szefostwie.

Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- Do zobaczenia w sobotę. Pomachał jej na pożegnanie, wskoczył do auta i odjechał.

- Co tu się działo? - spytała zaciekawiona Marie, ruchem głowy wskazując parking.

- Drake obiecał, że nauczy mnie strzelać - odparła Phoebe. - Nareszcie będę wiedziała, jak należy obchodzić się z bronią.

Marie była dziwnie przygnębiona. Podeszła do biurka szefowej i popatrzyła na nią ze smutkiem i troską.

- Domyślam się, że po tym, jak wypaplałam Drake'owi, co o nim mówiłaś, przestałaś mi ufać i teraz ukrywasz przede mną jakieś ważne nowiny. Bardzo przepraszam, ale rzeczywiście jestem niepoprawną gadułą - dodała.

- A ja mam swój rozum.

Marie skrzywiła się wymownie.

- No dobrze, wiem od brata, że na terenie rezerwatu znaleziono zwłoki jakiegoś

antropologa. Podobno wczoraj do ciebie dzwonił. Jesteś w niebezpieczeństwie, prawda? Nie chcesz mi o tym powiedzieć z obawy, że się wygadam.

Phoebe nie wierzyła własnym uszom. - Skąd twój brat...

- Na prowincji wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. To niewielka społeczność. Człowiek z jednego klanu powie coś w zaufaniu znajomym z innego klanu... i tak to idzie.

- Ale z was plotkarze.! - Phoebe wciąż nie mogła dojść do siebie.

- Masz rację - odparte spokojnie Marie. - Profanuję, żebyś przeniosła się do mnie. Twój dom stoi na odludziu.

- Drake nauczy mnie strzelać. - Podobno za nim nie przepadasz.

- Zyskuje przy bliższym poznaniu.

- To u nas rodzinne - Marie uśmiechnęła się szeroko. - Bywa zarozumiała, ale to mądry i dzielny chłopak. Mogłaś trafić o wiele gorzej.

Phoebe popatrzyła na nią ze zdumieniem. - Spotykamy się, by postrzelać, nie więcej. Nie interesuję się mężczyznami, niezależnie od stopnia zużycia.

- Spokojna głowa. Będzie miał na ciebie oko, a jeśli to się okaże konieczne, moi bracia i reszta kuzynów na pewno mu pomogą. Wiele dla nas zrobiłaś. Potrafimy się odwdziczyć, a wobec najbliższych zawsze jesteśmy lojalni.

- Daj spokój! Przecież nie mam w sobie ani kropli indiańskiej krwi.

Marie uśmiechnęła się promiennie.

- Ale i tak należysz do rodziny - mruknęła podchodząc do drzwi. - Uciekam, bo mam robotę.

Phoebe patrzyła na nią z roztargnieniem, myśląc o zamordowanym mężczyźnie. Była wytrącona z równowagi. Przygnębiała ją świadomość, że człowiek, z którym tak niedawno rozmawiała, stracił życie. Równie niepokojąca wydawała się możliwość bezpowrotnego zniszczenia unikalnego stanowiska archeologicznego. Gdyby wbrew jej poważnym wątpliwościom rzeczywiście znaleziono tam szczątki neandertalczyka, należałoby zrewidować nie tylko historię Karoliny Północnej, lecz także całego kontynentu. Bez wątpienia budowa zostałaby wstrzymana, ale czy to powód do morderstwa? Phoebe nie była zachłanna i zadowalała się pensją umożliwiającą terminowe płacenie rachunków, dlatego nie rozumiała, jak można po trupach gonić za zyskiem.

Przez dwa następne dni zajmowała się własnymi sprawami. Drake wpadł na moment, aby powiedzieć, że spotkał się z agentem FBI, ale był dziwnie oszczędny w

słowach i nie zdradził żadnych szczegółów. Phoebe czuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Nie mogła zasnąć, ponieważ zastanawiała się nad jego nietypowym zachowaniem. W piątek rano prawda wyszła na jaw.

Phoebe właśnie miała wyjść na spotkanie pensjonariuszom miejscowego domu spokojnej starości, którzy przyjechali do muzeum na wycieczkę gdy przed budynkiem zatrzymał się czarny samochód z waszyngtońską rejestracją. Pewnie to agent federalny, pomyślała bez większego zainteresowania i ruszyła w stronę autokaru.. Na widok mężczyzny wysiadającego z auta zamarła w bezruchu. Drugie czarne włosy miał związane w kucyk, ciemne okulary zasłaniały część twarzy. Był ubrany w szary garnitur z kamizelką. Podszedł do Phoebe, zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszonki marynarki. Jeremiasz Cortez we własnej osobie.

- Cześć, Phoebe - powiedział cicho, bez uśmiechu. Jego poznaczona bliznami twarz wydawała się bardziej pociągła, a rysy ostrzejsze niż przed trzema laty. Wokół oczu pojawiły się nowe zmarszczki, a od nosa do ust biegły głębokie bruzdy. Tak jakby zapomniał, jak należy składać usta do uśmiechu. Spojrzenie czarnych oczu było przeszywające, chłodne, beznamietne.

Phoebe podniosła dumnie głowę. Miała ochotę krzyknąć, wyładować jakoś złość, ale opanowała się najwyższym wysiłkiem woli. Z pozoru była rzeczowa i spokojna, jakby spotkanie po latach nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

- Witaj, Cortez - powiedziała chłodno, umyślnie zwracając się do niego po nazwisku. - w czym mogę ci pomóc?

- Zastępca szeryfa nazwiskiem... - Wyjął notes i chcąc zyskać na czasie, demonstracyjnie szukał danych, które doskonale pamiętał. - Facet nazywa się Drake Stewart. Od niego wiem, że jako ostatnia rozmawiałś z ofiarą. Jeśli masz trochę czasu, chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Phoebe nerwowo przełknęła ślinę.

- Prowadzisz dochodzenie w tej sprawie?

- Wróciłem do FBI. Pracuję teraz w nowo utworzonym wydziale do spraw przestępczości na terytoriach Indian. Podlegają nam wszystkie rezerwy.

Ciekawiło ją, dlaczego zrezygnował ze stanowiska prokuratora, skoro tak mu odpowiadało tamto zajęcie. Miała też ochotę zapytać, czemu ją porzucił, skoro dawniej patrzył na nią jak człowiek zakochany do szaleństwa. Mimo wszystko nie uległa pokusie.

- Idź do mojego gabinetu. Przepraszam na chwilę. - Przystanęła i zawołała

Harriet, która miała teraz chwilę oddechu. - Właśnie przyjechała wycieczka emerytów z domu spokojnej starości. Mogłabyś się nimi zająć? Muszę porozmawiać z tym panem.

Harriet z jawną aprobatą uniosła brwi i popatrzyła na Corteza, który górował wzrostem nad nimi obiema.

- Widzę że nasz rząd zaczął wreszcie zatrudniać ludzi, na których miło popatrzeć - mruknęła, odwróciła się i ruszyła w stronę autokaru, który manewrowała na parkingu.

Cortez wysłuchał tej uwagi z kamienną twarzą. Phoebe również nie zareagowała. Weszła do gabinetu i wskazała gościowi jedyne krzesło stojące przy zdezelowanym biurku. Nie usiadł, bo w tej samej chwili do środka weszła Marie z plikiem raportów finansowych. Był piątek, więc musiała przygotować wypłatę. Na widok gościa znieruchomiała. Wystarczył rzut oka na długie ciemne włosy i oliwkową karnację, żeby wiedziała, z kim ma do czynienia. Nie zmylił jej elegancki garnitur.

- *Sio* - zagadnęła po irokesku. Indianie z tego plemienia witali się i żegnali tym samym słowem.

Cortez wyprostował się i spojrzał na nią wrogo.

- Nie znam waszego języka. Jestem Komanczem - oznajmił hardo.

- Przepraszam. - Marie zrobiła się czerwona.

Cortez odszedł na bok, żeby mogła położyć dokumenty na biurku szefowej.

Marie obrzuciła Phoebe badawczym spojrzeniem i pospiesznie opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi.

Phoebe usiadła za biurkiem i popatrzyła na Corteza. Splotła palce dłoni leżących na blacie. Nie dbała o ręce. Służyły do pracy, nie na pokaz. Paznokcie były krótko obcięte. Żadnych pierścionków, ani odrobiny lakieru.

- W czym mogę ci pomóc? - spytała rzeczowo.

Patrzył na nią trochę za długo. Oczy mu pociemniały i jakby posmutniał. Wyjął z kieszeni notes, założył nogę na nogę i przewertował kilka kartek.

- Denat dzwonił do ciebie kilka godzin przed śmiercią - powtórzył, wyjmując z kieszeni pióro. - Możesz mi powiedzieć, o czym rozmawialiście?

- Twierdził, że jakaś firma budowlana chce udaremnić wykopaliska archeologiczne, choć na jej terenie natknięto się na unikalne znaleziska - wyjaśniła. - Wspomniał o szkielecie neandertalczyka.

Pióro znieruchomiało. Cortez podniósł wzrok i bez słowa popatrzył jej prosto w



oczy.

- Jestem świadoma, że to wygląda na kiepski dowcip - ciągnęła - ale ten człowiek mówił do rzeczy. Według niego ta firma jest zadłużona, więc obawia się, że przerwa spowodowana przeszukaniem stanowiska doprowadzi ją do bankructwa.

- W Ameryce Północnej nie znaleziono dotąd szczątków neandertalczyka - mruknął niechętnie Cortez.

- Skończyłam antropologię, więc znam się na tym lepiej od ciebie. Mam dyplom i doktorat. Chcesz, zobaczyć? - odparła lodowatym tonem. Poczula się urażona, bo próbował ją pouczać.

- Zmieniłaś się. - Cortez zmrużył oczy.

- Ty również - odcięła się. - Wróćmy lepiej do tematu. Przyznaję, że to wszystko wydaje się dziwne, ale facet najwyraźniej wiedział, co mówi. Kiedy odłożył słuchawkę, próbowałam ustalić, skąd dzwonił, niestety daremnie.

- Gliniarze znaleźli twój numer telefonu w jego notesie, tuż przy aparacie telefonicznym. Zameldował się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem. Podał też fikcyjny adres. Ktoś zniszczył jego dokumenty. Najwięcej da się odczytać z legitymacji Amerykańskiego Towarzystwa Antropologicznego.

- Dlaczego ktoś ją zostawił prawie nietkniętą, skoro najważniejsze papiery zostały poważnie uszkodzone? - spytała.

- Spadła pod łóżko. Na posłaniu leżał portfel. Był w nim tylko banknot dwudziestodolarowy. Skrawki innych dokumentów wały się wokół, jakby wypadły komuś, kto bardzo się spieszył. Poza tym żadnych śladów. Robota profesjonalisty. Nasza ekipa nic nie znalazła, choć kazałem sprawdzić ponownie całe pomieszczenie na wypadek, gdyby za pierwszym razem przeoczono jakieś odciski palców. I nic. Poleciałem zamknąć i zapieczętować pokój. Nasi technicy są już na drodze, przy której znaleziono zwłoki - wyjaśnił. Ilekroć pracował w terenie, towarzyszyła mu ekipa dochodzeniowa, która na miejscu zabezpieczała wszelkie ślady. . Nie ma żadnych odcisków palców? A ślady opon na podjeździe przed motelem?

Poruszył się niespokojnie. Oboje doskonale pamiętali, że podczas wspólnie prowadzonego śledztwa w sprawie zanieczyszczenia Środowiska pod Charlestonem właśnie ślady opon pomogły im ustalić sprawców. Phoebe była wtedy młoda, ambitna i pełna życia. Z nadzieją patrzyła w przyszłość. Teraz wszystko się zmieniło. Cortez odsunął od siebie tę myśl. Lepiej nie wracać do przeszłości.

- Śledztwo dopiero się zaczyna. Sprawdzimy to. Czy głos tamtego faceta wydał

ci się znajomy? - zapytał.

Phoebe pokręciła głową.

- Wymienił nazwisko developera? Pamiętaj, że każdy szczegół może okazać się ważny.

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

- Możliwości jest sporo. - Cortez skrzywił się, odłożył pióro i notes, a potem spojrzał Phoebe prosto w oczy i dodał: - Jesteś dla nas jedynym śladem prowadzącym do mordercy...

- Bo mogę być jego następną ofiarą, prawda? - wpadła mu w słowo.

- Tak - wymamrotał i znów skrzywił twarz, jakby poczuł w ustach gorycz.

- Wiem o tym. Zostałam ostrzeżona. Uważam na siebie - odparła spokojnie. - Mam psa, a jeden z zastępców szeryfa obiecał, że jutro nauczy mnie strzelać.

Cortez spojrzał na nią chłodno i gniewnie.

- Masz broń?

- Drake pożyczy mi pistolet.

- Sprawdzę, czy można załatwić ci ochronę - odparł po namyśle.

- Oboje wiemy, że całodobowa ochrona jest kosztowna, a budżet FBI nie pozwala na takie fanaberie. - Phoebe wstała. - Kuzyni Marie obiecali mieć na mnie oko - dodała pośpiesznie.

- To nie jest zajęcie dla bandy cywilów. - Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Dobrze się składa, ponieważ to doświadczeni tropiciele, mieszkańcy rezerwatu - odparła pośpiesznie. - I jeszcze jedno. Masz władzę i możesz wydawać polecenia, ale nie oczekuj, że zostaniesz tu przyjęty z otwartymi ramionami. Miejscowi nie lubią federalnych.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Trzy lata - powiedział nagle Cortez.

- Twój wybór - odparła lodowatym tonem.

- Podobno jesteś tu służbowo. Masz przeprowadzić dochodzenie, więc zamiast gadać po próżnicy, bierz się do roboty. Coś jeszcze? Wybacz, ale ja też mam sporo pracy, dlatego skończmy tę rozmowę.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko z miną tak wrogą, że Marie, która właśnie szła do jej gabinetu, odwróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwną stronę.

Cortez włożył ciemne okulary i rzucił oschle:

- Odezwę się do ciebie.

Miała na końcu języka ciętą ripostę, ale darowała sobie złośliwości. Cóż by pomogły? Nie da się zmienić przeszłości, więc lepiej zostawić ją w spokoju. Phoebe miała teraz inne problemy, a jednym z ważniejszych było jej samopoczucie.

Cortez odszedł, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi na swoją uwagę. Po chwili Phoebe dobiegł warkot silnika. Czarne auto wolno opuściło parking, włączając się do ruchu. Żadnego pisku opon ani buksowania kół na zwirowanym podjeździe. Z tego wniosek, że Cortez był znacznie bardziej opanowany niż przed kilkoma laty. Ta zmiana wiele o nim mówiła.

Kilka minut później do gabinetu weszła Marie. Z niepokojem spojrzała na szefową.

- To on.

- Aha - przytaknęła Phoebe, choć miała wielką ochotę zaprzeczyć. Przemogła się, ponieważ kłamstwo nie przyniosłoby żadnego pożytku.

- Nic dziwnego, że zaszyłaś się na prowincji i myślisz tylko o pracy - uznała Marie.

- Niełatwo utrzymać w ryzach takiego faceta.

- Też tak sędzę.

- Moim zdaniem Drake go nie polubi - mruknęła w zadumie Marie. Zaaferowana Phoebe puściła jej słowa mimo uszu.

- Sporo zapomniałam z tego, co robiliśmy na studiach - powiedziała do siebie - ale jestem pewna, że spośród znalezisk wykopanych na stanowiskach w Karolinie Północnej żadne nie jest datowane na okres wcześniejszy niż ostatnie zlodowacenie, a to będzie dziesięć, może dwanaście tysięcy lat przed naszą erą. Mój rozmówca wspomniał o czasce znalezionej w jaskini - mruzczała półgłosem.

W tej okolicy jest mnóstwo jaskiń - wtrąciła skwapliwie Marie. - Góry są nimi podziurawione jak szwajcarski ser. Pamiętasz idiotyczne plotki o stosach złota należącego do Czirokezów, które tam rzekomo przepadły? Ale bzdury! Ciekawe, skąd to złoto, przecież nic nam nie zostało po tym, jak w 1838 zostaliśmy spędzeni niczym bydło i zmuszeni do marszu aż do Oklahomy!

- Znam wiele tragicznych opowieści i wierz mi, szczerze nad nimi boleję, choć to historia - odparła cicho Phoebe. - Ilekroć chodzę po salach naszego muzeum, zawsze mam łzy w oczach. Andrew Jackson i jego urzędnicy popełnili niewybaczalny błąd.

- Wybuchła gorączka złota. Przeszkadzaliśmy amatorom szybkiego zysku.

- Racja. Na szczęście twoja rodzina uniknęła najgorszego - odparła cicho Phoebe.

- Kilka innych też.

- Zbyt niewielu ocalało - powiedziała zasmucona Marie - Ale odbiegamy od tematu. Czemu my gadamy o złocie? Ach tak! Była mowa o jaskiniach! Jest ich tutaj mnóstwo.

- Które są najbliższe nowych inwestycji?

- Wielki masyw górski sąsiaduje ze wszystkimi trzema, a jaskiń taranie brakuje - tłumaczyła Marie. - W ubiegłym tygodniu buldożery niwelowały teren. Nie można wykluczyć, że potencjalne znaleziska zostały bezpowrotnie zniszczone.

- W takim razie może warto jak najszybciej doprowadzić do bezterminowego wstrzymania wszystkich trzech budów i na miejscu sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

- Czy ja wiem? Pracownicy dostaną wtedy przymusowy urlop bezpłatny. Zostaną bez pieniędzy, a całą winę zrzucą na nas - odparła Marie, ściągając szefową na ziemię, - W tych firmach budowlanych pracuje sporo ludzi z rezerwatu. Jeśli pójdą na urlopy bezpłatne, wiele rodzin zostanie bez środków do życia. A poza tym zastanawiałaś się, jak przekonać władze do tego pomysłu?

- Nie mam pojęcia - odparła Phoebe i skrzywiła się wymownie.

Po chwili każda wróciła do swojej pracy. Korzystając z chwili samotności, Phoebe zamknięta w zaciszu niewielkiego gabinetu, próbowała dojść do siebie po nieoczekiwanym spotkaniu z Cortezem. Miała wrażenie, że w jej sercu tkwi ostry nóż. Przeszłość dzieliła ich niczym gruba ściana. Sam widok ukochanego sprawił Phoebe ogromny ból.

Zastanawiała się, dlaczego Cortez tu przyjechał. Zapewne nie był świadomy, że Phoebe pracuje w miejscowym muzeum. Przypuszczalnie wrócił do FBI jakiś czas temu, bo tak trudnej sprawy nie powierzono by agentowi, który dopiero niedawno zasilił szeregi firmy. Ciekawe, jak sobie poradzi.

Starła się odtworzyć ze szczegółami rozmowę z pechowym antropologiem. Otworzyła w komputerze nowy plik i zaczęła spisywać wszystko, co zdołała sobie przypomnieć. Było tego całkiem sporo. Dodała również uwagi na temat akcentu nieznanego. Wymawiał słowa jak Południowiec. Taka informacja z pewnością pomoże go zidentyfikować. Mówił z przerwami, jakby się jąkał albo nic był w stanie zebrać myśli. Wspomniał o dwóch osobach. Jedną był developer, drugą życzliwy informator. I ta wiadomość mogła się przydać. Podczas rozmowy tajemniczy

antropolog otworzył drzwi i wtedy ktoś do niego zawołał, Z pewnością była to kobieta. Zadzwoił w przeddzień swojej śmierci, dziesięć po trzeciej. Każdy z tych szczegółów analizowany osobno niewiele mówił, lecz połączone w całość mogły stanowić ciekawy materiał dla śledczych.

Phoebe nie zamierzała dzwonić do Corteza w tej sprawie. Zresztą nie wiedziała, gdzie go szukać. Postanowiła oddać dyskietkę Drake'owi, gdy przyjedzie na lekcję strzelania. On będzie wiedział, komu ją przekazać.

Przegrała plik i zabrała się do planowania wydatków. Całkiem zapomniała o muzealnym budżecie, gdy w muzeum zjawiała się bez uprzedzenia wycieczka emerytów.

Następnego ranka kończyła właśnie w kuchni skromne śniadanie, gdy terenowe auto wjechało na nieutwardzony podjazd. Jock, czarny labrador trzymający straż na werandzie, zaszczał głośno. Stała na progu w skarpetkach. Miała na sobie dżinsy i bawełnianą bluzę. W rękę trzymała kubek z kawą. Drake zaparkował przy schodach.

- Dostanę kawy? - zapytał przymilnie, wysiadając z auta. Ubrał się dziś w dżinsy, czarny T - shirt, flanelową koszulę w czarno - czerwonej kratce i wysokie buty. - Padam z nóg i potrzebuję solidnej dawki kofeiny na wzmocnienie. FBI pastwiło się nade mną. Czuję się jak przekreślony przez maszynkę!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co ma do ciebie FBI? - spytała zaniepokojona Phoebe.

- Twój kumpel Cortez wziął się na mnie - odparł i wszedł za nią do środka. Miał na nosie ciemne okulary, ale zdjął je w kuchni i ciężko opadł na krzesło, - Na jego widok nawet grzechotnik zwałby ze strachu – zawołał.

- Co chciał wiedzieć?

- Łatwiej byłoby sporządzić listę spraw, które go nie interesowały. Szybciej się z tym uporamy. Powiedziałaś mu o naszych lekcjach strzelania, prawda?

- Wybacz. Popeliłam błąd. - Skrzywiła się wymownie.

- Jego zdaniem nie warto się trudzić, bo i tak nie odważysz się do nikogo celować, choćbyś miała przypłacić to życiem - dodał.

Oburzona zaniemówiła na chwilę. Chciała zaprotestować, lecz po chwili zmieniła zdanie.

- Daruj, ale zgadzam się z nim - mruknął kpiąco Drake i wzruszył ramionami.

- Dobra, jestem mięczakiem. Przejrzelście mnie. - Westchnęła ciężko. - A jednak uważam, że jakbym się bardzo postarała, mogłabym strzelić tak, żeby ranić napastnika.

- Prawdopodobnie nie zdążysz, bo ukatrupi cię nim zbierzesz się na odwagę. Czasami trzeba decydować w ułamku sekundy, a nie ważyć racje i argumenty.

Phoebe przyglądała mu się z jawnym zaciekawieniem. Gdy wczesnym popołudniem wpadał do muzeum, żeby spytać, co słyhać, wydawał jej się bardzo młody. Spoglądając na niego w świetle poranka, odkryła, iż jest starszy, niż sądziła, - Postarzałem się, co? - zapytał z szerokim uśmiechem. - Masz rację. Przez Corteza przybyło mi dziesięć lat. Widzisz, mam nawet siwe włosy! - Wskazał skronie. - Pojawiły się wczoraj wieczorem.

- Bywa bezceremonialny.

- Też coś! Bezceremonialny! A Himalaje to pagórki. - Drake dotknął palcem brzegu kubka. Wzorek był zatarty jak na większości naczyń z zatarty Phoebe, wysłużonych, ale wciąż nadających się do użytku, - Słusznie się domyślam, że znasz go od dawna, prawda?

- Można powiedzieć, że jesteśmy zaprzyjaźnieni - odparła wymijająco.

- Zanim przyjechał tu prowadzić śledztwo, wiedział, że pracujesz w muzeum - oznajmił niespodziewanie Drake.

- Jak to? - Phoebe otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Nic więcej się od niego nie dowiedziałem ale to pewne, że martwi się o ciebie i wcale tego nie ukrywa.

Nie wiedziała, co o tym myśleć, więc utkwiała wzrok w filiżance.

- Większość ludzi, którzy osiedlają się na prowincji, chociaż nie pochodzą z małego miasteczka, ucieka przed złymi wspomnieniami. Marie i ja zastanawialiśmy się dlaczego tu przyjechałaś. Podniosła kubek do ust i upiła łyk, parząc sobie wargi.

- Teraz znamy powód dodał, wydymając usta. - Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i manieri głodnego niedźwiedzia brunatnego. Ten twój misiek potrafi zaleźć człowiekowi za skórę. Phoebe zachichotała.

- Cisną mi się na usta inne określenia, ale nie wypada ich używać w obecności damy - mruknął, kiwając głową. Cholera jasna, ten facet nie ma żadnych zahamowań. Idzie do przodu jak taran. Założę się, że jest świetnym agentem. Kiedy go poznałam, pracował jako prokurator federalny i też znakomicie sobie radził - powiedziała Phoebe.

- Dobrowolnie zrezygnował z ciepłej posadki w prokuraturze, żeby uganiać się za przestępcami? - Drake nie krył zdziwienia. - Dlaczego zdecydował się na taką zmianę?

- A bo ja wiem? Może jego żona nie chciała mieszkać w Waszyngtonie?

- Jest żonaty? - zapytał Drake po chwili namysłu.

Kiwnęła głową.

- Biedna kobieta! Żal mi jej! - oznajmił współczująco.

Wybuchnęła śmiechem, choć było jej ciężko na sercu.

- Teraz rozumiem, skąd dziecko - mruknął Drake.

- Jakie dziecko? - zapytała natychmiast, czując okropny ból.

- Przyjechał z fajnym maluszkiem. Mieszkają w hotelu. Sąsiedni pokój zajmuje jakaś dziewczyna, zapewne niania. Cortez odnosi się do niej życzliwie, ale z pewnością nie jest jego żoną.

- A dziecko? To syn czy córka? - Musiała wiedzieć.

- Synek. Ma chyba dwa latka - odparł Drake.. Miły chłopaczek. Dużo się śmieje. Bardzo kocha tatę.

Phoebe nie potrafiła wyobrazić sobie Corteza w roli ojca, ale teraz wiedziała, dlaczego tak nagle zdecydował się na ślub. Nic dziwnego, że przed trzema laty nie chciał się z nią przespać, skoro był z kimś związany. Szkoda tylko, że nie powiedział

prawdy...

- Przywiozłem tarczę - wyrwał ją z zamyślenia głos Drake'a. - Narysujemy na niej twarz Corteza? Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- To rozumem powiedział uradowany, - Za rzadko się śmiejesz.

- Przy tobie trudno zachować powagę - od - parła.

- Najwyższy czas, żebyś trochę wyluzowała. Głowa do góry. Wszystko się ułoży. Dzięki za kawę była pyszna. Uwielbiam ten cudowny napój.

- Ja też - przyznała. - Bez niej nie byłabym w stanie normalnie funkcjonować.

Wyszli przed dom. Drake otworzył drzwi auta i sięgnął po rewolwer kaliber 38.

- Jest łatwiejszy w obsłudze od broni automatycznej - Poza tym trudno go uszkodzić - Jedyne mankament polega na tym, że można z niego oddać tylko sześć strzałów. Musisz się nauczyć dobrze celować.

- Nie jestem pewna, czy potrafię utrzymać broń nieruchomo - oznajmiła z powątpiewaniem i westchnęła.

- Popracujemy nad tym. - Wyciągnął z auta tarczę strzelniczą w kształcie ludzkiej sylwetki od pasa w górę.

- Sądziłam, że tarcze strzelnicze to koła zmniejszające się ku środkowi, - - Phoebe spoważniała.

- W policji używamy właśnie takich - odparł rzeczowo. - Kiedy dochodzi do strzelaniny, trzeba wiedzieć, gdzie trafić. Podczas ćwiczeń oswajamy się z tą myślą.

Kształt tarczy przypomniał Phoebe o grożącym jej niebezpieczeństwie. Uświadomił również, że gdy znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, będzie musiała strzelić do człowieka.

- Podczas pierwszej wojny światowej okazało się, że pociski przelatują ponad okopami wroga, bo żołnierze umyślnie tak celują - tłumaczył Drake. - Zaniechano wtedy stosowania zwykłych tarcz i zastąpiono je ludzkimi sylwetkami. - Postawił swoją na wysokim brzegu, podszedł do Phoebe i pokazał jej, w jaki sposób nabija się broń. Zabezpieczył rewolwer.

- W tym modelu, żeby strzelić, wystarczy nacisnąć spust. Jest twardy, więc musisz użyć trochę siły, żeby zadziałał. - Odbezpieczył broń, podał Phoebe i pokazał, jak należy ją trzymać: prawa dłoń na kolbie, palec przy spuście. Lewa ręka podtrzymywała broń.

- Dziwnie się czuję.

- Musisz poćwiczyć, żeby przywyknąć. Wyceluj w tarczę i naciśnij spust Nie bój



się siły odrzutu. Niech lekko kopnie. Patrz wzdłuż lufy. Ten mały występ u wylotu ma być pośrodku. No, strzelaj!

Zawahala się z obawy przed hałasem.

- Oj przepraszam. Zapomniałem. Wziął od niej rewolwer, zabezpieczył go i położył na zwalonym pniu. Pogrzebał w kieszeni i wyjął zatyczki z elastycznej pianki.

- Uformuj stożki i zatkaj nimi uszy - poradził. - Stłumią huk tak skutecznie, że na pewno się nie przestraszysz. Słowo daję, to działa.

Pokazał jej, o co chodzi, więc naśladowała go w nadziei, że się nie zbłąźni. Wziął rewolwer, odbezpieczył i podał jej, kiwając głową.

Nadal była pełna obaw, więc sięgnął po bron i strzelił. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu hałas był ledwie słyszalny. Z uśmiechem odebrała rewolwer, wycelowała i pięć razy nacisnęła spust Trzy pociski trafiły w środek tarczy, tworząc regularny wzór.

- Widzisz? Wystarczą dobre chęci i zaraz są efekty. Spróbujemy jeszcze raz - powiedział z uśmiechem.

Po dwugodzinnym treningu Phoebe oswoiła się z bronią.

- Jesteś pewny, że nie narobisz sobie kłopotów, pożyczając mi ten rewolwer? - upewniła się.

- Na sto procent - Rozejrzał się wokół. Dom stał przy polnej drodze. Za plecami mieli góry, przed sobą strumyk. W pobliżu nie było żadnych zabudowań.

- Wiem, że to pustkowie - mruknęła - ale mam Jocka.

Drake przyjrzał się labradorowi drzemiącemu na werandzie.

- Nie wygląda na psa obronnego.

- Ale ma ostre zęby i bywa groźny, kiedy trzeba.

- Nie myślałaś, żeby przenieść się na jakiś czas do miasta?

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie będę uciekać jak tchórz. Lubię to miejsce, bo potrzebuję ciszy i spokoju.

- Trudno. - Drake zrobił ponurą minę. - Zobaczą, co się da zrobić w kwestii ochrony.

- Zapomnij! Policyjny budżet tego nie wytrzyma. Twój szefowie zaproponują, żebym kupiła sobie gwizdek. Podobno odstrasza napastników - odparła, tłumiąc chichot.

- Wiem, wiem, ale i tak spróbuję. Pamiętaj, gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń natychmiast Jeśli będę w terenie, oficer dyżurny mnie zawiadomi.

Był wyraźnie zatroskany, więc zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Dzięki. Naprawdę jestem ci bardzo zobowiązana - odparła.

- Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie - oznajmił kpiąco i nagle zawołał: - No proszę, byłbym zapomniał! - Otworzył drzwi auta i wyjął dwa pudełka z nabojami. - Bez tego ani rusz.

- Musisz mi powiedzieć, ile kosztowały.

Zwrócę co do centa - oznajmiła stanowczo. - Mam z czego. Pensja wpływa regularnie.

- Na pewno zarabiasz mniej niż ja. Muzealnicy nie są krezusami - mruknął.

- Musimy kiedyś porównać wyciągi z kont. Mów śmiało! Ile jestem ci winna?

- Dowiesz się w poniedziałek. Zajrzę do muzeum, zgoda?

- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co. Zamykaj się na klucz i trzymaj przy sobie psa - poradził. - Chyba nie chcesz, żeby ktoś mu zrobił krzywdę, a potem dobrał ci się do skóry.

- Słuszna uwaga. - Phoebe pokiwała głową.

Raz jeszcze obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem, wsiadł do auta i machając na pożegnanie, ruszył z dużą szybkością. Nad piaszczystą drogą długo unosiła się chmura kurzu.

Phoebe wyjęła naboje z bębena, wrzuciła je do kieszeni i weszła do domu. Jock deptał jej po piętach.

Zaczęła się bać, dopiero gdy zapadł zmierzch. Najlżejszy szelest pobudzał wyobraźnię. Zdawało jej się, że słyszy czyjeś kroki i stłumione głosy. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że ktoś śpiewnie zawodzi po irokesku.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. O piątej nad ranem całkiem rozbudzona poszła zaparzyć kawę. Usiadła przy kuchennym stole z twarzą ukrytą w dłoniach i nagle przypomniała sobie o zapiskach dotyczących rozmowy z zamordowanym antropologiem. Zamierzała oddać dyskietkę Drake'owi, lecz całkiem o tym zapomniała. Obiecała sobie, że zrobi to, kiedy spotkają się w muzeum.

Z oddali znów dobiegła pieśń śpiewana po irokesku. Zdziwiona podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Nikogo. Wybuchnęła nerwowym śmiechem. Czyżby zwariowała?

Pół godziny później wsiadła do auta i pojechała do pracy. Gdy z leśnego traktu wyjeżdżała na główną drogę, spostrzegła dzipa zaparkowanego po przeciwnej stronie na poboczu. Kierowca siedział z nosem w mapie. Do tej pory w takich sytuacjach zatrzymywała się, pytając, w czym może pomóc, ale dziś zabrakło jej odwagi.

W drodze do muzeum była trochę roztargniona. Ledwie mogła skupić się na prowadzeniu. Miała ochotę zadzwonić do ciotki i opowiedzieć jej, co się dzieje, ale uznała, że to bez sensu. Zdenerwowana Derrie poradziłaby jej natychmiast rzucić pracę w muzeum i przenieść się do Waszyngtonu. Phoebe nie miała ochoty na przeprowadzkę. Nieźle się urządziła w górskiej okolicy.

Po przyjeździe do muzeum włączyła komputer i otworzyła plik zawierający zapis rozmowy z denatem. Przejrzała i wydrukowała notatki, a potem skopiowała na dyskietkę, którą umieściła w plastikowym pudełku naprzeciwko siebie, żeby oddać Drake'owi. Miała nadzieję, że zapiski przydadzą się w śledztwie.

Przemyślała osobliwą nowinę o rzekomym odnalezieniu kości neandertalczyka i uznała, że to nie może być prawda. Gdyby neandertalczyk występował gdzieś w Ameryce Północnej, z pewnością uczeni natrafiliby na jego szczątki dużo wcześniej.

Drake wpadł późnym popołudniem, żeby poinformować o postępach w śledztwie.

- Ten facet z FBI to drań, ale zna się na robocie jak mało kto - powiedział od progu, uśmiechając się z uznaniem. - Zwrócił uwagę na kilka ciekawych wątków. Nic ci nie mogę powiedzieć, bo i tak krzywo na mnie patrzą - zastrzegł się, unosząc rękę.

- Dlaczego? - spytała wystraszona.

- Długo by mówić. Aha, poprosiłem kolegów patrolujących okolicę, żeby nocą mieli na ciebie oko - dodał. - Ostrożności nigdy za wiele.

- Dzięki - odparła. - Ile jestem ci winna za amunicję? Aha, mam coś dla ciebie.

- Naprawdę? - spytał zdziwiony i wszedł do gabinetu.

- I dla FBI - dodała, wręczając mu wydruk i dyskietkę. - Spisałam wszystko, co zapamiętałam z tamtej rozmowy: słowa zamordowanego, brzmienie głosu, dźwięki dobiegające z pokoju i tak dalej. Nic specjalnego, ale mało istotny detal okazuje się czasem kluczowy. Drake czytał, słuchając jej wywodów.

- Dobra robota. Mnóstwo szczegółów - powiedział, kiwając głową. - Masz znakomity słuch.

- Nic dziwnego. W przeciwieństwie do wielu kierowców nie włączam radia na cały regulator podczas jazdy samochodem - odparła zapalczywie, bo ponad wszystko nienawidziła hałaśliwych piratów drogowych. - Kiedy ci wszyscy ludzie dowiedzą się, że takie dźwięki powodują nie tylko upośledzenie słuchu, lecz także zmiany w mózgu, czeka nas seria procesów o odszkodowania.

- I bardzo dobrze - oznajmił wesoło.

- A wracając do tematu, mam nadzieję, że moje zapiski na coś się przydadzą. Ludzie nie powinni ginąć tylko dlatego, że są trochę zwariowani - dodała.

- Uważasz jego wywody za kompletnie pozbawione sensu?

- Raczej tak - oznajmiła stanowczo. - Po raz trzeci pytam, ile mam ci zwrócić za naboje. Lepiej powiedz od razu, bo inaczej zadzwonię do sklepu z bronią i poproszę, żeby podali mi cenę.

Dowiedziała się w końcu, ile wydał, i natychmiast wypisała czek.

- Raz jeszcze serdeczne dzięki za lekcję strzelania i wypożyczenie rewolweru. Bardzo to uprzejme z twojej strony.

- Nie ma o czym mówić. Na mnie już czas. Muszę wrócić do pracy. Uważaj na siebie - dodał.

- Obiecuję.

Wracając z wieczornego patrolu, Drake wstąpił do motelu, żeby zobaczyć się z Cortezem. Zapukał do drzwi jego pokoju.

- Proszę - usłyszał znużony głos.

Drake otworzył drzwi. Cortez siedział na krześle w skarpetkach, dżinsach i czarnym T - shircie. Trzymał w objęciach śpiącego chłopczyka. Rozpuszczone włosy opadały mu na plecy. Sprawiał wrażenie, jakby marzył o drzemce.

- Wyrzyna mu się kolejny ząbek - wyjaśnił. - Musiałem jechać z nim do ośrodka zdrowia, żeby dali nam środek przeciwbólowy i coś na uspokojenie. Dla nas obu - dodał z uśmiechem i mrugnął porozumiewawczo. - O co chodzi?

- Mam ciekawe informacje. - Drake podał mu złożony wydruk. - Panna Keller zanotowała rozmowę z antropologiem i spisała wszystkie zapamiętane szczegóły. Dała mi to również na dyskietce.

- Świetnie kojarzy - pochwalił Cortez, przebiegając wzrokiem tekst.

- Powinna zajmować się pracą naukową, a nie administrować małym muzeum - odparł Drake. - To zajęcie poniżej jej możliwości.

Cortez obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Skąd pewność, że nadaje się do pracy naukowej?

- Wolne żarty! Znam ją nie od dziś, a poza tym wiem dobrze, jak się odnosi do naszej spuścizny, bo jestem Czirokezem. Mam wprawdzie domieszkę innej krwi, ale mój ojciec to stuprocentowy Indianin. Matka była białą kobietą. Z czasem znudziły jej się złośliwe uwagi krewnych na temat mieszańca, którego wydała na świat. Kiedy miałem trzy lata, wyszła z domu i już nie wróciła. Tata zapił się na śmierć. Jako

siedemnastolatek zaciągnąłem się do armii. Tam znalazłem dom. Wśród żołnierzy nie brak ludzi mieszanej krwi - dodał rzeczowo.

Cortez przez chwilę mierzył go badawczym spojrzeniem.

- Ja mam hiszpańskich przodków.

- Nie widać tego po panu - wymamrotał Drake. - Zapewne nie wyróżnia się pan specjalnie wśród swoich ziomków.

- Owszem. Niewielu nas zostało. Was jest więcej.

- O kim pan mówi? O białych? Jestem mieszańcem.

- Nie, o Indianach. Sytuacja mojego plemienia stała się niewesoła. Zaledwie dziewięćset osób posługuje się językiem Komanczów. Nasza mowa zanika. Wkrótce będzie martwym językiem, a irokeski jest w natarciu.

- Każde plemię ma własną mowę - odparł sentencjonalnie Drake. - Muszę przyznać panu rację. Nasz język nadal jest powszechnie używany. - Spojrzał przyjaźnie na śpiącego chłopczyka. - Uczy go pan swojej mowy?

Cortez kiwnął głową. Zmrużonymi oczyma popatrzył na Drake'a.

- Jemu też nie będzie łatwo. Jego matka była biała.

- Przystąpiła do waszego plemienia?

- Nie żyje. Zmarła wkrótce po urodzeniu Josepha. - Cortez zerknął na rozmówcę, a potem odwrócił wzrok.

- Bardzo mi przykro - zapewnił Drake.

- Nie byliśmy sobie bliscy - odparł chłodno Cortez. - Dziękuję za notatki. Phoebe chciała, żebym je dostał?

- Uznała, że mogą się przydać FBI - odpowiedział wymijająco Drake.

Cortez odruchowo musnął wielką dłonią plecki oddychającego rytmicznie synka. Wydawał się intensywnie nad czymś rozmyślać.

- Mieszka na odludziu. To niebezpieczne.

- Kazałem naszym ludziom patrolować tamte okolice. Nauczyłem ją strzelać. Moim zdaniem użyje broni, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Będzie strzelała tak, żeby zranić, i to ją może kosztować życie - stwierdził ponuro Cortez i zamyślił się.

- Pogratulować optymizmu - mruknął kpiąco Drake.

- Dlaczego denat do niej zadzwonił? - spytał nieoczekiwanie Cortez, świdrując go ciemnymi oczyma. - Powinien zwrócić się raczej do miejscowych władz albo do policji. Czemu wybrał Phoebe?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. - Drake spochmurniał.

Cortez spojrział znów na wydruk i milcząc, wczytywał się w niego. Nagle zmrużył oczy.

- Facet wspomniał o córce.

- Owszem. Niewiele więcej o nim wiadomo - przyznał zakłopotany Drake. - Jego odciski palców nie figurują w żadnym rejestrze. To był pierwszy trop, który sprawdziłem.

- Nasz człowiek też przeszukał wczoraj bazy danych i nic nie znalazł. Oddałem do zbadania cały dostępny materiał. Lepiej nie mówić, jakich sposobów użyli moi współpracownicy, żeby przekonać ludzi z laboratorium do odłożenia innych dochodzeń i zajęcia się naszym.

- Zamordowany antropolog był zapewne Czirokezem - przypomniał Drake. - Poszukajmy w miejscowym rezerwacie jego krewnych.

- Dlaczego tutaj? To dość karkołomne założenie. Większość pańskich współplemieńców mieszka w Oklahomie - wtrącił Cortez.

- Racja - zreflektował się Drake.

- Nawiasem mówiąc, ja również tam mieszkam - mruknął z roztargnieniem Cortez. - Trzeba odpowiedzieć na dwa pytania: co przyгнаło faceta w te strony i skąd pochodził? Musimy sprawdzić, czy miał auto. Może było zarejestrowane w innym stanie.

- Sprawdzę te tropy, gdy tylko dotrę na posterunek. Zwrócę się również do naszej starszyny - obiecał Drake. - Może uda się odnaleźć krewnych denata albo ustalić, z którego klanu się wywodził. Gdyby trop prowadził do Oklahomy, z takimi informacjami łatwiej będzie odszukać jego bliskich.

- Słuszna uwaga. Trzeba sprawdzić jeszcze jedną informację - dodał Cortez. - Świadek, który w noc morderstwa zatrzymał się w motelu, widział na parkingu czarnego dżipa, który rankiem zniknął. Niech pańscy ludzie rozejrzą się... Co cię tak rozśmieszyło? - zachnął się, odruchowo przechodząc na ty.

- Chyba umknęło ci, że po okolicy jeździ mnóstwo dżipów, także czarnych. Auta z napędem na cztery koła świetnie sprawdzają się w górzystych okolicach - mruknął ubawiony Drake.

- Cholera jasna - zaklął Cortez i westchnął ciężko, a szeroka pierś uniosła się i opadła. Dziecko przez chwilę wierciło się niespokojnie, a potem zasnęło, przytulone do ojca, który po chwili namysłu powiedział: - Podobno wielu Czirokezów pracuje na

okolicznych budowach. Może nasz tajemniczy antropolog był krewnym któregoś z nich.

- Całkiem prawdopodobne. - Drake wydał usta. - Najważniejsze to ustalić, z którego był klanu. Wtedy bez trudu dotrę do jego krewnych. Poproszę Marie, żeby mi pomogła. To straszna gaduła, ale nie brak jej oleju w głowie. Oboje mamy w rezerwacie więcej kuzynów niż cała rada starszych, a to się liczy.

- Jaka Marie?

- Moja krewna. Pracuje w muzeum u panny Keller.

- Tak, pamiętam. - Cortez odwrócił wzrok.

- Zagadnęła mnie po irokesku, a ja... zareagowałem jak ostatni gbur.

- Obiło mi się o uszy.

Cortez popatrzył na Drake'a i uśmiechnął się przeproszająco.

- Denerwowałem się przed spotkaniem z Phoebe - wyznał. - Długo się nie widzieliśmy.

- Nie ściemniasz? - spytał z wahaniem Drake.

- Powinienem cię zdrowo objechać, żeby wyrównać rachunki, ale Phoebe Keller to wyjątkowa dziewczyna...

Cortez podniósł głowę i zmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Nie Jestem z nią i raczej nie będę - zastrzegł się Drake z ponurą miną i uniósł rękę.

- Daj mi skończyć, zanim uznasz, że dotknąłem cię do żywego.

Spojrzenie Corteza nie wróżyło nic dobrego. Drake odchrząknął i mówił dalej.

- Krótco znam Phoebe, ale Marie przepracowała z nią trzy lata. Z opowieści mojej kuzynki wynika, że na początku Panna Keller była istnym kłębkim nerwów. Odwiedziła ją tutaj jakaś pani w średnim wieku. Podobno ciotka. Przed wyjazdem poprosiła w sekrecie Marie, żeby miała oko na Phoebe. Wspomniała o kłopotach osobistych, które mogły spowodować załamanie nerwowe. Biedna dziewczyna musiała łykać leki antydepresyjne.

- Cholera jasna - zaklął Cortez zduszonym głosem i westchnął ciężko.

Niezadowolony chłopiec ponownie zaczął się wiercić. Cortez opamiętał się i uspokoił małego. a potem głośno wypuścił powietrze z płuc. Ręce mu drżały.

- Panna Keller nie wie, że Marie wspomniała mi o tym - dodał cicho Drake. - Jednak ty chyba powinieneś to usłyszeć.

Cortez unikał jego spojrzenia. Wyprężony jak struna patrzył przed siebie

niewidzącym wzrokiem.

- Wszędzie czai się kojot - mruknął z tłumioną wściekłością, robiąc aluzję do postaci z indiańskich legend znanych niemal wszystkim plemionom. Kojot symbolizował kogoś podstępного i wrogo nastawionego.

- Racja - przytaknął Drake. - Ale czasami udaje się go przechytrzyć.

- Wolałbym sobie uciąć rękę, niż umyślnie skrzywdzić Phoebe - zapewni! Cortez i spojrział na niego oczyma pociemniałymi ze wzburzenia.

- Trudne problemy rodzinne zmusiły mnie do podjęcia decyzji, które byłyby dla mnie nic do przyjęcia, gdybym miał prawo wyboru.

- Czy to ma związek z dzieckiem? - spytał zasepiony Drake.

- Owszem - odparł ponuro Cortez, z czułością spoglądając na chłopca. - Phoebe powinna mnie znienawidzić. Łatwiej zniosłaby to wszystko. Kto by pomyślał... - Umilkł, bo nie mógł się pogodzić z faktem, że pełna radości życia, ufna i pogodna dziewczyna z jego powodu pograżyła się w głębokim smutku.

- Każdy musi podejmować dramatyczne decyzje. W trudnych okolicznościach nie da się tego uniknąć.

Cortez opuszkami palców musnął główkę syna.

- Zaraz po ślubie wziąłem miesiąc wolnego i pojechałem na rancho kuzyna. Ujeżdżałem konie.

Drake rozumiał, o co mu chodzi.

- Żaden cię nawet nie kopnął, co? - spytał domyślnie.

- Zaliczyłem dwa ugryzienia. - Cortez roześmiał się ponuro i popatrzył na rozmówcę.

- Kiedy człowiek ma dosyć życia, paradoksalnie jakaś tajemnicza siła chroni go od zguby.

- Tak jest. Sam tego doświadczyłem. Nie mam skłonności samobójczych, ale gdy rzuciła mnie dziewczyna, wstąpiłem do komandosów - wyznał Drake. - Jej starzy nie życzyli sobie, żeby wnuki były mieszańcami.

Ciemne oczy Corteza w końcu złagodniały.

- A ja myślałem, że segregacja rasowa to już przeszłość.

- No coś ty - zachnął się Drake.

- To samo mówiłem Phoebe - przyznał Cortez. - Nie można oficjalnie zadekretować równości czy przestrzegania podstawowych norm etycznych.

- Racja. - Drake zaśmiał się.



- Dzięki za notatki Phoebe. - Cortez wskazał na wydruk. - Jutro pogadam z ekipą dochodzeniową. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Świetnie. Będę mieć oko na Phoebe Keller.

- Dzięki.

- Nie tylko tobie zależy na jej bezpieczeństwie. Moim zdaniem nie jest w pełni świadoma zagrożenia. Przyznasz chyba, że je bagatelizuje.

Cortez spojrzał spode łba, a Drake obronnym gestem wyciągnął rękę, uśmiechnął się lekko i ruszył w stronę drzwi.

- Aha, jeszcze jedno - rzucił, kładąc dłoń na klamce.

- Tak?

- Nie sądzisz, że powinieneś zamykać drzwi na klucz? Nie jesteś sam, masz dziecko.

W tej samej chwili na progu stanęła młoda kobieta, z wyglądu rówieśniczka Drake'a. Trzymała paczkę pampersów. Ciemnymi oczyma wpatrywała się w zastępcę szeryfa z wyraźnym zainteresowaniem. Ładną okrągłą twarz otaczały gęste czarne włosy. Uśmiechnęła się promiennie, ukazując białe zęby kontrastujące z oliwkową cerą.

- Przyszedł pan go aresztować? - zapytała wesoło, ruchem głowy wskazując Corteza.

- Mogę założyć mu kajdanki? Skonsternowany Drake nie był w stanie wykrztusić słowa.

Cortez wybuchnął śmiechem i nagle jakby odmłodniał.

- To moja kuzynka Tina. Kiedy nie ma mnie w domu, przyjeżdża do Oklahomy i opiekuje się Josephem. Jestem z Lawton, ona z Ashville. Mój ojciec jest za stary, żeby niańczyć malucha, więc Tina na moją prośbę zgodziła się tu przyjechać. Pracuje w miejskiej bibliotece i dorabia jako przewodniczka w Biltmore Estate - dodał, wymieniając jedną z najsłynniejszych atrakcji turystycznych.

- Wszyscy biorą mnie tu za Czirokezkę - powiedziała, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Cześć. Jestem Christina Redhawk. - Czując na sobie wymowne spojrzenie kuzyna, dodała:

- On przybrał nazwisko Cortez, ale ja wolę nasze rodowe.

- Drake Stewart - przedstawił się zbity z tropu policjant.

- Mieszkaś tu? - zapytała Tina, porzucając formy grzecznościowe.

- Jestem zastępcą szeryfa.

- Kolejny sługa Temidy - mruknęła, kiwając głową. Weszła do pokoju, rzuciła pieluchy na łóżko i oskarżycielskim gestem wskazała Corteza. - Mój kuzyn ciągle mnie swata. Każdy nowy agent staje się automatycznie kandydatem na męża. Dlatego przeniosłam się do Karoliny Północnej. W Ashville czeka na mnie sympatyczny policjant. - Popatrzyła wymownie na Corteza, a potem rzuciła Drake'owi zalotne spojrzenie. - Oczywiście ty jesteś od niego znacznie przystojniejszy...

- Drake już wychodzi - przerwał Cortez, wstając ostrożnie, żeby nie obudzić dziecka. - Weź Josepha. - Podał jej chłopczyka. - Niech śpi dzisiaj u ciebie. Mam sporo roboty, zamierzam poszperać trochę w Internecie.

- Ciocia się tobą zaopiekuje - powiedziała Tina, przytulając Josepha. Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się, stając twarzą w twarz z Drakiem. - Może się jeszcze zobaczymy - powiedziała z uśmiechem.

Zaśmiał się i jawnie rozbawiony kciukiem wskazał Corteza.

- Miejmy nadzieję, ale najpierw trzeba się go pozbyć.

- Zbiera stare monety. To by go zajęło - podpowiedziała scenicznym szeptem.

- Mam pięciocentówkę z 1976 roku - oznajmił tryumfalnie Drake, spoglądając z nadzieją na Corteza, który parsknął śmiechem i wywrócił oczami, a potem usiadł pod oknem przy małym stoliku, gdzie zostawił laptop.

- Kiedy włączy tę swoją maszynę, ludzie przestają dla niego istnieć - uprzedziła Tina. - Lepiej już chodźmy. Dobranoc, kuzynie.

Cortez kiwnął głową. Wszedł do sieci, zwinne palce biegały po klawiaturze z oszałamiającą prędkością.

- Jesteście do siebie bardzo podobni - zauważył Drake z nieukrywaną ciekawością. Zamknął drzwi i uśmiechnął się serdecznie.

- Nasi ojcowie to dwaj z trzech braci - wyjaśniła. - Szkoda, że jesteśmy stryjecznym rodzeństwem. Cortez jest wspaniałym facetem. Ale nawet gdybyśmy nie byli spokrewnieni, i tak bym go pewnie nie poderwała. Świata nie widzi poza pewną dziewczyną, absolwentką któregoś z uniwersytetów na Wschodzie. Stracił dla niej głowę. Niestety, po tragicznej śmierci młodszego brata wyszło na jaw, że narzeczona brata oczekuje dziecka. Rodzice panny nalegali na aborcję. Wtedy matka Jeremiasza wpadła w histerię i oznajmiła, że umrze, jeśli dziecko nie przyjdzie na świat. Dlatego Jeremiasz ożenił się z dziewczyną brata. - Pokręciła głową. Drake domyślił się, że ukochana Corteza to Phoebe Keller, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Nic z tego nie wyszło. Tamta biedaczka szczerze kochała Izaaka. Miesiąc po narodzinach Josepha powiesiła się na werandzie za domem.

Drake otworzył oczy ze zdumienia. Ile ciosów może spaść na jednego człowieka?

- Cortez odnalazł swoją wielką miłość?

- Próbował. Był nawet u jej rodziny, ale usłyszał, że go znienawdziła - opowiadała Tina przyciszonym głosem. - Przyznał się potem, że wysłał jej tylko wycinek z gazety informujący o ślubie. Żadnego wyjaśnienia. Wkrótce po powrocie do domu stracił pracę w prokuraturze federalnej. Nie przykładał się do niej specjalnie, bo w tym czasie jego matka zmarła, a nie mógł zostawić Josepha pod opieką wiekowego ojca.

- Pokręciła głową. - Miał wiele trosk. Kiedy zwątpił w to, że odnajdzie ukochaną, stał się zamknięty i ponury. Byłam zdziwiona, gdy udało ci się go rozśmieszyć - dodała po chwili.

- Dziś po raz pierwszy od trzech lat widziałam jego roz pogodzoną twarz.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Cortez położył się nad ranem. Spał zaledwie parę godzin. Nocą przejrzał wszystkie dostępne bazy danych, szukając informacji, które mogły pomóc w ustaleniu personaliów ofiary. Musiał zacisnąć zęby i uzbroić się w cierpliwość. Wiedział z doświadczenia, że czasami nieoczekiwanie następuje przełom w śledztwie. Wystarczy poczekać i spokojnie łączyć kolejne fakty.

Włożył garnitur, włosy związał w kucyk. Zostawił Josepha pod opieką Tyny i ufając intuicji, ruszył do swoich zajęć.

Jedno było pewne, natychmiast kontaktował się z pracownikiem jednej z firm budowlanych inwestujących w tej okolicy. Cortez miał zdjęcie nieboszczyka wykonane przez techników z policyjnego laboratorium. Dla doświadczonego agenta FBI to solidny punkt zaczepienia. Trzeba tylko zastukać do kilku drzwi, uważając pilnie, jaka będzie reakcja.

Największą budową w tym regionie był kompleks hotelowo - wypoczynkowy wznoszony na obrzeżach miasteczka Chenocetah. Dwie pozostałe inwestycje, również powstające w pobliżu jego granic, sięgały podnóży gór usianych jaskiniami.

Kierownik budowy, którą postanowił odwiedzić Cortez, miał biuro w przyczepie kempingowej. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, natychmiast je uchylił. Był wysokim, przystojnym blondynem, na oko trzydziestopięcioletnim. Prezentował się dość miło.

- Nie mamy wolnych miejsc pracy - oznajmił, obrzucając przybysza uważnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- A ja nie szukam zatrudnienia. - Cortez pokazał legitymację FBI.

- Przepraszam - odparł o wiele uprzejmiej kierownik budowy. - Przychodzi tu mnóstwo ludzi, których trzeba odprawić z kwitkiem. Pół rezerwatu chce się u nas zatrudnić.

Wpuścił Corteza do przyczepy i wskazał mu proste krzesło. Biurko było zarzucone planami i dokumentami. Wśród nich stała złota ramka ze zdjęciem ładnej blondynki o niebieskich oczach, a obok kilka golfowych trofeów.

- Chętnie zaproponowałbym panu kawę, ale przed chwilą wypilem ostatnią filiżankę, a puszka jest pusta. Muszę posłać do sklepu któregoś z pracowników - usprawiedliwiał się kierownik. Splótł dłonie na blacie i zapytał: - Czego chce ode mnie FBI?

Cortez wyjął zdjęcie i podsunął je rozmówcy, który ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się uwiecznionemu na fotografii mężczyźnie.

- Nie znam faceta. Pracuje dla nas? Czy to jeden z naszych podwykonawców? - wypytywał z jawną ciekawością.

- Sam chciałbym wiedzieć - przyznał Cortez. - Został zamordowany.

- Na mojej budowie? - Kierownik znieruchomiał.

- Nie.

- Bogu dzięki! - Słowom towarzyszyło westchnienie ulgi. Mężczyzna wyjął chustkę i otarł czoło. - W razie kolejnego opóźnienia będę miał tu piekło - oznajmił z ponurą miną. - I tak siedzimy teraz z założonymi rękami, czekając na stal zbrojeniową, która nie została dostarczona na czas. Kiedy szef się o tym dowiedział, myślałem, że mnie oskalpuje.

- Dyrektor firmy budowlanej? - spytał uprzejmie Cortez. Wyjął notes i pióro.

- Inwestor. Firmie szefuje ja. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jeb Bennett. Mam biuro w Atlancie.

- Jak długo pan tu pracuje?

- Trzy miesiące - odparł Bennett. - Gdybym wiedział, że facet będzie tak naciskać, zastanowiłbym się dwa razy, nim przyjąłbym to zlecenie. Nie lubię, gdy zmusza się moich ludzi do niewolniczego wysiłku. Musiałem ostro zwymyślać kilku podwładnych inwestora, którzy zaczęli się tu panoszyć.

Ciekawa informacja. Skoro zleceniodawca narzucił mordercze tempo, trudno oczekiwać zrozumienia dla wykopalisk archeologicznych.

- Nazwisko inwestora?

- Theo Papadopolis - odparł Bennett. - W kręgach hotelarskich nazywany Wielkim Grekiem. Wrzeszczy z byle powodu niemal tak głośno jak ja. Okropny dusigrosz. Zaczynał od niczego i dorobił się wielkich pieniędzy. Jego ojciec po drugiej wojnie światowej przyjechał do Ameryki jako zwykły elektryk. Założył mały warsztat. Syn go przejął, rozkręcił interes i dwadzieścia lat później był milionerem.

- Dorobił się legalnie? - przerwał Cortez.

- Kto wie? Ma wpływy i nie waha się z nich korzystać.

- Mogę prosić o numer jego telefonu?

- Oczywiście. - Bennett uśmiechnął się lekko. - Wiele bym dał, żeby posłuchać waszej rozmowy. - Otworzył etui na wizytówki i szybko znalazł właściwą. - To dla pana. Mam dwie. Może pan mu powiedzieć, kto go do niego skierował. - W

niebieskich oczach pojawił się groźny błysk. - To powinno dać mu do myślenia.

- Wredna zagrywka. - Cortez mrugnął porozumiewawczo.

- Tak pan sądzi? - mruknął Bennett. - Znam gorsze. Jeśli wypowiemy umowę i zwiniemy się stąd, będzie w kropce, prawda? - Wstał i dodał przyjaźnie: - Robota czeka. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zaraz przyjść z tym do mnie albo do mojego brygadzysty. On będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

- Jak się nazywa? - spytał pospiesznie Cortez.

- Dick Walks Far - powiedział Bennett.

- Jest Czirokezem. Dobry pracownik, uczciwy człowiek - dodał, odwracając wzrok, jakby coś ukrywał. - Pracuje dla mnie także w Atlancie.

- Czirokez z Karoliny Północnej? - zapytał Cortez.

Bennett zawahał się i pokręcił głową.

- Z Oklahomy.

- Mogę z nim porozmawiać? - Cortez kuł żelazo, póki gorące.

- Jasne. - Bennett uchylił drzwi i wrzasnął na całe gardło. Nie potrzebował megafonu.

Zaśmiał się, gdy Cortez zasłonił sobie uszy.

- W tym fachu trzeba mieć donośny głos - wyjaśnił.

Wkrótce po schodkach przyczepy wszedł wysoki brunet w roboczym kombinezonie i białym kasku ochronnym. Na widok legitymacji FBI stanął jak wryty.

- Coś przeskrobałem? - spytał od razu.

- Skąd mam wiedzieć, skoro nawet pan tego nie wie? - Cortez kpiąco uniósł brwi.

- *Osiyo*. - Czirokez powitał agenta w ojczystym języku. Jego ziomkowie ze wschodu opuszczali pierwszą literę. Uspokoił się nieco i parsknął śmiechem.

- Jestem Komanczem. - Cortez mrugnął porozumiewawczo.

- Aha. To zmienia postać rzeczy. *Ma ruawe! Unha hakai nuusuka?* - poprawił się Dick Walks Far. - Witam. Jak samopoczucie?

Cortez spojrział na niego z uznaniem i odpowiedział w języku swojego plemienia.

- *Tsaatu, untse?* - Uśmiechnął się. - Gdzie się pan nauczył języka mego ludu?

- Moja matka pochodziła z plemienia Komanczów - odparł uprzejmie Walks Far, przechodząc na angielski. - Czego szuka tu FBI? Bennett zawyża stawki i naciąga klientów?

- Nie. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa - wyjaśnił Cortez i podsunął mu zdjęcie. - Zna pan tego mężczyznę?

Walks Far zmienił się na twarzy, lecz w ułamku sekundy zapanował nad sobą i ukrył emocje. Uwadze Corteza nie uszło jednak, że dwa razy zamrugał powiekami, zmarszczył brwi i lekko pochylił się nad fotografią.

- Owszem - mruknął po chwili. - W ubiegłym tygodniu wypytywałem o jaskinie.

- Tak? - powiedział zachęcająco Cortez.

- Przedstawił się jako archeolog - ciągnął Walks Far. - Ktoś wspomniał mi o cennym znalezisku, ale nie wskazał lokalizacji. Wiadomo było jedynie, że odkrycia dokonano w jaskini na terenie jednej z okolicznych budów. Ten facet chciał zajrzeć do tych na naszym terenie.

- I co pan na to? - zapytał Cortez.

- Oprowadziłem go po jaskiniach - ciągnął brygadzysta. - Rozejrzał się, podziękował i poszedł.

- Miał auto? - zaciekał się Cortez.

- Nie wiem - odparł Walks Far z wahaniem. - Trudno mi powiedzieć, jak tu dotarł.

- Co stanie się z jaskiniami? - wypytywał Cortez na wypadek gdyby w śledztwie okazało się, że trzeba tam szukać tropów.

- Nic - zapewnił Walks Far, nie kryjąc zdziwienia. - Znajdują się na obrzeżach naszej budowy, koło rzeki, w jodłowym zagajniku.

- Pozostaną w nienaruszonym stanie jako atrakcja turystyczna - wtrącił Bennett. - Wielki Grek zna tu faceta, który jest doświadczonym speleologiem, więc będzie robić za przewodnika. Theo już planuje wycieczki. Będzie miał dodatkowy dochód... do pierwszego wypadku.

Walks Far wybuchnął śmiechem.

- Nie będę wchodził do żadnych jaskiń. Tam jest pełno nietoperzy - oznajmił stanowczo.

- Przed oddaniem hotelu do użytku zwrócimy się do nietoperzy z uprzejmą prośbą o opuszczenie grot - obiecał ironicznie Bennett.

- Życzę powodzenia - skomentował drwiąco Cortez. Schował zdjęcie do kieszeni, obserwując ukradkiem obu mężczyzn, ale nie zauważył nic podejrzanego.

- Co wiecie o innych firmach budujących w tej okolicy?

- Wiem sporo o jednej - powiedział Bennett i twarz mu spochmurniała. - Paul

Corland i jego banda. Pochodzą z Karoliny Południowej. Budowali kiedyś centrum handlowe, ale doszło do poważnego wypadku. Jedna ze ścian runęła, dwaj robotnicy zginęli na miejscu. Corlandowi na czas śledztwa cofnięto uprawnienia, ale uniknął odpowiedzialności, bo zdaniem rzeczoznawców do katastrofy doszło z powodu wadliwych materiałów.

- Pan w to nie wierzy - zauważył Cortez, widząc minę rozmówcy.

- Słuszna uwaga - przytaknął Bennett. - Jak się jest w branży parę lat, łatwo odróżnić dobrego fachowca od partacza. Corland to zakała. Kto go zatrudnia, powinien zawczasu wykupić porządne ubezpieczenie, bo zbankrutuje, gdy trzeba będzie płacić odszkodowania. - Wyciągnął rękę ku północy. - Buduje hotel nad rzeką, jakiś kilometr stąd, za pieniądze miejscowych inwestorów. Niech pan weźmie na spytki ludzi z wydziału zagospodarowania przestrzennego w miejskim ratuszu. Mam przeczucie, że coś tu nie gra.

- Dzięki za radę - powiedział i Cortez wyciągnął do niego rękę.

- Na mojej budowie wszystko jest jak trzeba. Brzydę się oszustwem.

- Ja również - odparł Cortez.

- W takim razie jest nas trzech - wtrącił Walks Far. - Niech pan uważa.

- Oczywiście - odparł Cortez. Podziękował Bennettowi za poświęcony czas i poprosił o informacje, jak dojechać do jaskiń.

- Mogę się tam rozejrzeć? - zapytał.

- Proszę bardzo - odparł przedsiębiorca budowlany. - Nie ma problemu.

Cortez zaczął rekonesans od jaskini położonej najbliżej placu budowy. Miał nadzieję, że wypatrzy jakiś szczegół, który naprowadzi go na właściwy trop. Nie padało od dnia, w którym znaleziono zwłoki antropologa. Prognoza pogody na kilka najbliższych dni również brzmiała optymistycznie. Cortez liczył na to, że znajdzie ślady opon, opakowanie po gumie do żucia albo niedopałek papierosa. W śledztwie liczył się każdy drobiazg, a Cortez miał dobre oko.

Następnego dnia zamierzał sprawdzić budowę prowadzoną przez firmę Corlanda.

Zajrzał do motelu, żeby upewnić się, że u Tiny i Josepha wszystko w porządku. Zdjął garnitur i włożył dżinsy oraz czarny T - shirt, a na wierzch kraciatą koszulę z długimi rękawami.

Po chwili namysłu rozpuścił włosy i wcisnął na nos ciemne okulary.

Uznał, że pora odwiedzić miejscowe muzeum, w którym pracowała Phoebe.



Zaparkował i trzema długimi susami pokonał kilka stopni.

Marie, która właśnie wychodziła z gabinetu Phoebe, na jego widok stanęła jak wryta.

- *Siyo* - rzucił uprzejmie po irokesku, gdy usunęła mu się z drogi. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Phoebe właśnie rozmawiała przez telefon. Gdy zobaczyła Corteza, miała wrażenie, że właśnie dostała pałką po głowie. Otworzyła usta i głośno wciągnęła powietrze. Czas stanął w miejscu. Znów była w Charlestonie, młoda, zakochana... Wyglądał tak samo jak w dniu, gdy pojechała z nim szukać śladów ciężarówki przewożącej toksyczne odpady.

Zdjął okulary i schował je do kieszeni na piersiach.

- Jestem na tropie mordercy - oznajmił. - Jedziesz ze mną szukać śladów?

Znieruchomiała z uniesioną słuchawką, z której dobiegał niecierpliwy głos:

- Halo? Halo?

- Przepraszam - zreflektowała się i zamrugowała powiekami. - Muszę teraz...

Dzięki. Później zadzwonię.

Przerwała połączenie i usiłowała odłożyć słuchawkę. Udało się dopiero za drugim razem.

Wstała, choć nogi uginały się pod nią. Spoglądała na Corteza lśnięcymi oczyma, które błyszczały coraz bardziej w miarę, jak zaskoczenie zmieniał się w gniew. Jak on śmiał? Najwyraźniej wydawało mu się, że może wpaść znienacka, zaprosić ją do współpracy i jednym miłym gestem zatrzeć bolesne wspomnienia! Co za bezczelność! Phoebe nie wytrzymała. Musiała jakoś odreagować.

- Trzy lata - przypomniała lodowatym tonem. - Trzy długie, samotne lata. Przysłałeś mi ten cholerny świstek. - Wyciągnęła z szuflady wycinek i pomachała nim Cortezowi przed nosem. - Marny kawałek papieru i nic więcej! Ani słowa wyjaśnienia! Żadnych przeprosin! Nic! Nie zadałeś sobie nawet tyle trudu, żeby wytłumaczyć, dlaczego robiłeś mi nadzieje na wspólną przyszłość, a wkrótce potem ożeniłeś się z inną kobietą. I po tym wszystkim jak gdyby nigdy nic wchodzisz do tego gabinetu, przerywasz mi pracę i chcesz, żebym z tobą tropiła przestępców. - Rzuciła w niego kawałkiem papieru. Niebieskie oczy lśniły jak gwiazdy.

- Idź do diabła! Jesteś podły, okrutny, bezduszny. Ty cholerny gadzie! Ty...

Obszedł biurko, odcinając Phoebe odwrót, chwycił ją w ramiona, przyłgał całym ciałem i pocałował z desperacją skazańca idącego na egzekucję.

- Ty... - wymamrotała, chcąc się wyrwać.

Próbowała go kopnąć, ale stopą zrećcznie unieruchomił jej kostkę. Straciła równowagę i ratując się przed upadkiem, osunęła się ciężko na jego szeroką pierś.

Objął ją mocniej i zachęcił, żeby rozchyliła usta. Za plecami miała ramię o mięśniach twardych jak stal. Uderzyła go pięścią, ale nie poczuł. Miał wrażenie, że wraca do życia i cały płonie. Trzy długie lata nie odczuwał pożądania. Radość uderzyła mu do głowy. Jęknął, nie przerywając pocałunku.

Phoebe zdawała sobie sprawę, że powinna odepchnąć Corteza, lecz mimo upływu lat wystarczyło jedno dotknięcie, żeby wróciło poczucie bliskości. Pamiętała zapach jego wody kolońskiej. Była w nim świeża nuta jodły i woń kwitnącej łąki. Cortez całował zachłannie i namiętnie. Wiedział, jak skruszyć skrupuły Phoebe. Był rozpalony żądzą. Naprawdę jej pragnął, niczego nie udawał. Wystarczyło kilka chwil, żeby i ona całkiem się zapomniała.

Niemal łkając z rozkoszy, zaniechała oporu i rozchyliła usta. Pogłaskała gładko wygolony policzek i wsunęła palce w długie, gęste, czarne włosy. Przeszłość spotkała się z terażniejszością. Phoebe niemal rozpaczliwie oddała pocałunek. Świat zawirował.

Po kilku szalonych chwilach wrócił jej zdrowy rozsądek. Usłyszała jakieś głosy... a właściwie śmiech i chichot.

- Jeremiaszu, zapomniałeś, że w drzwiach mojego gabinetu jest duża szyba - wymamrotała, odwracając głowę.

- I co z tego? - spytał niezbyt przytomnie. Spojrzała ku drzwiom, a Cortez poszedł za jej przykładem. Po drugiej stronie ujrzeli mnóstwo roześmianych twarzączek i dziecięcych rąk. Ponad malcami widać było ramiona i twarz zafrasowanej Marie. Obok niej stało pięć zupełnie nieznanym Phoebe osób, między innymi dobrze ubrana blondynka.

Cortez chrząknął nerwowo i natychmiast pomógł Phoebe stanąć prosto. Sprawdzał, czy odzyskała równowagę, a potem opuścił ręce, cofnął się i stanął zwrócony plecami do tego zbiegowiska. Powtarzał bezgłośnie tabliczkę mnożenia, żeby odzyskać spokój. Okulary wypadły z kieszeni i leżały na podłodze. Wolno schylił się, żeby je podnieść.

Phoebe obciągnęła żakiet i nerwowym ruchem przyglądziła włosy. Usta miała spuchnięte. Cieszyła się, że nie widzi, jak wygląda.

- Jak mogłeś? - spytała oskarżycielskim tonem. - Jesteś żonaty - dodała zduszonym głosem.

- Nie - odparł krótko. - Owdowiałem ponad dwa lata temu.

- Aha - wyszeptała z trudem Phoebe. Nadal ciężko dyszała, kręciło się jej w głowie. Z obawy, że zaraz zemdleje i jeszcze bardziej się skompromituje, opadła ciężko na fotel.

Cortez nie bez trudu wziął się w garść. Przysiadł na brzegu biurka i popatrzył jej w oczy.

- Za jakiś czas wszystko ci opowiem. Muszę poczekać, aż będziesz gotowa mnie wysłuchać.

- Proszę bardzo, mów! Skąd u ciebie te skrupuły? - odcięła się złośliwie.

- Powiedziałem ci kiedyś, że zanim cokolwiek zrobię, staram się przewidzieć wszelkie możliwe konsekwencje - odparł. - Zakładałem, że oszczędzę ci smutku, jeśli mnie mocno znienawidzisz.

- Dlaczego miałabym się smucić? - zapytała, starając się, żeby jej głos brzmiał całkiem normalnie. - Byliśmy tylko przyjaciółmi.

Cortez pokręcił głową.

- Łączyło nas coś więcej.

- Nieprawda!

Buntownicza mina wymownie świadczyła, że Phoebe będzie się upierać przy swoim, choćby nie szczędził namiętnych pieszczot, żeby ją przekonać o potędze swego uczucia. Lepiej cierpliwie czekać na właściwy moment.

Zachowała wycinek z gazety. To ważne. Zerknął do szuflady, z której go wyjął, i zobaczył talizman zrobiony dla niej trzy lata temu przez jego ojca. Zachowała i ten drobiazg!

Spostrzegła, na co patrzy, wyciągnęła ramię i z trzaskiem zamknęła szufladę.

- Pamiętasz, co ci napisałem? - zapytał. - Ojciec nalegał, żebyś zawsze miała talizman przy sobie. Nie wiem, dlaczego. Twierdzi, że to ci może uratować życie.

Phoebe wierciła się w fotelu.

- Twój ojciec jest szamanem?

- Tak. Kiedy usłyszał, że cię odnalazłem, przypomniał mi o talizmanie.

Zdziwił ją dobór słów. Podniosła wzrok.

- Szukałeś mnie?

- To znaczy, kiedy dowiedziałem się, że tu jesteś - poprawił się, odwracając wzrok. - Ojciec nalega, żebyś wychodząc z domu, zawsze nosiła talizman, razem z tym.

- Wyjął z kieszeni dzinsów dwie meksykańskie monety. Podał je Phoebe. Były duże,

ciężkie i rozgrzane ciepłem jego ciała.

- Co to jest? - Ważyła je w dłoni.

- Stare peso. Cenne okazy numizmatyczne - wyjaśnił. - Ojciec dokładnie określił, gdzie masz je nosić. W prawej kieszeni spodni albo w saszetce przyczepionej do paska.

- Naprawdę uważa, że mogą uratować mi życie? Ciekawe jak? - Pogłaskała wizerunki na ciężkich monetach.

- Miał proroczy sen - oznajmił Cortez.

- Psychiatra powiedziałby, że to omamy albo efekt migreny. Nawiasem mówiąc, ojciec rzeczywiście cierpi na silne bóle głowy, ale zdarza mu się przewidzieć przyszłość. Jeden z jego braci mieszka w Kalifornii i jest całkiem... normalny. Drugi osiedlił się w Arizonie. Jego żona pochodziła z plemienia Apaczów. Posiada ten sam dar, co mój ojciec. Stryj pozostał w Arizonie i wychował tam syna zatrudnionego obecnie w CIA. Zawsze wie, gdy juniorowi grozi niebezpieczeństwo.

- Znam ludzi o takich zdolnościach wyznała, spoglądając w ciemne oczy. Nagle doznała olśnienia. - Twój ojciec wiedział, że Jestem w niebezpieczeństwie, zanim tu przyjechałeś, żeby prowadzić śledztwo!

Cortez kiwnął głową.

- Dał mi te monety przed miesiącem. Powiedział, że już niedługo spotkam się z tobą w Karolinie Północnej.

- Wiedział... że tu przyjedziesz?

Cortez popatrzył na duże monety, które trzymała w otwartej dłoni.

- Tak. Bóg raczy wiedzieć skąd. Wyjechałem z Oklahomy, żeby prowadzić śledztwo, nie było mnie do lata. Jestem Komanczem, więc kiedy powstał osobny wydział do spraw przestępczości na terytoriach Indian, natychmiast zostałem do niego przeniesiony. Szef przysłał mnie tutaj, gdy tylko dotarła do nas wiadomość o morderstwie popełnionym na terenie rezerwatu Yonah. - Zawahał się na moment. - Latem przez kilka dni byłem na urlopie. Pojechałem do Charlestonu.

- Od trzech lat nie pokazuję się w tym mieście - wtrąciła opryskliwie.

Nie potrafiła opisać wyrazu jego twarzy.

- Wiem - odparł z naciskiem.

- Ale... Szukałeś mnie? Patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Nie pisałeś - rzuciła ostro.

- Jak mógłbym? - Zacisnął powieki. - Nie znalazłem słów, które ukoilyby twój

ból.

Nie chciała wspominać przeszłości. Westchnęła głęboko. Na szczęście Cortez nie miał pojęcia, jak bardzo rozpaczała po przeczytaniu tamtego ogłoszenia. Dzięki jego niewiedzy ocaliła swoją dumę.

- Było, minęło - rzuciła oschle. - I bardzo dobrze. Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki.

- Jedź ze mną w teren - poprosił znowu, spoglądając na swoje paznokcie.

- Jestem tu kustoszem. Szefowa powinna świecić przykładem - odparła, piorunując go wzrokiem.

- Nic się nie stanie, jeśli urwiesz się na dwie godziny.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - broniła się, ale bez przekonania.

- Wpadniemy do ciebie. Przebierzesz się.

- Nie mogę... - zaczęła.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Marie zajrzała do gabinetu.

- Przepraszam - mruknęła, podchodząc bliżej i wskazując elegancką blondynkę, która wraz z kilkoma dorosłymi osobami stała obok grupy dzieciaków. - To nauczycielka. Od paru minut czeka przed drzwiami. Chce z tobą porozmawiać o pracownikach i muzealnym regulaminie. - Marie uśmiechnęła się szeroko.

Phoebe odchrząknęła. Policzki miała rozpalone.

- Przepraszam, ale nie mogę teraz z nią rozmawiać, bo mam pilną sprawę do załatwienia. Wychodzę na kilka godzin - oznajmiła Phoebe. - Niech ta pani zwróci się do Harriet.

- Harriet spodziewała się, że tak powiesz. Masz jej rano kupić pączki. I kawę.

- Dostanie podwójną porcję. Powiedz jej, że FBI prosi mnie o konsultację.

- A więc tak to się teraz nazywa. - Marie mrugnęła porozumiewawczo.

Phoebe cała w rumieńcach zerwała się z fotela, przemknęła obok Corteza, chwyciła torebkę i podbiegła do drzwi.

Cortez odsunął szufladę i wyjął talizman. Przechodząc obok Marie, nie uśmiechnął się, ale puścił do niej oko, a potem założył ciemne okulary.

Marie postąpiła chwilę przy biurku Phoebe, wachlując się dłonią, żeby ochłonić. Nieznajomy wydawał się arogancki i pewny siebie, ale nie widziała dotąd przystojniejszego mężczyzny. Taki na pewno potrafi zawrócić w głowie. Biedna Phoebe nie miała żadnych szans.

Jak za dawnych lat... Cortez został w aucie, a Phoebe wpadła do domu. Mijając

ujadającego Jocka, pogłaskała go po głowie. Szybko przebrała się w dżinsy i buty na płaskim obcasie. Gdy wróciła do samochodu, oboje mieli wrażenie, że cofnęli się w czasie. Phoebe włożyła ciemne okulary. Potrzebowała szkielek do czytania, lecz na odległość widziała dobrze.

Cortez otworzył przed nią drzwi. Wsiadła i zapięła pasy. Natychmiast poszedł w jej ślady.

- Pogratulować dobrych manier - powiedziała, gdy usiadł za kierownicą.

- Moja matka nam je wpoila. Izaak jej nie słuchał. Ja tak.

Izaak... Jego brat. W głosie Corteza usłyszała osobliwy ton.

- Co u niego? - zapytała, spoglądając na Corteza z ciekawością.

- Umarł - odparł krótko i wrzucił wsteczny bieg.

Złożyła dłonie leżące na kolanach i spojrzała w okno. Nie wiedziała, czy drażnić sprawę, czy dać spokój.

- Niedawno? - spytała ostrożnie.

- Przed trzema laty.

W tym samym czasie Cortez poślubił inną kobietę. Przyszło na świat dziecko. Phoebe zrobiło się słabo... A jeśli...

Popatrzyła na Corteza szeroko otwartymi oczami, przeczuwając, co za chwilę usłyszy.

- Była w trzecim miesiącu ciąży. Joseph to... ich dziecko - wykrztusił z trudem, jadąc wolno górską drogą ku szosie. - Jej rodzice nalegali, żeby przerwała ciążę. Moja matka dostała ataku serca. Izaak nie żył...

- Poświęcili ciebie, żeby ratować dziecko. Zaciśnął palce na kierownicy. Na samą myśl o tym serce ścisnęło mu się z żalu. Phoebe szybko kojarzyła fakty i wyciągała trafne wnioski. Zawsze była bardzo bystra.

- Joseph nie jest twoim synem, tylko bratankiem - powiedziała.

Długo milczeli. Cortez westchnął głęboko.

- Owszem - przytaknął.

Otępiła Phoebe niewidzącym wzrokiem patrzyła w okno.

- Dlaczego do mnie nie napisałeś? Wystarczyłby krótki list, żebym wszystko zrozumiała.

- Byłem żonaty...

- Podobno owdowiałeś...

Bez słowa zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Odwrócił

się w jej stronę i zdjął ciemne okulary.

- Miesiąc po narodzinach Josepha zostawiła go ze mną i powiedziała, że idzie na spacer. Twierdziła, że potrzebuje chwili samotności. Prowadziłem wtedy śledztwo i szukałem czegoś w Internecie. Cóż, straciłem poczucie czasu. Po trzech godzinach zreflektowałem się, że jej spacer trwa stanowczo za długo. Joseph był głodny, a ja nie miałem pojęcia, jak przygotować mieszankę, nigdy przedtem nie karmiłem małego butelką. Zostawiłem go w kołysce i poszedłem jej szukać. - Twarz mu poszarzała.

- Wzięła z szopy gruby sznur, przymocowała do belki na werandzie za domem. Powiesiła się tam. Gdy ją znalazłem, już nie żyła.

Phoebe zasłoniła usta rękami.

- Nie kochałem jej. Była dziewczyną Izaaka, jego darzyła miłością. Choćbyśmy spędzili we dwoje dziesięć lat, nie byłibyśmy prawdziwym małżeństwem. Ta dziewczyna nie potrafiła żyć bez ukochanego.

Już miała powiedzieć, że doskonale ją rozumie, ale ugryzła się w język.

- Doskonale ją rozumiem. W ciasnym wnętrzu auta zabrzmiało dramatyczne wyznanie, wypowiedziane jednak głosem Corteza, nie Phoebe, która nagle pobladła z wrażenia i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Trzy lata - powiedział, wzdychając ciężko.

- Wiem, że bardzo cierpiałaś z mojego powodu, ale nie wiem, jak cię za to przeprosić. Już miałem wyznać ci wszystko i jakoś się wytłumaczyć, ale wtedy moja matka przeszła drugi zawał. To ona zajmowała się Josephem, kiedy wyjeżdżałem służbowo z Oklahoma City. Ojciec nie dawał rady. Wcześniej zrezygnowałem z pracy w prokuraturze federalnej, ponieważ byłem potrzebny w domu. Zadzwoiłem do mojego dawnego szefa z FBI, który tymczasem awansował i stał się ważną figurą. Załatwił mi pracę i dopilnował, żebym dostawał zlecenia, dzięki którym mogłem stale przebywać w okolicach Lawton.

- Gdzie to jest?

- Lawton? Terytorium Komańczo w stanie Oklahoma - wyjaśnił. - Wszystko dobrze się ułożyło, bo codziennie po pracy wracałem do domu, a rano znów jechałem w teren. Po śmierci matki ponownie próbowałem cię odnaleźć. Miałem nadzieję, że jeśli popracuję trochę na Południu i będę bliżej domu twojej ciotki, w końcu mi się poszczęści i natknę się na ciebie. Wykorzystałem nawet zaległy urlop. Wszystko na nic. Ani razu się tam nie pojawiłaś. Dałem sobie z tym spokój i po urlopie wróciłem na stare śmieci.

- Osiadłam tutaj, bo nie mogłam wytrzymać w Charlestonie. Za dużo złych wspomnień.

Zawahała się, bo ważne pytanie nie chciało jej przejść przez gardło.

- Pewnie masz ochotę zapytać, dlaczego nie poprosiłem Derrie o twój adres - domyślił się Cortez.

Phoebe kiwnęła głową.

- Odważyłem się. - Westchnął głęboko. - Powiedziała, że jej tego kategorycznie zabroniłaś. Usłyszałem też, że będziesz mnie nienawidzić aż po grób. - Wzruszył ramionami. - Mimo wszystko nie poddałem się. Dużo czasu minęło, nim cię odnalazłem, ale w końcu dopiąłem swego.

- Czemu wróciłeś do FBI? - spytała z ciekawością.

- Powstała nowa komórka do spraw przestępczości na terenach zamieszkanych przez Indian. Działam na obszarze obejmującym cały południowy wschód aż po tereny Seminolów. - Uśmiechnął się lekko. - Gdy mój szef usłyszał o morderstwie popełnionym w tej okolicy, przypomniał sobie, jak mu wspomniałem, że się tu przeniósł. Natychmiast przydzielił mi to dochodzenie. Mam niezłą posadę, praca daje mi satysfakcję, nie jest źle, lecz i mnie ostatnie trzy lata dłużyły się w nieskończoność.

- Wiedziałeś, że tu mieszkam? - zapytała. Cortez kiwnął głową.

- Ale skąd?



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie uwierzysz, jeśli powiem - wymamrotał Cortez.

- Spróbuj.

- Dostałem cynk od mego ojca. Trudno wyczuć, skąd wiedział - padła niepewna odpowiedź. - Ma nie tylko dar proroczy, lecz i wysoko postawionych przyjaciół, także w policji oraz w agencjach rządowych. Tak czy inaczej odkrył, gdzie jesteś. - Wpatrywał się w nią żarliwie.

Phoebe przyglądała mu się z jawną nieufnością. Był tu z nią. Tak długo rozpaczała z jego powodu. Mimo wszystko nie zasługiwał na jej zaufanie, bo trzy lata temu zostawił ją bez słowa wyjaśnienia.

- Chyba wiem, co myślisz. - Westchnął.

- Minie sporo czasu, nim znowu mi zaufasz.

- Zdjął okulary i w zadumie gryzł koniec oprawki. - Moglibyśmy udawać, że dopiero się poznaliśmy. Wdowiec z małym synkiem i śliczna pani dyrektor muzeum. Współpracujemy przy ważnym śledztwie. Bez komplikacji, bez wzajemnych oskarżeń. Na początek zostanmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Rzuciłeś się na mnie w gabinecie jak wygłodzony samiec, a teraz proponujesz mi przyjaźń? - spytała kpiąco, próbując ukryć zdenerwowanie. - Jeśli tamta nauczycielka złoży skargę, przez ciebie będę musiała się tłumaczyć przed radą nadzorczą.

- Jeśli naskarzy, sam rozmówię się z twoimi szefami. Wytłumaczę im, że nie mogłaś zaczerpnąć powietrza, więc musiałem ci zrobić sztuczne oddychanie metodą usta - usta. Dla lepszego efektu możesz udać, że mdlejesz, a ja pokażę, jak to robiłem.

Zrobił tak śmieszna minę, że z trudem stłumiła śmiech. Nie chciała po sobie pokazać, jak dobrze się bawi, dlatego odchrząknęła i zmieniła temat.

- Wspomniałeś, że mamy tropić przestępcę. Czego szukamy?

- Sam nie wiem - przyznał, uruchamiając silnik - ale zorientuję się, kiedy wpadniemy na ważny trop.

Gdy wjechał na szosę, Phoebe zerknęła w stronę pobocza, gdzie tamtego dnia, kiedy wręczyła Drake'owi dyskietkę z informacjami dotyczącymi zamordowanego mężczyzny, za parkowany był samochód terenowy. Niewiele brakowało żeby wspomniała o tym Cortezowi, lecz po namyśle zrezygnowała z tego. Zapewne gapowaty turysta zablądził w górach. Nie warto się nad tym rozwodzić.

W przyjaznym milczeniu jechali drogą prowadzącą na budowę nadzorowana przez Ben - netta. Cortez zaparkował auto, wyjął ze schowka kaburę z bronią i wsunął za pasek.

Phoebe spojrzała na niego z obawą.

- Wiem, co robię - zapewnił. - Jestem agentem federalnym i potrafię strzelać.

- Ja też, ale wolałabym nie korzystać ze swoich umiejętności - skrzywiła się wymownie.

- Drake miał rację, zachęcając cię do treningu. Gdy będziesz już automatycznie sięgać...

- Nie byłabym w stanie zabić człowieka, nawet gdyby chodziło o ratowanie własnego życia.

Przez moment obserwował ją w milczeniu.

- Prawdopodobnie grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Morderca antropologa z pewnością nie zawaha się przed usunięciem kolejnych osób, jeśli uzna, że mogą zaszkodzić jego interesom. Znam ludzi, których zabito dla pięćdziesięciu dolarów, choć oczywiście mordercy spodziewali się znaleźć przy ofiarach więcej pieniędzy. Moim zdaniem mamy tutaj do czynienia z pazernymi krętaczami. To nie są porachunki nawiedzonych kolekcjonerów.

Słuchała nieuważnie, bo raz po raz ukradkiem rzucała na niego tęskne spojrzenia. Żaden mężczyzna lak jej nic pociągał. Jeremiasz był bardzo atrakcyjny.

- Nic czas na to - mruknął z kamienną twarzą.

Skąd wiesz, o czym myślę? - odparowała natychmiast.

Zamiast odpowiedzieć, wydał gardłowy pomruk, który sprawił, że włosy zjeżyły jej się na głowie.

Jechali dalej w milczeniu. Gdy zatrzymali się u podnóża góry, przed wejściem do największej jaskini, Phoebe szybko odpięła pasy i wysiadła, nie czekając na pomoc Corteza.

- Sądziłem, że podoba ci się moja galanteria - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Potrafię sama otworzyć drzwi - odparła zarumieniona.

Cortez nie ciągnął tej dyskusji, tylko wskazał głębokie koleiny na ziemi.

- Szukaj śladów dużego auta, które urywają się nagle, jakby kierowca zmienił zdanie i cofał się tą samą drogą.

- Kolein tu nie brakuje - zauważyła. Cortez przypomniał sobie dziwne ślady

opon na nieutwardzonym parkingu przed motelem, w którym zatrzymał się antropolog. Jakiś kierowca zaparkował auto pod jego oknami.

- Szukamy bieżnika, na którym zamiast logo producenta opon po lewej stronie jest pionowe wgłębienie.

Naukowe metody prowadzenia śledztwa, tak? Po nitce do kłębka, po bieżniku do auta. No dobrze. Pochyliła się, wpatrzona w piaszczysty - trakt. Mimo woli wspominała wspólne dochodzenie sprzed trzech lat.

- Kiedy zaproponowałeś, że przyjedziesz do mnie na wręczenie dyplomów, zawahałam się, a ty od razu złośliwie to skomentowałeś.

- W odwecie rzuciłaś we mnie patykiem - odparł, pochylając się nad kolejnym śladem.

- Byłeś okropny - upierała się, obrzucając go oskarżycielskim spojrzeniem. - I nadal jesteś. Mam nadzieję, że nie zwolnią mnie z powodu twoich wybryków, jeśli tamta nauczycielka złoży skargę.

- Znajdę ci wtedy dobrą posadę - mruknął. - W laboratorium medycyny sądowej przyjęliby cię z otwartymi ramionami. Jeden z profesorów nazywał cię przecież mistrzynią autopsji. Opowiadał cuda o tym, jakie wnioski potrafisz wysnuć na podstawie samego uzębienia.

- Skąd wiesz? Ja ci tego nie mówiłam - odparła z wahaniem.

- Od twojego promotora. Odwiedziłem go, żeby spytać o twój nowy adres. Miałem nadzieję, że powie, gdzie cię szukać - wyjaśnił spokojnie Cortez.

Phoebe nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Myło jej ciężko na sercu. Wszyscy starali się chronić ją przed tym człowiekiem. Sama ich o to prosiła, by zaoszczędzić sobie kolejnych rozczarowań. Kiedy poznała prawdę, musiała ze smutkiem przyznać, że przez trzy lata cierpiała na własne życzenie. Cortez nie zniknął z jej życia, bo przestał się nią interesować. Okoliczności zmusiły go do chwilowej rezygnacji z bliższych kontaktów, on sam w niczym nie zawinił.

Wyprostował się, marszcząc brwi, podszedł do auta, wziął z tylnego siedzenia talizman i wraz z dwiema meksykańskimi monetami podał Phoebe.

- Włóż to do prawej kieszeni dżinsów.

- Dobrze, dobrze. - Wiedziała, że w tych sprawach lepiej z nim nie dyskutować, ponieważ głęboko wierzył w nadprzyrodzone zdolności ojca. Wsunęła do kieszeni podarunki szamana i już miała wrócić do przerwanych poszukiwań, gdy coś zważyło ją z nóg, a potem rozległ się głośny huk podobny do grzmotu.

- Phoebe!

Cortez natychmiast sięgnął po broń, ukląkł, skulił się i otworzył ogień. Celował w stronę, skąd padł strzał. Usłyszeli kolejny huk i tuż przed Cortezem wystrzeliła w górę fontanna piasku. Po chwili dobiegł ich głośny trzask oraz warkot silnika. Zaparkowany w pobliżu samochód ruszył z piskiem opon.

Cortez nie czekał, aż auto zniknie w oddali.

Przypadł do Phoebe i ukląkł, sprawdzając, gdzie - została trafiona.

- Boli! - zawyła rozpaczliwie, zwijając się w kłębek.

- Jesteś ranna? - dopytywał się, starannie wymawiając słowa.

Z trudem wyprostowała nogi i dotknęła brzucha po prawej stronie.

- Nie... krwawię - szepnęła.

Rozpiął jej dzinsy i nim zdążyła zaprotestować, ściągnął z bioder. Nie było rany, tylko wielki siniak mniej więcej tam, gdzie znajduje się wyrostek robaczkowy. Wierchem dłoni dotknął rozpiętych spodni i wyczuł dwie monety oraz talizman, które przed chwilą kazał jej włożyć do kieszeni. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

Wymienili zdumione spojrzenia. Cortez wsunął rękę do kieszeni rozpiętych spodni i wyjął dwa peso oraz amulet. W jednej z monet była dziura, w drugiej utkwiał pocisk. Phoebe ocalała dzięki prorocत्वu jego ojca.

- Pocisk mógł rozszarpać aortę biodrową - wykrztusił z trudem. - Wykrwawiłabyś się na śmierć, nim dotarlibyśmy do szpitala.

- On wiedział... - Drżała jak w febrze.

- Twój ojciec to przewidział.

Wziął ją w ramiona, tulił mocno i kołysał, próbując nie myśleć, co się mogło stać.

- Strzelec zwił - szepnęła z głową przytuloną do jego ramienia.

- Ty jesteś ważniejsza. Objął ją mocniej, pocałował w skroń i westchnął głęboko. Z etui przy pasku wyjął telefon komórkowy i jedną ręką wystukał numer.

- Przyślijcie karetkę. Niech tu natychmiast przyjedzie Drake Stewart, zastępca szeryfa. Jestem na samym końcu Deal Street, w jodłowym zagajniku koło jaskini na tyłach budowy, którą prowadzi Jeb Bennett, tuż za granicami Chenocetah. Mniej więcej sto metrów dzieli nas od granicy indiańskiego rezerwatu Yonah. To zwykła leśna droga - tłumaczył.

- Kim pan jest? - rozległ się znudzony głos.

- Jeremiasz Cortez, agent FBI - rzucił oschle. - Była tu strzelanina. Przekażcie

Stewartowi, żeby pojechał drogą do samego końca i poszukał nas w lesie.

- Chwileczkę! - powiedział oficer dyżurny.

- Zaraz go wywołam. Proszę się nie rozłączać.

- Czas nagli - odparł Cortez. - Trzeba zorganizować pościg za przestępcą.

Przerwał połączenie i wystukał kolejny numer. Zbolała Phoebe leżała w jego objęciach.

- Potrzebna mi ekipa dochodzeniowa. Niech Jones weźmie furgonetkę - komenderował.

- Powiem wam, jak dojechać.

- Wezwałem swoich ludzi - wyjaśnił Phoebe i na moment zacisnęła zęby. - Wsadzę cię do karetki, ale nie mogę z tobą pojechać.

- Po jego minie poznała, że bardzo to przeżywa.

Muszę czekać na ekipę. Razem zabezpieczy - my ślady. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy łuskę pocisku.

- Nic nie szkodzi. Jestem dużą dziewczynką. Sama pojedę.

Nie uśmiechnął się, choć w innych okolicznościach ta uwaga bardzo by go rozbawiła.

- Omal nie zginęłaś - jęknął.

- Drań spudłował. Ma problem. Dopadniemy go.

- Do głowy mi nie przyszło, że będziesz tu narażona na niebezpieczeństwo - powiedział z niedowierzaniem. - Gdybym miał chociaż cień podejrzenia, nie prosiłbym, byś ze mną jechała!

Podniosła rękę i dotknęła jego ust.

- Wierz mi, wolę być tutaj, niż składać wyjaśnienia przed rozłoszczoną nauczycielką z podstawówki.

Chwył jej dłoń i pocałował żarliwie. Phoebe poczuła się zakłopotana jego troską. Nie sądziła, że tak bardzo się przejmie.

- Nic mi nie będzie. Ból minie, a kiedy wpadniemy na trop tego głupka, razem obedrzemy go ze skóry, zgoda?

- Jasne - odparł zduszonym głosem.

- Pamiętaj o tym i przestań się zamartwiać. Kto mógł przewidzieć, że ledwie wysiadziemy z samochodu, ktoś zacznie do nas strzelać?

- Wyczułem czyjąś obecność - odparł spokojnie.

- Jak to?

Nim zdążył odpowiedzieć, z oddali dobiegło wycie syren. Pierwsza nadjechała karetka, tuż za nią radiowóz Drake'a. Niespełna trzy minuty wystarczyły, żeby Phoebe znalazła się na noszach. Lekarz i sanitariusze natychmiast się nią zajęli, a w tym czasie Cortez wyjaśnił mocno zdenerwowanemu Drake'owi, co się stało.

- Kto z nią jedzie? Ty czy ja?

- Zaraz będzie tu moja ekipa - odparł ponuro Cortez, niechętnie pozwalając sanitariuszom, żeby zabrali Phoebe do karetki. - Muszę zostać.

- Nie martw się. - Drake popatrzył na niego. Wydawał się spokojny, lecz obaj wiedzieli, że tylko udaje. - Jadę z nią. Będzie dobrze... Obiecuję.

Mimo pozorów opanowania Corteza w głębi serca nadal dręczyły poważne obawy. Raz po raz wyobrażał sobie Phoebe leżącą bez życia.

- Nic jej nie jest - zapewnił z naciskiem Drake. - Łap drania. Ja się nią zaopiekuję.

Cortez westchnął głęboko i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Jak go dopadnę, będzie żałował, że dawno temu nie wyemigrował na inną planetę.

- Dobrze kombinujesz. Gdybyś chciał sobie postrzelać do tego łachudry, zafunduję ci naboje - obiecał Drake i uśmiechnął się z przymusem:

- A teraz wracajmy do roboty. Phoebe wyjdzie z tego bez szwanku.

Cortez podszedł do noszy. Sanitariusze właśnie wsuwali je do karetki, dyskutując między sobą. Z ich rozmowy wynikało, że pacjentce nic nie grozi.

Cortez chwycił i mocno ścisnął jej dłoń.

- Kiedy tu skończę, przyjadę do szpitala. Drake będzie z tobą.

- No tak. Wojownik na ścieżce wojennej - oznajmiła domyślnie.

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnął się lekko, ucałował jej palce i ostrożnie umieścił jedną dłoń na drugiej. - Słuchaj lekarzy.

- Gdzie mój talizman? - spytała nagle.

- To dowód rzeczowy - odparł Cortez z kwaśną miną.

- Monety owszem, ale talizman nie. Oddaj mi go - zażądała.

Z ciężkim westchnieniem wyjął amulet z kieszeni i wcisnął jej do rąk.

- Twój ojciec zna się na rzeczy.

- A nie mówiłem? Uważaj na siebie.

- Ty również. Nie jesteś kuloodporny i nie masz tego. - Uniosła talizman.

Cortez wydał usta, sięgnął do kieszeni i pokazał identyczny.

- Ojciec stwierdził, że monety nie będą mi potrzebne.

Skrzywiła twarz, a potem uśmiechnęła się, żeby dodać mu otuchy.

Drake wezwał przez policyjne radio kolegę, który miał za jakiś czas przyjechać po niego do szpitala i podwieźć z powrotem do radiowozu. Sanitariusze zamknęli drzwi. Cortez stał nieruchomo z talizmanem w dłoni.

- Co to za tajemnice? - zapytał Drake.

- Trzy lata temu ojciec Corteza zrobił dla mnie talizman - opowiadała Phoebe, krzywiąc się co chwila, bo siniak coraz mocniej dawał się jej we znaki. - Dziś dostałam jeszcze dwie meksykańskie monety. Jeremiasz kazał mi włożyć je do kieszeni razem z talizmanem. W chwilę później ktoś do mnie strzelił. Gdyby nie te monety, pocisk rozerwałby aortę biodrową.

- Niesamowity przypadek. - Drake gwizdnął z podziwu.

- No pewnie. Ojciec Jeremiasza jest szamanem. Ma dar jasnowidzenia. Do tej pory nie wierzyłam w takie rzeczy, ale teraz zmieniam zdanie.

- Nic dziwnego. Co ty i Cortez robiliście na tym odludziu?

- Przyjechaliśmy rozejrzeć się w jaskiniach, po których łąził zamordowany antropolog. Ledwie wysiedliśmy, zaczęła się strzelanina. - Phoebe zacisnęła powieki, ale zaraz otworzyła oczy. - Gdy tylko zrobią badania, wypiszę się natychmiast ze szpitala, żeby pomóc w tropieniu łobuza, który do nas strzelał. W nagrodę chciałabym przez pięć minut zostać z nim sam na sam.

- Zgoda, ale najpierw musisz wziąć u mnie lekcje wschodnich sztuk walki - odparł żartobliwie Drake.

Phoebe wstrzymała oddech. Po dłuższej chwili wypuściła powietrze.

- Strasznie boli. Pocisk nie przebił skóry, ale siniak jest paskudny. - Odruchowo położyła dłoń na obolałym miejscu.

Drake zmienił temat. Wolał nie myśleć, jakie obrażenia mógł spowodować pocisk, nawet gdyby nie utkwiał w ciele. Znał takie przypadki. Silne uderzenie w klatkę piersiową mogło na przykład spowodować obrzęk płuc, następnie krwotok wewnętrzny, a nawet śmierć.

Po przyjeździe do szpitala natychmiast zrobiono Phoebe szereg badań. Gdy została wreszcie przewieziona do separatki, zjawiała się u niej młoda ciemnowłosa lekarka. Przyniosła ze sobą kartę.

Przeczytała uważnie notatki kolegi z izby przyjęć, uniosła brwi i popatrzyła na drobną, jasnowłosą pacjentkę.

- Gdyby to do mnie strzelano, wpadłabym w histerię - oznajmiła. - Pani mimo obrażeń wydaje się zupełnie spokojna.

- Jestem antropologiem. - Phoebe westchnęła. - Obcuję z przeszłością, dzięki czemu nabrałam dystansu do chwili obecnej. Jestem tańszą wersją Indiany Jonesa - dodała z szerokim uśmiechem. - Filcowy kapelusz z szerokim rondem, bat z czarnej skóry, skłonność do izolacji i życia w samotności. Kręcą mnie takie klimaty...

Aha. To wiele tłumaczy - odparła uśmiechnięta lekarka.

Drake uchylił drzwi i zajrzał do separatki.

- Muszę lecieć - powiedział do Phoebe. - Kolega czeka na mnie przed szpitalem. Przesłuchujemy ludzi zatrudnionych na budowie. Wszyscy dostali wezwania, nawet ci pracujący w niepełnym wymiarze godzin. Pani doktor, co z nią? - zapytał lekarzę.

- W porządku - odparła lekarka.

Drake uniósł kciuk i dodał na odchodnym, zwracając się znowu do Phoebe:

- Później do ciebie zadzwonię.

- Popatrzmy - zaczęła lekarka. Stała w nogach łóżka i oparła się plecami o ścianę, żeby raz jeszcze spojrzeć na kartę pacjentki. Uważnie analizowała wyniki badań. - Jest spore zasinienie w okolicach pachwiny, znacznie większe, niż należałoby się spodziewać. Nasuwa się pytanie, dlaczego nie została pani ranna.

- Zanim do mnie strzelano, włożyłam do kieszeni dwie duże meksykańskie monety - wyjaśniła rzeczowo Phoebe. - Kula przebiła jedną z nich i utkwiała w drugiej.

- Spodziewała się pani ataku? Była pani na to przygotowana? - Lekarka uniosła brwi.

- Czasami prawda wydaje się najbardziej nieprawdopodobna. - Phoebe skrzywiła się lekko.

- Jestem lekarzem, trudno mnie zadziwić. Miałam pacjenta, który dostał z bliska dwie kule ze strzelby, przeszedł półtora kilometra, szukając pomocy, i przeżył. Proszę mi powiedzieć, jak to było. - Pani doktor gestem zachęciła Phoebe do mówienia, a ta opisała całe zdarzenie.

- Na pani miejscu przez resztę życia co roku wysyłałabym temu szamanowi prezent na urodziny.

- Taki mam zamiar. Uratował mnie.

- Dlaczego ktoś do pani strzelał?

- Prowadziłam dochodzenie w sprawie zabójstwa, współpracując z agentem FBI - odparła spokojnie Phoebe.



- Z agentem FBI? - Lekarka zamruwała powiekami. Phoebe kiwnęła głową.  
- Agent Cortez pracuje w wydziale do spraw przestępczości na terytoriach Indian. Przyjechał tu prowadzić śledztwo w sprawie pewnego morderstwa.

- A pani zna się na prowadzeniu śledztwa.

- Tylko pomagałam.

- Mogę wiedzieć, dlaczego pani zdecydowała się na takie ryzykowne przedsięwzięcie?

- Owszem. Nieco wcześniej całował mnie do utraty tchu. Przez szybę w drzwiach gabinetu widziała to nauczycielka z podstawówki, która przyprowadziła do muzeum swoją klasę. Miałam wybór: albo tłumaczyć się przed rozszłoszczoną wychowawczynią, albo pomóc... znajomemu. Skrzywiła się. Wybrałam mniejsze zło. Moim skromnym zdaniem w tym wypadku wykazałam się i odwagą, i rozważą. Lekarka wybuchnęła śmiechem.

- Szczęście pani dopisało. Niebiosa nad panią czuwały. Albo mali opiekunowie.

- Wierzy pani w krasnoludki? - zapytała Phoebe.

- Czirokezi opowiadają baśnie o istotkach zwanych Nunnehi, które opiekują się ludźmi wędrującymi przez las. Czasami słychać z oddali ich śpiew. Ładna legenda, co?

Pieśń dobiegająca z daleka. Po irokesku. Phoebe w milczeniu odtwarzała z pamięci melodię, którą kilka dni temu słyszała, siedząc przy śniadaniu.

Sześć godzin później znużony Drake zajechał pod szpital, żeby odwieźć Phoebe do domu. Lekarze chętnie zatrzymaliby ją na dłużej, ale nie dopatrzyli się żadnego powodu, który usprawiedliwiłaby hospitalizację. Phoebe mogłaby zostać, bo jej ubezpieczenie uwzględniało takie przypadki, ale uznała, że nie warto, skoro wyszła z opresji praktycznie bez szwanku.

Gdy zatrzymali się przed jej domem, Cortez już tam był i niecierpliwie spacerował po werandzie.

- Wydzwaniał do mnie przez cały dzień oznajmił Drake. Musiałem mu powiedzieć, że cię wypisali do domu. bo inaczej z hukiem wtargnąłby do szpitala.

- Nic nie szkodzi. Uśmiechnęła się mimo znużenia, przyjemnie zaskoczona troską Corteza. Wolą jednak ukryć sympatię, jaką do niego odczuwała.

Drake zaparkował przed domem i wyłączył silnik. Wysiadł, żeby otworzyć Phoebe drzwi, ale Cortez go ubiegł. Objął ją ramieniem w tali i pomógł dojść do środka.

- Myślałem, że weźmie cię na ręce - kpił Drake.

- Nie może dźwigać - wyjaśniła. - Pod koniec wojny w Wietnamie dostał odłamkiem w ramię.

Drake wyduł wargi.

- Całkiem zapomniałem, że o tym wiesz. - Rysy Corteza złagodniały, zakłopotana Phoebe odchrząknęła nerwowo.

- Czasami los daje człowiekowi drugą szansę - oznajmił bez związku Drake. Nie wiadomo, do kogo były skierowane te słowa.

- Phoebe właśnie ją dostała - odparł Cortez. Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę. Włosy były rozpuszczone i okropnie potargane, jakby bezwiednie je mierzwił.

- Dlatego dziś w nocy nie zostawię jej samej na tym odludziu.

Phoebe nagle zdała sobie sprawę, że czegoś jej brakuje.

- Jock! krzyknęła pełna obaw o swojego ulubieńca.

- Jest pod opieką weterynarza z miasteczka. Facet rozplęwał się nad nim w zachwytach. Wraz z rodziną na pewno rozpieszczą zwierzaka.

Nic masz prawa tak tu się rządzić! - zawołała poirytowana.

- Już się stało. Pakuj rzeczy, Phoebe - odparł spokojnie Cortez. - Na pewien czas zamieszkaś ze mną i Tiną w motelu.

- Jak długo mam tam zostać?

- Dopóki nie złapiemy drania, który tak paskudnie cię urządził - odparł Cortez.

- Nie zapominaj, że próbował cię zabić. Gdyby nie prorocza wizja mego ojca, byłabyś teraz w kostnicy.

Phoebe pobladła i nogi się pod nią ugięły. Usiadła ciężko na oparciu kanapy.

- Przepraszam - zreflektował się. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Cortez wie, co mówi - wtrącił Drake. - Nie możesz zostać tu sama. Facet nie zrezygnuje. Następnym razem będzie celował dokładniej i strzeli kilka razy.

- No właśnie - przytaknął Cortez.

- Nie chcę uciekać! - Phoebe zacisnęła zęby. Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nazwijmy to strategicznym odwrotem na z góry upatrzone pozycje - zaproponował po chwili Cortez. Nawet Quanah Parker, jeden z największych wojowników plemienia Komanczów. stosował niekiedy tego rodzaju taktykę, a nikt nie ośmieliłby się nazwać go tchórzem. Mam rację? - Cortez zwrócił się z tym pytaniem do Drake'a. który skinął głową.

- Moim zdaniem to niewłaściwe... Umilkła i przygryzła dolną wargę.

- Ulokujesz się w pokoju Tiny i Josepha. Mieszkam obok, więc będziesz bezpieczna.

Miała dzielić pokój z chłopcem, przez którego Cortez ją opuścił i poślubił kobietę, do której nic nie czuł. Dzieciak nie ponosił za to winy, ale sama jego obecność sprawi, że odżyją bolesne wspomnienia. Phoebe nie podobał się pomysł z tymczasową przeprowadzką, ale bała się zostać sama na pustkowiu, zwłaszcza bez psa.

- Polubisz Tinę - przekonywał Drake. - Jest bardzo miła.

- Zgadza się - sekundował mu Cortez.

- To kuzynka twój ej żony? - zapytała Phoebe.

- Nie, moja - odparł spokojnie.

Pokrewieństwo nie wyklucza ślubu, pomyślała, ale wolała nie mówić o tym na głos. Widziała w Tinie potencjalną rywalkę. Bez słowa wodziła spojrzeniem od Drake'a do Corteza. Dopiero teraz spostrzegła, że są bardzo zmęczeni. Sama też czuła się okropnie. Wszyscy troje mieli za sobą długi i ciężki dzień.

- Przepraszam - mruknęła, wstając z trudem. Brzuch wciąż okropnie ją bolał. Mnożę przeszkody, a tymczasem obaj padacie z nóg. Idę się spakować. Masz jakiś ślad? Znalazłeś coś ciekawego? spytała Corteza.

Odprężył się nieco, wcisnął ręce w kieszenie, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Niewiele. Mam łuskę. Nic szczególnego. Trafił cię pocisk kaliber 45. Na moje wyczucie strzelano z karabinka - dodał. - Kula ze strzelby przebiłaby obie monety i utkwiała w ciele.

- Facet strzelał z niewielkiej odległości - wtrąciła Phoebe, a Cortez potwierdził skinieniem głowy.

- Łuski leżały dwieście metrów od miejsca, w którym staliśmy. Niezły snajper. Trudno jednym strzałem powalić ofiarę. Trzeba być mistrzem, żeby tego dokonać.

- Zleciłeś analizę balistyczną? - spytał Drake. Cortez pokiwał głową.

- Łuskę wysłałem kurierem do naszego laboratorium w Waszyngtonie - dodał. - Przy odrobinie szczęścia dowiemy się, gdzie kupiono naboje, a może nawet z jakiej broni wystrzelono kulę.

- Masz jakieś odciski palców? - wypytywał Drake.

- Jeden, i to niekompletny, ale wystarczy. Znaleźliśmy również niedopałek papierosa.

- Nasz snajper pali - mruknęła Phoebe.

- Owszem, choć nie ma pewności, że to on zostawił niedopałek.

- Przedwczoraj padało wtrącił Drake.

- A niedopałek był suchy - ciągnął Cortez.

- Nie jest źle.

- Pozwolisz mi przynajmniej chodzić do pracy? - zapytała Phoebe, kiedy spakowała przybory toaletowe, trzy zmiany bielizny i trochę ubrań. Cortez sięgnął po walizkę lewą ręką.

- Ja bym się zgodził. Będzie wśród ludzi - wtrącił Drake.

- Słuszna uwaga - odparł Cortez po chwili namysłu. - Dobra, ale nie wolno ci wychodzić z budynku, chyba że w towarzystwie jednego z nas.

Nie podobało jej się to ograniczenie, lecz nie miała wyboru. Przez chwilę wodziła spojrzeniem po ich twarzach. Czowała się jak w pułapce.

- Lepiej już jedźmy. - Cortez popatrzył na zegarek. - Rano mam spotkanie.

- Z kolejnym budowlańcem? - spytał Drake.

- Mamy ci dać obstawę na wypadek, gdyby znów doszło do strzelaniny?

- To był chwyt poniżej pasa.

- Grzeczność nakazuje zapytać. - Drake wzruszył ramionami.

- Zaniknę dom - wtrąciła Phoebe. Chodziła po pokojach, sprawdzając, czy okna i drzwi są pozamykane.

- Jakies bezosobowe to twoje mieszkanie - mruknął Drake. Żadnych zdjęć, pamiątek, bibelotów.

Większość rzeczy zostawiłam u ciotki Derrie odparła Phoebe. - Uznałam, że to bez sensu ciągnąć z sobą wszystkie kłamoty, skoro prędzej czy później i tak się stąd wyniosę.

- Planujesz przeprowadzkę? - zapytał Drake.

- Dopiero za jakiś czas - odparła znużonym głosem. - Mówiłam tak ogólnie.

Cortez bez słowa otworzył frontowe drzwi i wyszedł na werandę.

Tina przywitała ich na progu swojego pokoju.

- Aha, więc ty jesteś słynną Phoebe - mruknęła cierpko. - Miło cię poznać. On nie chciał mi nic o tobie powiedzieć - dodała oskarżycielskim tonem, wskazując Corteza.

- Nie wyciągaj Phoebe na zwierzenia, pilnuj jej, nie spuszczaaj nawet na chwilę z oka - pouczył kuzynkę, spoglądając na nią ostrzegawczo.

- Jasne. Wiem, o co chodzi. - Tina natychmiast spoważniała. - Cieszę się, że

jesteś cała i zdrowa. Dobrze się składa, że ojciec Jeremiasza jest szamanem, co?

- Pewnie - odparła Phoebe. - Skończyło się na siniakach. Mogło być gorzej.

- Tutaj będziesz zupełnie bezpieczna - zapewniła Tina. - Jestem Christina Redhawk. On ma po ojcu to samo nazwisko, ale go nie używa - dodała, wskazując Corteza. - Wybrał inne, też po przodkach, wykazując oryginalne poczucie humoru.

- Dlaczego? wtrącił Drake, uśmiechając się do liny, która spłonęła rumieńcem.

- Pradziadek Jeremiasza porwał jego prababkę. Nazywał się Cortes, przez s - opowiadała Tina.

- Porwał? - wypytywała Phoebe, spoglądając z ciekawością na ukochanego.

- Przez dwa tygodnie trzymał ją w chacie. Straciła reputację i musiała za niego wyjść - ciągnęła Tina. - Mieli dziesięcioro dzieci. Zamieszkał z nią wśród Komanczów, nauczył się języka, uczestniczył nawet w wojennych wyprawach swoich powinowatych. Dziadek Jeremiasza był ich najmłodszym synem.

- Jak długo żyli razem? - zapytała Phoebe.

- Pięćdziesiąt lat - odparła z westchnieniem Tina. - Jakie to romantyczne, prawda? Byli wrogami. Jej współplemieńcy atakowali jego rodaków, a nawet zabili mu paru krewnych. Moim zdaniem miłość zwycięża wszelkie przeszkody.

- Przestań paplać bez sensu - skarcił ją Cortez i pociągnął za kosmyk ciemnych włosów. - Phoebe miała ciężki dzień. Musi położyć się do łóżka.

- Zaopiekuję się nią jak należy - obiecała Tina.

- Serdeczne dzięki. Sama potrafię zatroszczyć się o siebie - oznajmiła stanowczo Phoebe, zwracając się do Corteza.

Pozostała trójka wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. Natychmiast pojęła, o co im chodzi.

- Skąd miałam wiedzieć, że ktoś do mnie celuje? - broniła się.

- A tata Jeremiasza przewidział, na co się zanoszą - pisnęła Tina.

- Phoebe, do łóżka! Jak mój chłopiec?

- zmienił temat Cortez.

Joseph siedział pośrodku jednego z dwu ogromnych łóżek, bawiąc się pluszakami. Popatrzył na ojca, rozpromienił się i wyciągnął do niego pulchne ramionka.

- Tata! - zawołał.

Cortez porwał go na ręce, mocno przytulił i pocałował w mały policzek.

- I co, syneczku? - zapytał tak serdecznie, że Phoebe serce ścisnęło się z żalu.

- Tata, liczę do pięciu! - Joseph wysunął pięć paluszków. - Gdzie byłeś? Chciałem się z tobą pobawić. Tina nie dała mi ciasta.

- Chciał tort czekoladowy - broniła się Tina.

- Wolalam poczekać na ciebie. Strasznie rozrabiał. W ogóle nie spał.

- Chcę tort - napraszał się Joseph. Spojrzał ponad ramieniem ojca. - Kto ty jesteś?

- To Phoebe - wyjaśnił Cortez, zwracając się w jej stronę. - Była chora. Przenocuje dziś z tobą i Tiną. Pomożesz mi się nią opiekować.

- Dobra - zgodził się natychmiast Joseph. Przyjrzał jej się uważnie. - Masz jasne włosy.

- Tak. Mam jasne włosy potwierdziła Phoebe. Broniła się przed sympatią do dziecka, które patrzyło na nią bystro ciemnymi oczkami i uśmiechało się jak aniołek.

- Lubisz czytać? - zapytał.

- Tak. - Uświadomiła sobie, że powtarza słowa niczym papuga. - A ty?

- Lubię Boba! - rozpromienił się Joseph. Phoebe spojrzała pytająco na Tinę, która natychmiast wyjaśniła:

- To Bob Budowniczy, postać z kreskówki.

- Aha.

- Umiesz opowiadać bajki? - nie dawał za wygraną Joseph.

- Umie, ale teraz idziemy spać - oznajmiła Tina, wybawiając Phoebe z opresji. Wzięła Josepha od Corteza. - To oznacza, że w naszym pokoju zostają tylko kobiety i dziecko. Dobranoc panom. - Spojrzała znacząco na obu mężczyzn.

- Mamy się wynosić. - Drake ujął rzecz jasno i zwięźle. - Dobra. Gdybyście nas potrzebowały...

- Jestem w sąsiednim pokoju - wpadł mu w słowo Cortez.

- A ja mam włączony telefon. On zna numer. - Kciukiem wskazał Corteza. - Aha. Jeszcze jedno. Trzymajcie się jak najdalej od okien.

Phoebe stanęła na baczność i zsalutowała. Parsknął śmiechem i wyszedł. Cortez mrugnął porozumiewawczo i pospieszył za nim.

- Faceci są męczący - powiedziała Tina do Phoebe, idąc z Josephem w stronę łóżka. - Ty masz teraz aż dwu na swojej głowie.

- Skończyłam z facetami - oznajmiła stanowczo Phoebe. Tina mrugnęła do niej.

- Wszystkie dziewczyny tak mówią!

- Spać mi się chce - Phoebe zręcznie zmieniła temat.

- Rozumiem. Dobra, zostawmy to. Ja też jestem senna. Josephowi wyrzyna się kolejny ząb. Wczorajszej nocy Jeremiasz i ja prawie nie zmrużyliśmy oka.

- Ząbkuje? Przecież ma dwa lata.

- Niestety, ten problem powraca co pewien czas. Sama się przekonasz - dodała Tina.

Phoebe nie miała pojęcia, o co jej chodzi. Zrozumiała około drugiej nad ranem, gdy Joseph zaczął ronić łzy i żałośnie zawodzić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Joseph zanosił się od płaczu. Mała twarzyczka była rozpalona. Ślinił się okropnie.

- Tina, boli - narzekał z buzią wtuloną w ramię opiekunki.

- Wiem, dziecinko. Bardzo ci współczuję - pocieszała go. - Zaraz przyniosę lekarstwo. Phoebe, mogłabyś go potrzymać? Usiądź. Pamiętaj o swoim obolałym brzuchu. Domyślam się, że paskudnie daje ci się we znaki.

- To prawda - przyznała.

- Boli - łkał Joseph, tuląc się do niej.

Pachniał mydłem i dziecięcą zasypką. Delikatne włoski miały brunatny odcień. Wilgotna buzia przylgnęła do spranej bawełnianej koszulki, w której sypiała Phoebe.

Rzadko miała kontakt z małymi dziećmi. Nie było ich w najbliższej rodzinie. W muzeum widywała przedszkolaki i uczniów młodszych klas, lecz rzadko z nimi rozmawiała. Joseph był synem Corteza, choć nie rodzonym, tylko adoptowanym. Dziecko brata. Łączyły ich więzy krwi, rodzina, wspólne korzenie.

Początkowo siedziała sztywno, jakby kij połknęła, ale odprężyła się z wolna i naturalnym gestem przygarnęła do siebie znużonego malca. Odruchowo pogłaskała go po plecach.

Tina wróciła z łyżką syropu.

- Smakuje jak wiśniowy cukierek - zachęcała, podnosząc łyżkę do buzi malca. - Połknij, dziecino, a potem dam ci coś na bolący ząbek.

Joseph skrzywił się żałośnie.

- Nie chcę! - krzyknął.

- Czasem to, czego nie chcemy, bardzo nam pomaga - przekonywała Tina. Wsunęła do małej buzi palec umoczony w syropie.

- Fe - mruknął Joseph.

- Ale ci pomoże - zapewniła Tina. Wlała mu lekarstwo do buzi i wycierając palec serwetką, spojrzała ponad ciemną główką na Phoebe. Sięgnęła po dziecko. - Zaraz go wezmę...

- Nie! - rozkrzyczał się chłopiec. - Nie chcę do ciebie.

Dziewczyny wymieniły zdumione spojrzenia.

- Fibi jest miła - wymamrotał sennie. - Ładnie pachnie.

Przytulił policzek do spranej koszulki.



Phoebe zrobiło się ciepło na sercu. Chłopiec przyłgął do niej, ona też nie chciała go oddać. Jak ładnie zdrabniał jej imię: Fibi. Była mu teraz potrzebna. Dziwne uczucie. Chyba zaznała go po raz pierwszy w życiu. Cortez wydawał się zawsze taki niezależny, zdrowie mu dopisywało, więc nie miała okazji go pielęgnować. Matka chorowała przed śmiercią bardzo krótko i praktycznie nie potrzebowała opieki. Macocha najpierw ignorowała Phoebe, a potem szybko wyszła za mąż i zniknęła z horyzontu. Ciotka Derrie miała własne sprawy. A teraz w życiu Phoebe pojawił się maleńki człowieczek, o którym myślała, odkąd usłyszała o jego istnieniu. Cóż za ironia losu, że właśnie temu dziecku stała się potrzebna!

- Chcę do Fibi - mamrotał Joseph, tuląc się do niej i obejmując rączkami z całej siły.

Przytuliła go odruchowo i doznała przyływu szalonej radości.

- W porządku - powiedziała, gdy Tina pochyliła się raz jeszcze, żeby wziąć chłopca na ręce. - Naprawdę. Może tu spać. Mnie to nie przeszkadza.

- Kochana Fibi - szepnął Joseph. Małe powieki opadły. Joseph powoli zasypiał w ramionach Phoebe.

- Wierci się, kiedy śpi. Może cię urazić. Pamiętaj o bólu brzucha - powiedziała z ociąganiem Tina.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Phoebe, głaszcząc chłopczyka po włosach. - Prawda, dziecinko? Pójdziemy spać, dobrze?

- Tak - mruknął.

Phoebe położyła się do łóżka, umieszczając na swoim ramieniu główkę Josepha. Uśmiechnęła się do Tyny i przymknęła oczy. Po kilku minutach i ona, i dziecko zapadli w głęboki sen.

Następnego ranka Cortez uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju i zapatrzył się na jedno z łóżek. Joseph spał słodko, przytulony do Phoebe. Wymarzony temat dla autorów cikliwych romansideł. Chociaż nie, ta scenka tchnęła prawdziwym ciepłem.

- Uparł się, że z nią zostanie - wyjaśniła półgłosem Tina. - Ale przynajmniej zasnął.

Zdumiony Cortez nadal patrzył bez słowa. Najchętniej przytuliłby do serca dwoje najbliższych sobie ludzi. Miał nadzieję, że nigdy się z nimi nie rozstanie. To było dla niego prawdziwe odkrycie. Nie oczekiwał, że Phoebe polubi Josepha. Wczoraj nie miała nawet ochoty nocować w tym samym pokoju, chociaż udawała, że obecność dziecka w ogóle jej nie przeszkadza. Jednak mały Joseph znalazł sposób, żeby

zaskarbić sobie jej sympatię.

Tina ze skrywanym rozbawieniem obserwowwała grę uczuć na twarzy kuzyna. Parę ostatnich lat przeżył jak pustelnik. Z nikim się nie umawiał. Kiedy zobaczyła go z Phoebe, od razu pojęła, co czuł do tej drobnej blondynki. Nic dziwnego, że Drake zrobił taką dziwną minę, kiedy opowiadała mu o jasnowłosej dziewczynie, którą Cortez pokochał i utracił. Zastępca szeryfa od razu wiedział, o kim mowa. Sam też darzył ją sympatią.. Tina była o tym przekonana. Znała się na ludziach. Zastanawiała się, co Phoebe myśli o Drake'u.

- Za chwilę powinnam ją obudzić, bo spóźni się do pracy.

- Podrzucę ją, gdy będę jechał na spotkanie. Tina spojrzała na niego z rozbawieniem, ale udał, że tego nie dostrzega. Podeszedł do łóżka i ostrożnie dotknął ramienia Phoebe.

Otworzyła oczy, bladoniebieskie w nikłym świetle jesiennego poranka.

- Jeremiasz? - mruknęła sennie i zamrugła powiekami.

Poruszyła się i poczuła, że obok niej leży mały Joseph. Wyprostowała nogi i skrzywiła się, bo przeszył ją gwałtowny ból. Siniak wciąż dokuczał.

- Au! - pisnęła.

Joseph także się obudził i uniósł powieki.

- Tata - mruknął z uśmiechem. - Fibi ładnie pachnie.

- Fibi?

- Chodzi o mnie. - Phoebe zdobyła się na uśmiech. - Jak się czujesz, dziecinko? Już lepiej? - zapytała, głaszcząc chłopca po wilgotnej od potu czuprynce.

- Lepiej. - Pokiwał główką. - Chcę spać. Tina podeszła i wzięła go na rękę.

- Fibi musi iść do pracy.

- Nie! - sprzeciwił się Joseph. - Fibi zostaje! Obolała Phoebe wstała z trudem, podeszła do niego i opuszkami pogłaskała po policzku.

- Niedługo wrócę. Z prezentem. To będzie niespodzianka.

- Niespodzianka? Może tygrysek?

- Zobaczymy - odparła, wybuchając śmiechem. Zaciekawiona spojrzała na Corteza. Wyglądał... dziwnie.

- Zaczekam w samochodzie - powiedział.

- Podwiozę cię do muzeum.

- Dokąd jedziesz? - zapytała.

- Na budowę. Mam kolejne spotkanie.

- Włóż kamizelkę kuloodporną - odparła. Wyszedł i bez słowa zamknął za sobą drzwi.

- Niepotrzebnie ryzykuje. Jeszcze go zastrzelą - mamrotała Phoebe, szukając ubrania. Włożyła spodnie i bluzkę z delikatnym haftem, a na nią marynarkę. Z powodu siniaka ubieranie się było trudną i bolesną czynnością.

- Potrafi zadbać o siebie - zapewniła Tina.

- Lekarze nie kazali ci leżeć w łóżku? - spytała.

- Mam siedzącą pracę. Cały dzień za biurkiem. Nic mi nie będzie - zapewniła Phoebe. Uczesowała się, przypudrowała twarz i umalowała usta jasną szminką. - Długo go znasz?

- Chodzi ci o Jeremiasza? - Tina wybuchnęła śmiechem. - Całe życie. - W dzieciństwie odwoził mnie do szkoły, kiedy był w domu. W naszej dziurze trudno liczyć na autobus szkolny.

Jego tata nadal tani mieszka. Mierzi go współczesna cywilizacja. Według starego Redhawk wszystkie problemy wynikają z tego, że ludzie wcale nie są przystosowani do życia w miastach.

- Ma rację - przytaknęła Phoebe. Przez tkaninę spodni dotknęła siniaka. - To niesamowite, że tak wyraźnie widzi przyszłość. Gdyby nie on, byłoby po mnie.

- Czasem mnie przeraża - wyznała Tina. - Tyle wie.

Phoebe szukała torebki.

- W Karolinie Południowej, gdzie wychowywała się moja ciotka, też mieliśmy wróżkę. Naprawdę przepowiadała przyszłość. W przeciwieństwie do tych ludzi, którzy dają ogłoszenia albo występują w telewizji, zawsze wiedziała, co się wydarzy. Mówiła, że to prawdziwe przekleństwo. Zwykle przepowiadała jakieś nieszczęścia. Nie była ani Indianką, ani szamanką. Zwyczajna kobieta. Po prostu miała taki dar.

- Pewnie jako antropolog sporo wiesz o rozmaitych ludzkich dziwactwach. - Tina przechyliła głowę na bok, a Phoebe potwierdziła skinieniem.

- Moim zdaniem indiańską kulturę cechuje pierwotna mądrość - odparła. - Być może w przyszłości właśnie dzięki niej ludzkość uniknie zagłady i przetrwa kryzys cywilizacji.

- Grozi nam jakaś katastrofa?

- Ludzkość ewoluuje w stronę wąsko wyspecjalizowanej działalności gospodarczej opartej na źródłach energii, których zasoby z czasem się wyczerpią. - Phoebe znalazła torebkę. Była gotowa do wyjścia. - Jeden z moich profesorów

twierdził, że tego typu cywilizacja siłą rzeczy skazana jest na zagładę.

- Dobraliście się z Jeremiaszem jak w korcu maku! On mówi tak samo. - Tina zachichotała.

- Stale przypomina legendę o Tęczowym Wojowniku.

Phoebe słuchała z uśmiechem. Ta opowieść stanowiła podstawę jej uwag na temat wartości dawnych kultur jako potencjalnego ratunku dla ludzkiej rasy. Indianie ujmowali rzecz obrazowo, opowiadając o Tęczowym Wojowniku.

- Stryjowi bardzo zależało, żeby Jeremiasz też skończył studia. Stryj zrobił magisterium - oznajmiła nagle Tina.

Phoebe była zaskoczona. Mimo specjalistycznego wykształcenia i ogromnej wiedzy na temat Indian odruchowo zakładała, że ojciec Corteza bytuje w prymitywnych warunkach, które daleko odbiegają od przyjętych obecnie standardów. Zrobiło jej się wstyd, bo uległa stereotypowym wyobrażeniom.

- Pan Redhawk ma wyższe wykształcenie? Tina wydeła usta.

- No pewnie. Często powtarza, że to jedyny sposób, żeby wyrwać się z biedy i poniżenia. Jest wielkim miłośnikiem historii.

- Doskonale go rozumiem. Oczy Phoebe rozbłyły.

- Bardzo dużo o tobie wie ciągnęła Fina. - Kiedy Jeremiasz przed kilkoma laty wrócił z Charlestonu, wciąż o tobie mówił. - Tina nagle posmutniała. - To okropne, że Izaak zginął w ten sposób.

- Czyli jak?

Nim Tina zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzał zniecierpliwiony Cortez.

- Jestem umówiony. Nie mogę się spóźnić.

- Uchowaj Boże, żebyś miał na mnie czekać! Prowadź do auta. - Phoebe podbiegła do drzwi.

Tina wybuchnęła śmiechem. Cortez miał ponurą twarz. Nic dziwnego, czekało go trudne śledztwo, a w dodatku obie panie już utworzyły wspólny front.

Zatrzymał się przed gmachem muzeum i wyłączył silnik. Padał deszcz, horyzont rozświetlały ogromne błyskawice.

- Nie mam ochoty spuszczać cię z oka - oznajmił zaczepnie.

- Mało prawdopodobne, żeby do mojego gabinetu wtargnął uzbrojony napastnik - zapewniła. - A skoro już o tym rozmawiamy, nie sądzisz, że łażąc po budowach, wystawiasz się na poważnie niebezpieczeństwo? Zadajesz pytania, które

dla wielu osób są kłopotliwe.

Myślisz, że naprawdę gdzieś w okolicy można się natknąć na szkielet neandertalczyka? zapytał całkiem poważnie.

- Nie - odparła stanowczo. - To by znaczyło, że początki osadnictwa w tym regionie sięgają czasów na długo przed ostatnim zlodowaceniem, jednak przy obecnych środkach badawczych musielibyśmy się natknąć na jakieś znaleziska, które by to potwierdziły, a tak się nie stało.

- W takim razie dlaczego nasz antropolog wygadywał takie bzdury? Co o tym sądzisz?

Zamyśliła się, szukając odpowiedzi na pytanie Corteza. Padało coraz bardziej. Deszcz bębnił głośno o blaszaną karoserię.

- Może chciał zwrócić uwagę organów ścigania na jakieś poważne przestępstwo. Uznał, że nikt się nie przejmie jego apelami, dlatego postanowił wywołać sensację. Moim zdaniem rzeczywiście znaleziono tu ludzkie kości, ale nie są to szczątki neandertalczyka. Ktoś łamie przepisy, żeby nie wstrzymano budowy. Mogę się założyć. Winowajcy posunęli się do morderstwa, byle tylko kontynuować inwestycję.

- Ja również tak sądzę - odparł zamyślony Cortez.

- Na pewno zaskoczyliśmy kogoś wczoraj, kiedy pojechaliśmy na budowę - zaczęła, uważnie dobierając słowa. - Masz jakieś hipotezy?

W zadumie wodził dłonią po kierownicy.

- Tamtejszy brygadzysta pochodzi z Oklahomy i jest Czirokezem. Wygląda na to, że nasz antropolog także miał czirokeskie korzenie. Moim zdaniem coś ich łączy.

- Zgadza się. Poprosisz Drake'a i Marie, żeby ci pomogli ustalić, w czym rzecz? Znają niemal wszystkich mieszkańców rezerwatu.

- Już to zrobiłem - odparł, spoglądając w błękitne oczy. - Powinienem cię lepiej pilnować. Przez moje niedbalstwo i głupotę omal nie zostałaś postrzelona.

- Dzięki twojemu ojcu nic mi się nie stało - powiedziała z uśmiechem. - Mam twarde życie. Zamiast mnie pilnować, złap napastnika.

- Łatwo powiedzieć. - Cortez wybuchnął śmiechem.

- I pewnie jeszcze łatwiej wykonać - oznajmiła. - Sprawdź, kto najwięcej zyska na umorzeniu śledztwa. Winowajca jest zadłużony po uszy i za wszelką cenę stara się zachować płynność finansową. Mam rację?

- Owszem.

- Możesz zdobyć nakaz sądowy i uzyskać prawo wglądu w księgi finansowe inwestorów i wykonawców?

Cortez wybuchnął śmiechem.

- Słuchaj no, jestem agentem FBI. Moje uprawnienia są niemal nieograniczone.

- Spowaźniał i obrzucił ją karcącym spojrzeniem. - Nie życzę sobie, żebyś zadawała, komu popadnie, takie kłopotliwe pytania. I tak jesteś zagrożona.

- Traktuj mnie jak swoją asystentkę - oznajmiła z miną niewiniątka.

Ostrożnie pogłaskał ją po głowie.

- Szkoda, że obcięłaś włosy. Uwielbiałem je - szepnął.

- Kiedy dostałam wycinek, całkiem mi odbiło. - Unikała jego spojrzenia. - Upiłam się i poszłam na wariacką imprezę. Wylądowałam w łóżku z nieznanym facetem...

Zacisnął powieki i odwrócił głowę. Przez niego. To przez niego!

Chciała mu powiedzieć wszystko, ale stare rany jeszcze się nie zabliznyły. Utkwiła wzrok w szybie.

- Teraz jestem starsza i mądrzejsza - dodała.

- Wiem, że nie da się uciec przed cierpieniem. Trzeba po prostu zacisnąć zęby i dalej robić swoje.

Westchnął ciężko. Nie śmiał wypowiedzieć na głos swoich myśli. Na razie powinien się cieszyć, że w ogóle chciała z nim rozmawiać. Nie miał prawa jej oceniać.

- Nie ty jedna zachowywałaś się po wariacku - oznajmił ponuro. - Ja również nie mogłem się pozbierać. Poraził mnie ten natłok zdarzeń. Po raz pierwszy w życiu poczułem się zupełnie bezradny. Uznałem, że mniej będziesz cierpieć, jeśli mnie znienawidzisz.

- Bzdura - wycedziła z drwiącym uśmiechem i zmrużyła oczy.

- Owszem. Z perspektywy czasu widzę to inaczej. - Popatrzył na nią z czułością i leciutko pociągnął kosmyk jasnych włosów. - Śniłaś mi się po nocach.

- A ty mnie odparta drżącym głosem. Zrobiło mu się ciężko na sercu, gdy spojrzał na jej zbolalą twarz.

- Okropnie się za tobą stęskniłem. Chodź do mnie - poprosił. Objął dłonią smukły kark i przyciągnął ją do siebie.

Całował zachłannie, nie tracąc czasu na wstępne czułości, jakby bał się, że wkrótce zostaną rozdzieleni na zawsze. Ledwie jej dotknął, zapomniała o przeszłości.

Nie zważając na krępujące ruchy pasy bezpieczeństwa i ból posiniaczonego

brzucha, objęła Corteza za szyję i mocno przytulona chłonęła jego żarliwe pocałunki.

Po omacku odpiął pasy, przeniósł Phoebe na swoje kolana. Ani na moment nie przerwał namiętnych pieszczot, które stały się łagodniejsze, ale bardziej zmysłowe. Rozgorączkowani, zajęci sobą, słyszeli tylko bębnienie kropel deszczu o karoserię i swoje stłumione oddechy.

Cortez jęknął, śmiało kładąc dłoń na jej małej piersi. Zaciśnął palce i poczuł wypukłość sutka.

- Jeremiasz - szepnęła, gdy na moment oderwał wargi od jej ust. Rozpalił ją do białości. Doprowadzona do ostateczności i bezsilna wbiła paznokcie w jego plecy.

Spokojnie szepnął i odsunął się nieco. Przerwał pocałunek i delikatnie musnął jej usta. Rozluźnił palce ściskające pierś. - Oboje tracimy głowę. Ja też cały drzę.

Wtulila się w niego, zamknęła w mocnych ramionach. Przyłgnęła do muskularnego torsu, rozkoszując się dotknięciem palców delikatnie gładzących jej pierś. Bezmiar przyjemności przyprawił ją o dreszcz.

Cortez delikatnie przygryzł jej wargi, najpierw górną, potem dolną. Jego dłoń wytrwale próbowała się wślizgnąć pod haftowaną bluzkę. Udało się. Wymacał i rozpiął zamek biustonosza. Przesunął rękę, żeby dotknąć nagiej piersi.

- Cudownie - szepnął, muskając wargami rozchylone usta Phoebe.

- Cudownie - powtórzyła drżącym głosem i przyłgnęła do niego, spragniona pieszczoty.

Rozległ się warkot silnika, który nagle ucichł. Trzasnęły drzwi. Ani Phoebe, ani Cortez nie zwrócili na to uwagi.

Ktoś zastukał w okno. Cortez podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Wszystkie szyby były zaparowane, więc nie mógł przez nie nic zobaczyć. Dostrzegł tylko obok samochodu zarys wysokiej postaci.

- Ktoś tam jest - wykrztusiła z trudem Phoebe. Odsunęła się od niego i wróciła na sąsiedni fotel.

- Aha - mruknął, poprawiając krawat, i uchylił szybę.

- Nadmiar dwutlenku węgla jest niebezpieczny dla zdrowia - oznajmił z powagą Drake.

- Dzięki za troskę, szeryfie - odparł Cortez, mrugając powiekami. Miał nadzieję, że jego głos brzmi pewnie.

- Zaplamiałam bluzkę. Jeremiasz pomagał mi ją oczyścić - powiedziała wyniośle Phoebe.

- Po czym ta plama? - dopytywał się Drake, spoglądając na jej zmięte ubranie.

Z obrażoną miną odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nieważne. O co chodzi?

- Pamiętasz nauczycielkę, która odgrażała się wczoraj, że złoży skargę? Znow się tu pojawiła. Marie dzwoniła do mnie w tej sprawie.

- O nie! - jęknęła Phoebe i ukryła twarz w dłoniach.

- Marie próbowała spławić babę, lecz niewiele wskórała. Ta paniusia uparła się, że na ciebie zaczeka. Jeśli chcesz zachować posadę, lepiej ogłoś wasze zaręczyny.

- Nie zamierzam... - zaczęła Phoebe.

- Zrób to - przerwał Cortez, spoglądając na nią z rozbawieniem. - Powiedz, że wczoraj ci się oświadczyłem, a ty mnie przyjęłaś. Co ci szkodzi?

- Ale to nieuczciwe! - zachnęła się Phoebe. Cortez długo milczał, przyglądając się jej uważnie.

- Posłuchaj dobrej rady. Pogadamy w wolnej chwili. Teraz muszę lecieć. Jestem umówiony z inwestorem, o którym opowiadał mi Bennett.

- Uważaj na siebie - poprosiła Phoebe.

- Właśnie - wtórował jej Drake.

- Idę. Ta baba nie powinna czekać. Lepiej nie pogarszać sytuacji - mruknęła, wysiadając z auta. Bardzo jej dokuczała świadomość, że ma rozpięty biustonosz. Planowała króciutką wizytę w toalecie, żeby doprowadzić się do porządku. Gdyby pokazała się surowej nauczycielce w zmiętym ubraniu, dałaby jej do ręki kolejny argument.

- Przyjadę po ciebie o piątej - oznajmił stanowczo Cortez.

Chciała zaprotestować, ale ugryzła się w język, bo nie potrafiła wymyślić na poczekaniu wiarygodnej wymówki. Kiwnęła głową, uśmiechnęła się do Drake'a i wbiegła do budynku.

Gdy zniknęła w środku, Drake spowaźniał i pochylił się, spoglądając przez okno na Corteza.

- Bennett jest notowany - powiedział bez żadnych wstępów. - Był aresztowany i oskarżony o skażenie środowiska. W Georgii wylewał do strumienia duże ilości rozpuszczalników, kleju i farby.

- Został skazany? - zapytał Cortez.

- Nie, bo wcześniej miał czyste konto.

Zapłacił grzywnę co odnotowano w jego aktach. W okolicy wszystkim



wiadomo, że sam zaangażował się finansowo w nowy projekt. Jest współnikiem Wielkiego Greka. Ma też dawniejsze zobowiązania finansowe. Chodzi zapewne o odszkodowanie, przez które omal nie zbankrutował. Krótko mówiąc, ledwo zipie. Nic więcej na ten temat nie znalazłem. Tak czy inaczej nie może sobie pozwolić na wstrzymanie budowy, bo to byłoby dla niego równoznaczne z bankructwem. Nawet tygodniowy przestój to dla niego katastrofa. A Walks Far, ten jego brygadzysta, został przyłapany na kradzieży. W Nowym Jorku ukradł z muzeum kilka eksponatów. Siedział trzy lata.

- No tak... Bennett nie był z nami szczery - myślał głośno Cortez. - Dlaczego Walks Far dostał u niego pracę?

- Bo jest mężem siostry Bennetta - odparł Drake.

Wymienili spojrzenia.

- Bennett ma opinię forsiastego gościa. A raczej miał. Pochodzi z zamożnej rodziny - ciągnął Drake.

- Natomiast Walks Far nie śmierdzi groszem.

- Cortez podjął wątek. - Musi żyć z pensji, a siostra Bennetta przywykła do luksusu. Zapewne ma udziały w rodzinnej firmie. Może Walks Far próbuje uchronić ją i szwagra przed bankructwem?

- Ciekawa hipoteza. Nieźle jak na agenta FBI. Nie myślałeś przypadkiem, żeby wstąpić do policji?

Cortez. spojrzał na niego z politowaniem.

Ale czemu ktoś strzelał do Phoebe? zastanawiał się Drake.

- Może dlatego, że jako ostatnia rozmawiała z zamordowanym antropologiem mruknął Cortez z groźnym błyskiem w oczach. - Ale to wyłącznie domysły. Nie wykluczam, że postrzał był przypadkowy, a kula przeznaczona dla kogoś innego.

- Mówisz o sobie?

- To jedna z możliwości. - Zirytowany Cortez westchnął ciężko. - Dla zabójcy kolejne morderstwo nie stanowi zwykle większego problemu, skoro i tak grozi mu wyrok. Sam wiesz, równia pochyła... Cała ta sprawa nie ma sensu! Oprócz obaw przed wstrzymaniem prac budowlanych musi być jakiś inny motyw. Trzeba przesłuchać Paula Corlanda i szefów firm budowlanych realizujących pozostałe inwestycje. Potrzebuję więcej informacji, inaczej nie ruszę z miejsca. Na razie mamy tylko poszlaki.

- Na to wygląda. Jeśli będziesz potrzebował wsparcia, pamiętaj, że Jestem dziś

na służbie.

- Dzięki. To dla mnie ważna informacja - odparł szczerze Cortez.

- Będę też miał oko na Phoebe - obiecał z uśmiechem Drake. - Nic się nie martw - dodał, widząc, że kolega pochmurnieje.

- Znam swoje miejsce w szeregu. - Spojrzał znacząco na zaparowane szyby. - Okropność! Kto to słyszał, żeby się obściskować na parkingu przed muzeum! Do czego to podobne? Czy w Oklahomie nie ma cichych zakątków? U nas w Karolinie Północnej takich nie brakuje.

- Każ się wypchać - mruknął przyjaźnie Cortez i uruchomił silnik. - Jadę. Robota czeka.

- I na mnie już pora. Miej oczy szeroko otwarte.

- Ty również.

Phoebe wymknęła się z toalety i zniknęła pośpiesznie w zaciszu swego gabinetu. Daremnie próbowała się tam skryć. W chwilę później na progu stanęła zmartwiona Marie, a za nią przystojna, bardzo elegancka kobieta. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Miała jasne włosy, niebieskie oczy i zgrabną figurę. Ubrana była w markowy kostium. Wydawało się raczej wątpliwe, żeby mogła sobie pozwolić na kupno takiego stroju z nauczycielskiej pensji.

Nazywam się Marsha Mason oznajmiła.

Byłam tu wczoraj. Zawahała się na moment.

Uczę w szkole podstawowej. Mówiłam już pani asystentce, że chciałabym podyskutować o zasadach moralnych..

- Phoebe Keller - usłyszała w odpowiedzi, nim dokończyła zdanie. Bardzo mi przykro, że mimo woli postawiłam panią w trudnej sytuacji. To był mój... narzeczony. Wczoraj się oświadczył - dodała.

- Naprawdę? - Kobieta wydawała się zbita z tropu.

- Owszem. - Phoebe zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Znamy się od kilku lat, ale przez długi czas byliśmy rozdzieleni. Mój narzeczony jest agentem FBI.

Kobieta drgnęła, ale zachowała spokojny wyraz twarzy.

- Ach tak? Rozumiem.

- Zdaję sobie sprawę, jakie ograniczenia narzuca moja praca, ale w takich okolicznościach... To było silniejsze ode mnie - tłumaczyła Phoebe przyciszonym głosem.

- Zapewne. - Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała na jej dłoń. - Nie nosi pani

pierścionka.

- Na razie nie. - Phoebe uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Mój narzeczony jest wyjątkowo impulsywny.

Nauczycielka odchrząknęła.

- W tych okolicznościach pani zachowanie wydaje się usprawiedliwione, lecz na przyszłość proszę...

To się więcej nie powtórzy stanowczo zapewniła Phoebe. Wszystko już sobie wyjaśniłyśmy, prawda?

Nie odparła z wahaniem nauczycielka. Tak poprawiła się i dodała: Ma pani tutaj bardzo interesującą kolekcję sztuki paleoindian. Szczególnie zainteresowała mnie największa gablota ze statuetką wyobrażającą ludzką postać. To prawdziwe arcydzieło Mogę spytać, jak je pani zdobyła?

- Dlaczego pani o to pyta? odparła Phoebe, zdziwiona nieoczekiwana zmianą tematu.

Kobieta długo milczała, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Usta miała zaciśnięte.

- W jednym z nowojorskich muzeów przed rokiem doszło do kradzieży - wyjaśniła z powagą. - Oczywiście nie jest moim zamiarem oskarżanie pani. Tak się składa, że pracowałam wtedy w szkole znajdującej się niedaleko owego muzeum i często chodziłam tam z moimi uczniami. Doskonale znałam wszystkie eksponaty. Zachowałam nawet fotografię ukradzionej figurki. Tutejszy eksponat jest niezwykle podobny...

Phoebe omal nie zemdląła, lecz natychmiast wzięła się w garść. Przypomniała sobie, w jaki sposób zdobyła cenny eksponat. Z ofertą kupna figurki zwrócił się do niej właściciel nowojorskiej galerii. Zaprosiła go na posiedzenie rady nadzorczej muzeum, i tam przedstawił swoją propozycję. Cena była wysoka, ale rozsądna, dlatego szybko sfinalizowano transakcję. Po namyśle Phoebe uznała, że lepiej nie opowiadać o tym nauczycielce. Powinna najpierw rozmówić się z Cortezem. Dziwne, że Marsha Mason w ogóle poruszyła ten temat. Nie wyglądała na nauczycielkę z podstawówki. Nic tylko jej kostium był markowy. Torebka i buty także musiały sporo kosztować. Nauczycieli nie stać na takie luksusy.

Interesująca opowieść powiedziała Phoebe z udawanym zdziwieniem. Tak się składa, że w ciągu ostatnich lat widziałam kilka podobnych statuetek. Jedna z nich okazała się falsyfikatem. Kobieta obrzuciła ją bystrym spojrzeniem.

- Wasz eksponat nie wygląda na podróbkę.

- Studiowała pani archeologię? - spytała Phoebe, unosząc brwi.

- Trochę znam się na sztuce - odparła pospiesznie Marsha Mason. - Zapewne wiadomo pani, że złodzieje okradają nie tylko muzea. Grasują też na stanowiskach archeologicznych, podkradając uczonym najcenniejsze znaleziska.

- Owszem - przytaknęła Phoebe i twarz jej spochmurniała. - Dla pasjonatów archeologii tacy rabusie to najgorsza plaga.

- Czyżby? - Marsha Mason uniosła brwi i dodała ironicznie: - Gdyby nie oni, skąd muzea takie jak wasze brałyby nowe eksponaty do swoich kolekcji?

- Odpowiedź jest prosta - powiedziała oschle Phoebe. - Najważniejszym źródłem są dla nas darowizny samych archeologów prowadzących wykopaliska. Przekazanie znalezisk odbywa się zgodnie z przepisami za pośrednictwem wyspecjalizowanych instytucji.

Zapewniani panią, że nasza figurka pochodzi z pewnego źródła. Zaoferował nam ja. właściciel renomowanej galerii sztuki, prawdziwy ekspert w tej dziedzinie. To eksponat z Cohakia, który długo pozostawał w rękach prywatnych, a po śmierci poprzedniego właściciela został wystawiony na sprzedaż.

- Interesujące. - Pani Mason zawahała się na moment. - W naszej szkole jest mała galeria sztuki. Chcielibyśmy ją uzupełnić, choć mamy skromne fundusze. Czy pamięta pani nazwisko tego znawcy?

Coraz bardziej zdziwiona Phoebe zamrużyła powiekami.

- Dał mi wizytówkę, ale chyba ją zgubiłam. - Roześmiała się nerwowo. - Nic nie szkodzi. Doskonale pamiętam tego człowieka. Ma charakterystyczną sylwetkę i twarz. Wszędzie bym go rozpoznała. Spróbuję zadzwonić do jego galerii. Na fakturze na pewno będzie numer telefonu.

Kobieta niespodziewanie pobladła.

- Nie warto. I tak na razie nie stać nas na taki zakup. Ale jeśli pani usłyszy o wykopaliskach prowadzonych w okolicy, proszę o wiadomość. Może uda mi się namówić archeologów, żeby podarowali szkole jakiś drobiazg.

- Oczywiście, będę pamiętała - zapewniła Phoebe.

- Proszę się na mnie nie gniewać za to, co powiedziałam o statuetce - dodała oschle pani Mason. Jestem pewna, że wasze eksponaty pochodzą z legalnych źródeł.

- Do głowy mi nie przyszło, żeby potraktować pani uwagi jako oskarżenia - odparła z uśmiechem Phoebe.

Kąciki ust pani Mason uniosły się w górę, ale ciemnoniebieskie oczy patrzyły chłodno.

- Na mnie już czas. Gratuluję zaręczyn.

- Dzięki - odpowiedziała Phoebe.

- Jest pani... pewna, że tamta galeria działa zgodnie z prawem? - zapytała niespodziewanie nauczycielka. Zarumieniła się, czując na sobie podejrzliwe spojrzenie rozmówcy.

- Ależ tak! - skłamała Phoebe.

- Doskonale. - Pani Mason uśmiechnęła się bez przekonania i opuściła gabinet. Pospieszyła do wyjścia i natychmiast wsiadła do taksówki czekającej na parking. Phoebe obserwowała ją przez oszklone drzwi. Nie czuła ulgi, choć skutecznie oddaliła od siebie widmo utraty stanowiska. Niepokoila ją zagadkowa uwaga pani Mason na temat cennej statuetki. Trzeba porozmawiać o tym z Cortezem. Najpierw jednak musiała odszukać dane właściciela galerii i prześledzić losy eksponatu. Opuściła gabinet, stanęła przed gablotą i długo przyglądała się posązkowi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Phoebe przejrzała swoje archiwum, szukając danych mężczyzny, który zaoferował jej posążek. Jego wizytówka wcale nie zginęła. Phoebe uciekła się do takiej wymówki, bo Marsha Mason wydała jej się nieco podejrzana.

Wizytówka nie na wiele się przydała. Była na niej nazwa nowojorskiej galerii, jej adres oraz nazwisko właściciela, brakowało jednak numeru telefonu.

Phoebe natychmiast zadzwoniła do informacji, podała wszystkie dane i poprosiła o jego znalezienie. Po chwili usłyszała od telefonistki, że pod wskazanym adresem nie ma żadnej galerii, ale kilka posesji dalej znajduje się magazyn dzieł sztuki. Phoebe zadzwoniła pod uzyskany numer i poprosiła Franka Nortona. Usłyszała w odpowiedzi, że to pomyłka. Człowiek o takim nazwisku nigdy tam nie pracował.

Odłożyła słuchawkę i mocno zaaferowana wpatrywała się w aparat telefoniczny. A jeśli mężczyzna, który sprzedał jej statuetkę, to złodziej albo paser?

Postanowiła natychmiast zadzwonić do szkoły, w której pracowała pani Mason, i dyskretnie wypytać, co dokładnie wiadomo jej o kradzieży. Czekala przy telefonie, aż sekretarka przywoła nauczycielkę do telefonu. Wkrótce usłyszała charakterystyczny trzask.

- Pani Mason? - upewniła się.

- Tak. Słucham. O co chodzi? - zabrzmiał dziwnie obcy głos.

- Mówi Phoebe Keller z muzeum w Chenocetah - przedstawiła się. - Chciałabym jeszcze wrócić do naszej dzisiejszej rozmowy. Mam kilka pytań.

Zapadła głucha cisza.

- Przepraszam bardzo, ale zaszła pomyłka. Nie byłam dzisiaj w muzeum.

- Jak to? - zdziwiła się Phoebe. - O ile mi wiadomo, odwiedziła nas pani wczoraj ze swoją klasą, a dziś rano...

- Wczoraj inna klasa miała lekcje w muzeum - odparła spokojnie nauczycielka.

- Z pewnością nie moja. Byłam chora i miałam zwolnienie lekarskie. Niedyspozycja żołądkowa. Dziś Jestem pierwszy dzień w pracy.

Phoebe utkwiała wzrok w blacie biurka.

- Moja rozmówczyni powiedziała, że nazywa się Marsha Mason - wyjaśniła.

- Dziwne ~ odparła nauczycielka. Sprawiała wrażenie mocno zaniepokojonej.

Chyba wiedziała, co mówi.

Wytrącona z równowagi Phoebe próbowała ratować sytuację.

- Czy może mi pani powiedzieć, jak nazywa się nauczycielka, która wczoraj była u nas ze swoją klasą?

- Zaraz spytam koleżanki. Proszę zaczekać.

- W słuchawce zabrzmiały stłumione głosy. Wkrótce pani Mason odezwała się znowu. - Halo? Pani Keller?

- Tak, słucham - odparła natychmiast zaintrygowana Phoebe.

- Constance Riley poszła do muzeum z pierwszoklasistami - padła odpowiedź. - Powinnam chyba zawiadomić policję, że ktoś się pode mnie podszywa - dodała z irytacją pani Mason.

- To niepokojące.

- Na pani miejscu też byłabym mocno wystraszona. Moim zdaniem rzeczywiście trzeba zwrócić się z tym do policji. Chętnie złożę zeznania, jeśli to będzie konieczne. Dzięki za informacje, pani Mason.

- Nie ma za co, moja droga - odparła rzeczowo nauczycielka. - To ja powinnam być wdzięczna. Gdyby nie telefon od pani, nic bym nie wiedziała o tej przykrej sprawie.

- Miło się z panią rozmawiało.

Gdy Phoebe odłożyła słuchawkę, popadła w ponurą zadumę. Nieopatrznie zdradziła tajemniczej rozmówczyni, że bez trudu rozpoznałaby mężczyznę, który sprzedał jej figurkę. A może rzekoma pani Mason współpracowała z oszustem? Czyżby zjawiała się w muzeum, żeby sprawdzić, co zapamiętała jego dyrektorka? Dręczona obawami Phoebe ciężko opadła na oparcie fotela.

Cortez zastał Paula Corlanda na prowadzonej przez niego budowie, gdzie nadzorował montaż stalowych dźwigarów. Inwestycję wznoszono w najbliższym sąsiedztwie parceli, na której pracował Bennett.

Corland był wysokim, ponurym blondynem o ciemnych oczach. Cortez przedstawił się i pokazał odznakę FBI.

- Będę wdzięczny, jeśli zechce pan mi poświęcić trochę czasu.

- Chodzi o transport stali? Już zeznawałem na policji w tej sprawie. - Corland zdjął sfatygowany kapelusz, żeby otrzeć spocone czoło. Nałożył go z powrotem, ledwie tłumiąc złość. - Szwindel z dźwigarami to nie moja wina. Nie mam z tym nic wspólnego! - pieklił się. - Kartoteki świadczą przeciwko mnie, ale zapewniam pana, że nie ponoszę winy za to, co zdarzyło się w Charlestonie!

- Nie przyjechałem tutaj, żeby rozmawiać o budowie - wyjaśnił szybko Cortez. - Chciałbym zapytać, czy ma pan jakieś podejrzenia dotyczące wydarzeń ostatnich dni.

- A można wiedzieć, o co konkretnie panu chodzi? - dopytywał się opryskliwie Corland.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa - odpowiedział Cortez równie nieprzyjemnym tonem.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Chodzi o tego archeologa, prawda?

- Owszem - przytaknął Cortez, unosząc brwi.

- Przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć - opowiadał Corland. - Gadał bzdury o starożytnych szczątkach, które zostały stąd usunięte. Według niego z naszej winy. Chciał rozejrzeć się w jaskiniach na terenie budowy, ale mu nie pozwoliłem.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienie, zwłaszcza z tak błahego powodu jak kupa starych kości - burknął Corland. - I tak ledwie się wyrabiamy z powodu tego procesu w Karolinie Południowej. Zmuszam ludzi do pracy po godzinach, żeby nie zawalić terminów. Na domiar złego brakuje nam stali zbrojeniowej. Czekamy na kolejny transport. Siedzimy jak na rozżarzonych węglach. Codziennie dzwonię, żeby sprawdzić, kiedy dotrze kolejna dostawa.

- Gdzie są te jaskinie? - zapytał Cortez.

- Nie powiem - odparł buntowniczo Corland i zacisnął usta.

Cortez spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Nie chcę pana straszyć - zaczął lodowatym tonem - ale takie podejście do sprawy na pewno skończy się wstrzymaniem prac budowlanych. Szukam mordercy. I tak postawię na swoim, a przy okazji bardzo panu zaszkodzę, o ile... zostanę do tego zmuszony. Na przykład wystąpię o nakaz rewizji i dam cynk lokalnym dziennikarzom.

Corland klął jak szewc.

- Nic to panu nie pomoże - ciągnął Cortez z pogardliwym wyrazem twarzy. - Niech pan nie robi sobie ze mnie wroga.

- Jeden agent FBI niewiele może.

- Kilka lat przepracowałem w prokuraturze federalnej. Mam spore wpływy - dodał Cortez.

Zawołowana groźba spełniła swoje zadanie. Corland zacisnął usta.

- Czego pan szuka w tych jaskiniach?



- Trudno powiedzieć. Może nic nie znajdę, a wtedy już mnie pan tu nie zobaczy.

- Pierwsza przyjemna wiadomość - rzucił ironicznie Corland. - Zaprowadzę pana.

Cortez poszedł za nim do zagajnika, który przylegał do placu budowy. Jaskinie wychodziły na skalną półkę. Trzeba się tam było wspiąć.

- Niech pan zaczeka - nakazał Cortez, gestem dając Corlandowi znak, żeby nie szedł dalej. Pochylił się, szukając pozostawionych śladów u podnóża gór.

- Zna się pan na tropieniu? - zapytał nagle budowlaniec.

- Tak.

Corland ruszył ścieżką wiodącą ku otworowi drugiej jaskini.

- Ja poluję - mruknął zgięty wpół. - Potrafię wytropić jelenia na kamienistym podłożu.

- Jeśli pan coś znajdzie, proszę mnie zawołać. Corland kiwnął głową.

Wspinaczka zabrała im pół godziny, ale przed jaskiniami niczego nie znaleźli. Daremnie wypatrywali śladów stóp, choć przed samymi pieczarami litą skałę pokrywała warstwa piasku.

- Dam głowę, że nic tu nie ma - oznajmił w końcu Cortez.

- Ja też nie widzę żadnych tropów.

- Dzięki za pomoc. - Cortez podszedł do Corlanda, który skinął głową i ruszył ścieżką w dół.

- Chwileczkę - odezwał się, gdy gość wsiadał do auta. - Na południe od miasta też są jaskinie - powiedział, unosząc głowę, bo Cortez był od niego wyższy. - Niedaleko miejsca, gdzie Bob Yardley buduje hotel. Dowiedziałem się o nich przypadkowo, gdy parę dni temu jego kierownik budowy przysiadł się podczas obiadu i zaczął wypytywać o faceta, który wcześniej pracował u mnie. Wspomniał, że niedawno ktoś się kręcił po jego terenie, i to późnym wieczorem. Intruz zwiął dżipem. Yardley pytał, czy to może ktoś ode mnie. Raz się człowiekowi powinie noga i już ma zapaskudzoną opinię na całe życie - dodał z goryczą.

- A może jednak to był ktoś od pana? - spytał Cortez i podszedł, marszcząc brwi.

- Na to wygląda. Niedawno zwolniłem jednego gościa - tłumaczył Corland. - Poszedł szukać roboty u Yardleya. Jego kierownik budowy pytał mnie potem, dlaczego wylałem faceta, więc mu powiedziałem.

- Ten człowiek jeździ dżipem? - spytał Cortez. - Jak się nazywa?

- Fred Norton - powiedział Corland. - Ma nowego forda, czarną terenówkę.

Cortez zrobił notatkę i zadał kolejne pytanie:

- Yardley zatrudnił Nortona?

- Ależ skąd! Żaden pożytek z tego obiboka - powiedział obojętnie Corland. - Szczerze mówiąc, nie Jestem pewny, czy Norton rzeczywiście szukał pracy. Mój brygadzysta twierdzi, że u nas się kompletnie objął, wie pan, poleniuchował trochę i szedł do domu.

- Dzięki - rzucił Cortez. - Nie będę pana więcej nachodzić. Jeśli coś się panu przypomni, proszę zadzwonić na policję i poprosić Drake'a Stewarta, zastępcę szeryfa.

- Dobra - odparł Corland.

Cortez kiwnął głową i odszedł. *Od* razu polubił mrukliwego budowlańca, choć Bennett źle o nim mówił. Teraz należało spotkać się z Yardleyem i sprawdzić kolejni] jaskinię.

Bob Yardley był po sześćdziesiątce, miał łysinę i kipiał energią. Mocno uściskał dłoń Corteza i uśmiechnął się promiennie.

- Prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa - zagadnął agenta. - Zgadza się?

Kąciaki ust Corteza uniosły się lekko.

- Słuszna uwaga.

- Zaczynałem karierę zawodową jako glina, ale zmieniłem profesję - odparł Yardley. - Na budowie lepiej płacą.

Cortez rozparł się na wygodnym krześle stojącym przy biurku.

- Słyszałem, że na skraju pańskiego terenu znajduje się jaskinia - zaczął ostrożnie.

- W okolicznych górach jest ich sporo, ale my mamy tylko jedną. Ostatnio ktoś tam się kręcił - opowiadał Yardley. - Miałem nawet zadzwonić na policję, lecz niewiele widziałem. O czym tu gadać? Na budowę nikt się nie pchał, więc dałem sobie z tym spokój.

- Wspomniał pan Corlandowi, że intruz odjechał autem terenowym, prawda? - upewnił się Cortez.

- Zgadza się. Ciemny lakier. Dokładnie nie widziałem.

- Ile razy zauważył pan tu nieproszonych gości?

- Tylko raz, kiedy późnym wieczorem przyjechałem do biura, żeby odwalić papierkową robotę. Ale jeden z moich ludzi parę dni wcześniej zwrócił uwagę, że coś

się dzieje koło jaskini. - Yardley skrzywił twarz. - Moim zdaniem to było w noc morderstwa.

- Skoro skojarzył pan te dwa fakty, dlaczego nie zawiadomił pan policji? - zapytał Cortez.

- Mogłem się mylić. Woląłem uniknąć zarzutu, że skierowałem gliniarzy na fałszywy trop - wyjaśnił Yardley, wzruszając ramionami.

- Chciałbym obejrzeć jaskinie. - Cortez czuł, że puls mu przyspiesza.

- Jasne. Zawiozę pana.

- Dzięki.

Wejście do samotnej jaskini ukryte było w lesie. Teren został częściowo zniwelowany. W tym rejonie Karoliny Północnej parcele nadające się z marszu pod zabudowę stanowiły prawdziwą rzadkość. Przeważały obszary górzyste i kamieniste, które wymagały starannego wyrównania. Droga wiodąca do jaskini biegła przez drewniany mostek, a dalej zmieniała się w wyboistą ścieżkę.

- Może pan tu zaparkować? - spytał Cortez. Yardley bez słowa zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

Cortez wysiadł i zgięty wpół szukał śladów. Było ich sporo. Dostrzegł odcisk uszkodzonego bieżnika opony. Serce waliło mu coraz mocniej. Był podekscytowany, jakby odkrył żyłę złota.

Wyjął telefon komórkowy i zadzwonił po ekipę dochodzeniową.

- Tylko się pospieszcie - strofował jej szefową. - Czekam na miejscu.

- Zaraz ruszamy - odparła i przerwała połączenie.

- Coś pan wypatrzył, prawda? - zapytał Yardley.

- Chyba tak - odparł z uśmiechem Cortez. Policjanci fachowcy wkrótce byli już przed jaskinią. Natychmiast wzięli się do pracy. Zabezpieczyli drobne przedmioty, wkładając je do osobnych toreb. Wykonali również gipsowy odlew charakterystycznego bieżnika. Próbowali nawet zdjąć odciski palców z granitowych skał przy ścieżce wiodącej do grotu. Wewnątrz znaleźli ślady obecności kilku osób oraz zaschniętą krew. Mimo to byli trochę rozczarowani. Cortez w głębi ducha liczył, że trafi na prehistoryczny szkielet, ale pieczara okazała się pusta.

Z drugiej strony jednak nie miał powodów do narzekań. Ślady krwi na kamiennej ścianie mogły się okazać przełomowe dla sprawy. Ekipa dochodzeniowa wycięła diamentowym ostrzem fragmenty skał, żeby łatwiej było pobrać próbki do dalszych badań.

- Gromadzenie dowodów rzeczowych to straszna harówka - mruknął Yardley. Nowoczesne metody pracy tak go zaciekały, że ani myślał odjechać.

- Mojej ekipie szefuje Alice Jones - powiedział Cortez, wskazując młodą kobietę nadzorującą wycinanie kawałków skały. - Widziałem, jak cięła ściany i podłogi, żeby zabezpieczyć ślady. Nic jej nie umknie. W Teksasie jest żywą legendą.

- Od razu widać, że to pedantka. Przed laty też miałem w swoim wydziale niezłą ekipę. - Popatrzył na Corteza. - Moim zdaniem morderca właśnie tutaj dopadł ofiarę. Jak pan myśli?

- Trudno powiedzieć - odparł Cortez. - Wolę poczekać na wyniki ekspertyz i dopiero wtedy formułować wnioski. - W głębi ducha zgodził się jednak z byłym kolegą po fachu.

Do muzeum przyjechał po zmierzchu. Drzwi były zamknięte na głucho, okna ciemne. Z obawą pomyślał, że Phoebe nie doczekała się go, więc postanowiła sama wrócić do domu. Odetchnął dopiero w motelu, gdy wszedł do pokoju i zobaczył, że leży na łóżku w jego pokoju i czyta Josephowi książeczkę.

Wszedł do środka i schował klucz do kieszeni.

- Dlaczego siedzicie u mnie, a nie u Tiny? Gdzie ona jest?

- Drake ma wolny wieczór. Postanowił wybrać się do kina na nowy hit. Jakaś fantastyka naukowa. Zaprosił Tinę. więc robię za opiekunkę do dziecka. A co u ciebie? spytała z szerokim uśmiechem.

- Znaleźliśmy jaskinię, w której prawdopodobnie zamordowano denata. Mamy sporo śladów - odparł ponuro. Opadł na posłanie i położył się na plecach obok tamtych dwojga. - O Boże, Jestem wykończony!

- Jadłeś coś?

- Nie było czasu.

- Mamy pizzę - oznajmiła Phoebe. - Drake się postarał. Przewidział, że wrócisz głodny, a nie będzie ci się chciało iść na obiad.

- Utwierdziłaś go w tym przekonaniu? - zapytał, odwracając głowę i spoglądając w niebieskie oczy.

- Tak, bo wiedziałam, jaki będziesz zmęczony. Pracowałam z tobą, dobrze pamiętam, jak to wygląda. Joseph, posiedź z tatą, a ja przygotuję kolację, zgoda? - dodała pogodnie.

- Dobrze, Fibi - mruknął Joseph. Przytulił się do ojca i pogłaskał go po ramieniu. - Cześć, tato!

- Cześć, synku. - Cortez przygarnął go do siebie i delikatnie pocałował w policzek. - Byłeś grzeczny?

- Grzecznutki! - zapewnił malec, uśmiechając się promiennie.

Phoebe spoglądała na nich ze zdumieniem. Do tej pory nie podejrzewała, że Cortez ma tak rozwinięty instynkt ojcowski. Z dzieckiem w objęciach wyglądał całkiem naturalnie. Od razu rzuciło się w oczy, że bardzo kocha synka, a uczucie to było odwzajemnione, bo Joseph uwielbiał tatę.

Cortez czuł na sobie jej zdumione spojrzenie. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Nie znałaś mnie od tej strony, prawda? - mruknął kpiąco.

- Przecież nic nie mówię - odparła zaczepnie i uniosła brodę.

Otworzyła pudełko z pizzą, która była jeszcze gorąca. Położyła duże trójkąty na papierowych talerzach.

- Co pijesz? - zapytała.

- Mamy piwo? - wymamrotał.

- Naprawdę je lubisz?

- Czasami, gdy Jestem wykończony, stawia mnie na nogi - wyznał. - Ale nie mogę powiedzieć, żebym je lubił. - Siadając, stęknął głucho. - To był trudny dzień.

- Racja - zgodziła się Phoebe, podając mu talerz i butelkę piwa.

Usiadła na łóżku obok Josepha. Cortez jadł pizzę przy biurku.

- Nauczycielka, która przysłała do mnie rano, to oszustka - oznajmiła po chwili intensywnego namysłu.

- Proszę? - Cortez znieruchomiał z butelką przy ustach.

- Zadzwoiłam do szkoły, w której rzekomo uczy. Do telefonu podeszła zupełnie inna kobieta. Nikt tam nie zna mojej prześladowczyni.

- Phoebe skrzywiła się. - Ta oszustka wypytywała mnie o cenną statuetkę, nasz ostatni nabytek. Wspomniała, że podobną skradziono jakiś czas temu z nowojorskiego muzeum etnograficznego. To była insynuacja, właściwie nawet oskarżenie, że nabywamy eksponaty z nielegalnych źródeł.

- Co jeszcze mówiła?

- Nic ważnego. Coś mnie tknęło, żeby sprawdzić właściciela galerii, który sprzedał nam figurkę. Dane na wizytówce były fałszywe. Nie ma takiej galerii, a facet jest nieuchwytny.

- Zawahała się na moment. - Nieopatrznie powiedziałam tej kobiecie, że doskonale go pamiętam i nie miałabym problemów z rozpoznaniem.

Cortez z hukiem odstawił butelkę na blat biurka.

- Wiem, wiem. Palnęłam głupstwo - przyznała - ale byłam przekonana, że moja rozmówczyni jest nauczycielką. Bardzo sprytnie mnie podeszła. Wspomniała o szkolnej kolekcji i powiedziała, że chciałaby porozmawiać z facetem o zakupie niedrogiego eksponatu do szkolnych zbiorów. - Phoebe nerwowym ruchem odgarnęła włosy. Cóż, wyszłam na idiotkę. W dodatku ta kobieta bała się i nie potrafiła tego ukryć.

- Skąd miałaś wiedzieć, że to mistyfikacja? - pocieszył ją Cortez. - Chodź do mnie.

Gdy usłuchała, posadził ją sobie na kolanach i pocałował czule.

- Wszyscy popełniamy błędy. Nawet zadufany w sobie agent FBI taki jak ja może palnąć głupstwo.

Uśmiechnęła się i dała mu całusa, ciesząc się chwilą czułości. Coraz więcej ich łączyło.

- Tata całuje Fibi! - Joseph roześmiał się radośnie.

Phoebe wyprostowała się i z miną winowajczyni zerknęła na uradowanego chłopczyka.

- Ktoś nas podgląda - mruknęła.

- I mnie się tak wydaje - odparł pogodnie Cortez.

Phoebe wstała, podeszła do malca, który uścisnął ją i cmoknął w policzek.

- Ja też całuję Fibi! - zawołał roześmiany. Tulili się przez dłuższą chwilę.

- Kochany jesteś! Nikt ci się nie oprze - oznajmiła Phoebe, klepiąc go po plecach.

Cortez z radością i rozczuleniem przyglądał się tej scenie. Skończył kolację i rozpuścił długie, ciemne włosy.

- Możesz jeszcze przez chwilę zająć się Josephem? - spytał. - Chciałbym teraz wziąć prysznic.

- No pewnie - odparła - Czytam mu legendy Czirokezów.

- Opowieści Komanczów byłyby bardziej na miejscu. - Obrzucił ją, karcącym spojrzeniem.

- Nie mamy takiej książeczki odparła z bezradnym westchnieniem. - Poza tym, bądź łaskaw zauważyć, że nie jesteśmy na terytorium Komanczów - dodała kpiąco.

- Niech ci będzie... Zaraz wracam.

Rozbierał się, idąc do łazienki. Phoebe zerknęła na niego ukradkiem, gdy

zdejmował koszulę. Pod śniadą skórą rysowały się pięknie wy - rzeźbione mięśnie. Naprawdę mógł się podobać kobietom.

Złapał ją na tym, że mu się przygląda, i pytająco uniósł brwi. Musiała znaleźć jakąś wymówkę, by usprawiedliwić swoje zainteresowanie.

- Słyszałam gdzieś, że Indianie mają nie - owłosione torsy.

- Mój pradziadek był Hiszpanem - przypomniał z kpiącym uśmiechem.

- Ach tak, prawda.

Odwzajemnił jej spojrzenie. Podziwiał smukłą postać w dopasowanych džinsach i żółtym sweterku z długimi rękawami i dekoltem w serek. Pastelowe kolory podkreślały jasną cerę.

- Ślicznie wyglądasz, Phoebe - powiedział cicho.

Zarumieniła się i wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Ale masz gadane!

Podszedł do łóżka i przyciągnął ją do siebie, aż znalazła się w jego objęciach.

- Czyżbyś miała kompleksy? - spytał szeptem. - Jesteś cudowna, Phoebe. Szaleję za tobą.

Chciała odpowiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem, chwycił za rękę i położył je na swoim torsie.

- Tata całuje Fibi! - pisnął Joseph. Cortez natychmiast odsunął ukochaną i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Mamy widownię - mruknął i zrobił krok w tył. - Źle wybrałem czas i miejsce.

Phoebe odprowadziła go spojrzeniem, wsłuchana w głośnie bicie swojego biednego serca. Po raz pierwszy dotknęła nagiego torsu Jeremiasza. W całym ciele odczuwała dziwne pulsowanie. Obudziły się w niej nieoczekiwane pragnienia i tęsknoty.

- Fibi, czytaj! - marudził Joseph, siedząc na środku posłania. W rączkach trzymał książkę. Litery były ogromne. I bardzo dobrze, bo Phoebe zostawiła okulary na biurku w swoim gabinecie.

- Zgoda, kochanie. - Opadła na łóżko, usiadła wsparta o wezglowie i posadziła sobie Josepha na kolanach. - Chodź do mnie. Przeczytamy wszystko od początku do końca!

Phoebe oglądała z Josephem dobranockę, a Cortez włączył laptop i buszował w Internecie.

Milczał, podczas gdy jego palce szybko biegały po klawiaturze. Phoebe złapała

się na tym, że obserwuje go ukradkiem. Podziwiała długie, świeżo umyte włosy opadające na szerokie ramiona okryte czarnym T - shirtem. Z nogawek czarnych spodni wystawały białe stopy. Wyglądał nadzwyczaj pociągająco.

Josephowi opadały powieki, dlatego przeniosła go ostrożnie na łóżko i wyciągnęła się obok. Cortez nadal pracował.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Otworzył, wpuszczając do środka Tinę.

- Przepraszam - szepnęła. - W kinie był straszny tłok. Dużo czasu minęło, nim dotarliśmy do wyjścia - szepnęła, spoglądając ponad jego ramieniem na Phoebe i Josepha. - Zabiorę małego do siebie...

- Dzisiaj śpią u mnie. Mamy dwa łóżka - przerwał jej Cortez. - Muszę omówić z Phoebe kilka spraw.

Tina popatrzyła na niego z ciekawością i obawą.

- Coś się stało, prawda?

- Tak - przyznał. - Zamknij drzwi na klucz. Gdybyś usłyszała jakiś dziwny dźwięk, z całej siły wal pięściami w ścianę. Rozumiemy się?

- Drake wspomniał, że w śledztwie pojawił się nowy wątek, ale nie chciał mi nic więcej powiedzieć. - Tina spoważniała. - Od ciebie też niczego się nie dowiem, prawda?

- Nie mogę nic mówić. Ścisłe tajne, kuzyneczko. - Uśmiechnął się. - Jak minął wieczór? Dobrze się bawiłaś?

- Tak. - Spojrzała na niego rozmarzonym wzrokiem. - On jest przemiły.

- A policjant z Ashville? - spytał drwiąco.

- O Boże! - jęknęła.

- Przepraszam - zreflektował się. - Nie zaprzataj sobie tym głowy. Nie jesteście przecież zaręczeni.

- No pewnie. - Spojrzała ukradkiem na Phoebe zajęta usypianiem Josepha. - Tak czy inaczej Drake i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie. Raz jeszcze ponad ramieniem Corteza spojrzała na Phoebe, która pomachała do niej.

- Wie już, że śpi u ciebie? - zapytała szeptem Tina. Phoebe zaczęła oglądać film i nie zwracała uwagi na rozmawiających.

- Jeszcze nie - przyznał, tłumiąc śmiech. - Będzie dobrze. Pożyczę jej T - shirt.

Tina uśmiechnęła się szeroko i poszła do swego pokoju.

Film się skończył. Phoebe wstała i wyłączyła telewizor. Spojrzała na Josepha,



który spał słodko na łóżku. Podeszła do Corteza i szepnęła:

- Idę do Tiny. Pora spać - powiedziała z wahaniem. To dziwne, lecz wcale nie chciało jej się stąd wychodzić.

Cortez oderwał się, - od komputera i wstał. Zadarła głowo, żeby na niego popatrzeć.

- Powiedziałem Tinie, że dzisiaj śpisz u mnie. Masz do dyspozycji sąsiednie łóżko. Pożyczę ci T - shirt. - Popatrzył na nią z czułym uśmiechem. - Jestem znacznie wyższy, więc będzie ci sięgał do kolan.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Masz ważny powód, żeby mnie tu zatrzymać, prawda? Czego się dowiedziałeś?

- Drake przypomniał sobie, że tamtego dnia, kiedy uczył cię strzelać, w pobliżu twojego domu stał czarny dżip.

- Tak - przyznała. - Ja też go raz widziałam. Zastanawiałam się nawet, czy ci o tym powiedzieć, ale uznałam, że nie warto. Kierowca szukał czegoś na mapie, dlatego po namyśle doszłam do wniosku, że to zwykły turysta, który zablądził w górskiej okolicy.

- Być może morderca jeździ czarną terenówką - wyjaśnił Cortez, a Phoebe gwizdnęła cicho.

- O kurczę!

- Sytuacja nie wygląda najlepiej - tłumaczył - ale wzmocnimy twoją ochronę.

- Niepotrzebnie powiedziałam tamtej oszustce podającej się za nauczycielkę o człowieku, który sprzedał nam figurkę - kajała się Phoebe.

- Co mi wpadło do głowy, żeby chwalić się dobrą pamięcią?

- Swoją drogą to dziwne, że rozmawiała z tobą o kradzieży odparł zamyślony Cortez, mrużąc oczy. - Czyżby sama należała do szajki rabującej dzieła sztuki? A jeśli pokłóciła się z kumplami? Może liczyła, że jak puści farbę, ty zawiadomisz policję i koleś wpadnie w nasze ręce.

- A złodziejski kodeks honorowy? Już nie obowiązuje? - spytała zdziwiona Phoebe.

- Według mnie wszystko zależy od tego, ile forsy można zgarnąć - wyjaśnił rzeczowo. - Pamiętaj, przestraszony złodziej często staje się mordercą. A jeśli ta oszustka była zamieszana w kradzież, a teraz chce uniknąć oskarżenia o współudział w morderstwie? Kobiety fatalnie znoszą życie za kratkami.

- Racja.

Cortez podszedł do komody, otworzył szufladę i wyjął czystą czarną koszulkę. Podał ją Phoebe.

- Muszę jeszcze popracować, więc połów się przy Josephie i zaśnij.

- Budzik nastawiony? - zapytała, a Cortez kiwnął głową.

- Dopilnuję, żebyś rano wstała na czas.

- Dzięki.

Poszła do łazienki i wzięła prysznic. Wysuszyła włosy suszarką, którą znalazła w szafce. Czyściutka i pachnąca włożyła T - shirt tak obszerny, że bardziej przypominał sukienkę niż bluzkę. Roześmiała się pozbierała swoje rzeczy i wróciła do pokoju.

Cortez siedział przed komputerem. Spojrzała na mego tęsknie, zanim wyciągnęła się obok Josepha. Otuliła kołdrą siebie i chłopca, który natychmiast przytulił się do niej. Regularny dziecięcy oddech pomógł jej odprężyć się, kiedy zamknęła oczy.

Obudziła się nad ranem. Joseph spał na brzuszku przy brzegu łóżka. Cortez siedział na posłaniu, spoglądając na nią w półmroku.

Przetoczyła się na plecy i patrzyła na niego sennym wzrokiem.

- Co się stało?

- Był kolejny napad - powiedział cicho. - Zajrzę do Tiny. Powiem jej, żeby tu przyszła i została z tobą.

- Kto został napadnięty? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem. Coś się wydarzyło na budowie Bennetta. - Pochylił się i łagodnym ruchem pogłaskał ją po włosach. - Zadzwoń do Drake'a i poproś, żeby cię zawiózł do pracy. Przymknij mi, że nie będziesz się włóczyć sama.

- Dobrze - obiecała. Podniosła rękę i pogłaskała go po policzku. Ładnie pachniał. Czarna koszulka była identyczna z tą, którą miała na sobie. - Uważaj - dodała szeptem.

Westchnął głęboko, pochylił się i pocałował ją. Usiadła i przytuliła się ufnie. Objął ją ramionami za szyję, zachęcając do śmielszej pieśczości.

Trochę mu było żal, że nie będzie jej pierwszym mężczyzną. Zawiózł ją, więc przespała się z innym. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ich pierwszy raz nie będzie dla niej przykry i bolesny.

Wsunął ręce pod jej T - shirt i ściągnął go przez głowę. Szybko pozbył się

swojego. Nagi do pasa pocałował ją namiętnie. Wkrótce znów tulili się do siebie. Nagie piersi dotknęły obnażonego torsu. Cortezowi kręciło się w głowie.

- Jeremiasz! - krzyknęła słabym głosem Phoebe, oszołomiona nowym doznaniem.

Silne ręce o smukłych palcach głaskały jej plecy. Wtuleni w siebie, całowali się do utraty tchu.

- Cudowne uczucie. Uwielbiam cię dotykać - wyznał z ustami przy chętnych wargach.

Wiedziała, że się rumieni, ale nie dbała o to. W półmroku i tak nie było to widoczne...

Gdy objął dłonią jej piersi i dotknął sutków, wstrzymała oddech. Uniósł głowę i popchnął Phoebe na łóżko, układając jej ramiona za głowę. Przytrzymał nadgarstki i patrzył na obnażony biust.

Phoebe drżała z podniecenia. To była przełomowa chwila. Wszystko mogło się teraz zdarzyć. Poruszyła się niecierpliwie, w oczekiwaniu na kolejne doznania.

Jeremiasz spojrzał na jej biodra i blad różowe majteczki. Podziwiał długie, zgrabne nogi. Głośno wciągnął powietrze.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie kusi, żeby cię rozebrać, a potem wziąć tu i teraz.

Phoebe westchnęła spazmatycznie. Nagle przyszło opamiętanie.

- A Joseph? - zawołała.

Jeremiasz zerknął na śpiące dziecko i mocno zacisnął wargi. Z trudem łapiąc powietrze, obserwował śpiącego synka. Po chwili wrócił do podziwiania ślicznego ciała Phoebe. Puścił jej nadgarstki i z butną miną śmiało dotknął piersi, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma do tego pełne prawo. Uniosła się, spragniona pieśczoły.

- Nie jesteś w tych sprawach nowicjuską. Ja też wiem to i owo. Możemy się kochać, prawda? Ale nie dziś - dodał z jawnym żalem. - Już wkrótce, Phoebe. Jesteś moja... od stóp do głów. Cała moja, aż po te śliczne włosy. Sprawię, że będziesz krzyżeć z rozkoszy. Szukając ulgi, podrapiesz mi całe plecy. Będzie cudownie.

Phoebe dygotała jak w febrze. Skąd mu przyszło do głowy, że nie jest nowicjuską? Przecież nikomu się dotąd nie oddała. Najwyraźniej nie był tego świadomy, wołała jednak nie wyprowadzać go z błędu. Każdym słowem rozpałał ją coraz bardziej. Najchętniej rozebrałaby się do naga i przyciągnęła go do siebie, żeby poczuć, jak bardzo jej pragnie, i chłonać jego pocałunki.

Jeremiasz pochylił się i z niezwykłą czułością całował małe piersi. Uśmiechnął się triumfalnie, gdy z jej ust wyrwał się cichy jęk.

- Jesteś piękna, Phoebe - szepnął, unosząc głowę. - Wierz mi, nim zakończę śledztwo, będziesz spać w moich ramionach.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cortez spotkał się ze swoją ekipą na budowie Bennetta. W jego biurze znaleziono mężczyznę pobitego do nieprzytomności. Był to brygadzysta Walks Far. Ubranie miał pokryte drobnym pyłem. Zanim sanitariusze zabrali go do karetki, technicy z FBI ostrożnie zdjęli mu koszulę i buty. Wrzucili je do papierowych toreb, żeby jak najszybciej wysłać do laboratorium. Gdy przywieziono ofiarę do szpitala, lekarze z izby przyjęć uznali, że jest w stanie krytycznym i natychmiast podjęli akcję ratunkową. O stanie pacjenta powiadomiono oczywiście ekipę dochodzeniową.

- Gliniarze z rutynowego patrolu spostrzegli w środku nocy zapalone światło - składała raport Alice Jones. Wskazała policjanta w dzinsach. - Pobieżne oględziny wskazują, że ofiarę napadnięto w innym miejscu - dodała pewnym siebie tonem i spojrzała na Corteza.

- Jak myślisz, co się stało? - zachęcił ją do stawiania kolejnych hipotez.

Alice westchnęła głęboko i zmrużyła oczy.

- Moim zdaniem ofiarę uderzono kawałkiem skały. Na to wskazują obrażenia głowy i kształt rany.

- A kurz na butach i ubraniu? Widziałem też mokre plamy. - Zamyślony Cortez przymknął powieki.

Alice sięgnęła po torbę ze zmiętym ubraniem i powąchała je.

- Ziemia i powietrze są teraz suche. To chyba nie to - mruknęła do siebie. - Ubranie zalatuje stęchlizną. Facet kopał dół albo zszedł pod ziemię. Ma wilgotne buty - dodała - a we włosach pajęczynę. - Przypomniała sobie plamy zaschniętej krwi na głowie. - Według mnie był w jaskini i na pewno w pobliżu wody.

Serce Corteza uderzyło mocniej. Zerwał się na równe nogi.

- Jadę w teren - powiedział do Alice. Pożyczył latarkę od jednego z trzech miejscowych policjantów. Obrzucił ich badawczym spojrzeniem. Wszyscy byli od niego sporo młodszy.

- Potrzebuję wsparcia.

- Jadę z panem - powiedział wysoki blondyn w dzinsach, który pożyczył mu latarkę. Tej nocy nie był na służbie, ale towarzyszył kolegom z patrolu. - Dawes, wezmę od ciebie latarkę - zwrócił się do jednego z nich.

- Proszę - odparł Dawes. - W radiowozie mam zapasową.

- Wkrótce wrócimy. Dawes, podaj mi swój numer. - Cortez wiedział, że wszyscy

miejscowi funkcjonariusze dostali ostatnio służbowe komórki, bo ich radiotelefony były już mocno wysłużone.

Dawes wyjął z kieszeni bloczek mandatowy i zapisał na czystym druku szereg cyfr!

- Będę dzwonić co kwadrans. Gdybym się nie odezwał, przyjedźcie po nas - polecił Cortez z ponurą miną. Skinął na ochotnika, który miał mu towarzyszyć, i ruszył w stronę jaskiń przylegających do placu budowy.

- Proszę uważać. Kręcą się tutaj niedźwiedzie - ostrzegł Dawes.

- Tak? Niech mnie tylko który zaczepi! Dam mu popalić - odparł z roztargnieniem Cortez i zwrócił się do Alice Jones: - Jak tylko laboratorium poda wyniki ekspertyzy ubrania i butów, natychmiast mi je przekaż.

Alice Jones popatrzyła na koszulę i zmarszczyła brwi.

- Te plamy z czymś mi się kojarzą, ale nie mogę sobie przypomnieć... - mruzczała, wkładając dowód rzeczowy do torby.

- Odezwę się wkrótce - rzucił Cortez i wyszedł z policjantem.

U wejścia do jaskini znaleźli ślady opon. Cortez pochylił się i oglądał je w świetle latarki.

Zadowolony z oględzin uśmiechnął się do siebie i ostrzegł policjanta, żeby nie zdeptał śladów. Potem wszedł do jaskini. Po dokonaniu wstępnego rekonesansu zamierzał natychmiast zawołać Jones, by zrobiła gipsowy odlew bieżnika. Była pedantką, zawsze wozila w swojej furgonetce cały potrzebny sprzęt. Przyznał w duchu, że taka współpracowniczka to prawdziwy skarb. Miała w aucie szpadle, kilofy, szczotki, pędzle, łopaty i mnóstwo papierowych toreb na dowody rzeczowe. Rzadko używała plastikowych z obawy przed wilgocią i pleśnią.

Wszedł do jaskini, poświecił latarką i osłupiał. Na ziemi leżał szkielet, mocno sfatygowane narzędzia oraz kamienne fajki i niewielkie posążki.

- Co to ma być? - zdziwił się policjant.

- Skradzione eksponaty. Moim zdaniem złodzieje ukryli tu łupy, ale ta hipoteza wymaga potwierdzenia. Potrzebny mi antropolog.

- W środku nocy trudno będzie ściągnąć tutaj kogoś takiego. - Policjant nie krył sceptycyzmu.

- Tak się składa, że wiem, gdzie znaleźć eksperta, którego potrzebujemy. - Cortez uśmiechnął się szeroko.

Phoebe spała smacznie, gdy ktoś ją obudził, potrząsając lekko za ramię.

Otworzyła oczy i zobaczyła Corteza.

- Która godzina? mruknęła.

- Druga w nocy odparł cicho. Z uśmiechem odgarnął potargane włosy opadające jej na twarz. - Chciałbym, żebyś wstała i ubrała się. Chyba znalazłem eksponaty skradzione z muzeum w Nowym Jorku.

- Nie żartuj! - Phoebe natychmiast oprzytomniała.

- Mówię poważnie. - Przyciągnął ją lekko, pomagając wstać. - No, wskakuj w ciuchy. Czekam przed motelem - dodał szeptem, żeby nie obudzić Josepha i Tiny.

Phoebe była ogromnie podekscytowana faktem, że ma uczestniczyć w śledztwie. Włożyła dzinsy, T - shirt, kurtkę z denimu, skarpetki i sportowe buty. Nie traciła czasu na czesanie i makijaż. Po około pięciu minutach była już w samochodzie.

- Szybko się uwinęłaś - pochwalił z uśmiechem Cortez.

- Moja znajoma maluje się rano pół godziny. O innych zabiegach nawet nie wspomnę - odparła, zapinając pasy. - Nawiasem mówiąc, jest śliczna. Musi podkreślać swoje atuty. Ja pozostanę przy moim wizerunku szarej myszki.

- Mówiłem ci, że jesteś piękna. - Cortez spoważniał. - Czy ty naprawdę tego nie widzisz? Niemożliwe...

Popatrzyła na niego z nieukrywanym zdumieniem. Istotnie nieraz słyszała od niego komplementy, lecz nadal trudno jej było uwierzyć w ich szczerłość.

- W przeciwieństwie do wielu znanych mi kobiet nie masz kompleksu wyższości - mruknął, uruchamiając silnik i wyjeżdżając z parkingu przed motelem. - Jesteś inteligentna, ładna, serdeczna... Długo mógłbym wyliczać twoje zalety - ciągnął, zerkając na nią z rozbawieniem - ale powstrzymam się, bo wtedy zaczniesz zadzierać nosa.

- Dzięki za komplement - szepnęła uradowana.

- Naprawdę tak uważam - odparł, wzruszając ramionami. - Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale przed trzema laty bardzo chciałem się z tobą spotykać.

Phoebe milczała. Popatrzył na jej smutną twarz.

- Kupiłem już bilet na samolot do Charlestonu. Potem Izaak... zmarł. - Światło zmieniło się na czerwone, więc zahamował. Minę miał ponurą. - Dla moich najbliższych ta śmierć była prawdziwą katastrofą. Dziewczyna Izaaka spodziewała się dziecka. Jej rodzice nalegali, żeby usunęła ciążę. Moja matka przeszła zawał serca i leżała w szpitalu. Błagała mnie, żebym ratował dziecko. Jedynym wyjściem był ślub z Mary. Zgodziła się, ale bez entuzjazmu i zażądała rozwodu zaledwie miesiąc po

porodzie.

Phoebe nie miała ochoty zadawać tego pytania, ale musiała poznać prawdę. Udało ci się... ją pokochać?

- Nie odparł ponuro. - Ona też nic do mnie nie czuła. Nosila w sercu żalobę po moim bracie. Gdy Joseph skończył miesiąc, zgodnie z jej prośbą złożyłem pozew o rozwód. Wtedy popełniła samobójstwo. Zostawiła list pożegnalny. Zaledwie trzy słowa: Odchodzę do Izaaka.

Phoebe mocno przygryzła wargę. Potrafiła sobie wyobrazić, co przeżywała biedna Mary. Sama tak się czuła, gdy Cortez z nią zerwał.

Odwrócił się w jej stronę i popatrzył spod zmrużonych powiek.

- Dręczyły cię równie ponure myśli jak Mary, prawda?

- No... tak - wyjąkała zaskoczona.

- Ja też byłem w depresji - wyznał, unikając jej wzroku. - Nie zależało mi na pracy. Odechciało mi się żyć. Zmieniłem zawód, bo jako agent FBI musiałem dużo podróżować. I bardzo dobrze. Nie mogłem patrzeć, jak Mary opłakuje Izaaka. Miałem mniej czasu, żeby rozpaczać z twojego powodu.

- Naprawdę rozpaczałeś? - spytała, czując wzbierającą złość. - Co ty wiesz o rozpaczach? Jak śmiałeś posłać mi to cholerne ogłoszenie informujące o twoim ślubie! - piekliła się. - Nie raczyłeś nawet do mnie napisać! Ani słówka!

Już o tym rozmawiali, lecz wciąż nie potrafiła mu przebaczyć, że okazał się taki okrutny i bezduszny.

W milczeniu zjechał na pusty parking, wyłączył silnik i przyciągnął ją do siebie. Całował z taką pasją, jakby miał nadzieję, że ich usta nigdy się nie rozłączą. Odpiął pasy i nie przerywając namiętnego pocałunku, uniósł ją i posadził na swoich kolanach. Jęknął, jakby odczuwał ból.

Phoebe nie zamierzała się bronić ani opierać. Całe jej ciało pulsowało żądzą. Zarzuciła Cortezowi ramiona na szyję i oddała pocałunek z równą siłą i zachłannością. Trzy ostatnie lata zostały przekreślone. Tak bardzo pragnęła Jeremiasza. Kochała go do szaleństwa. Jęknął znowu, niemal miażdżąc jej usta. Rozchyliła wargi i nagle poczuła, że świat wiruje i niknie w bezmiarze pożądania.

Minęły wieki, nim Cortez podniósł głowę. Oboje oddychali z trudem, jak po szybkim biegu. W półmroku auta rozjaśnionym jedynie blaskiem ulicznych latarni spojrzeli sobie w oczy. Phoebe dygotała, a Jeremiaszowi trzęsły się ręce. Nie protestowała, gdy wsunął dłonie pod džinsową kurtkę i T - shirt. Jej palce wślizgnęły



się pod jego marynarkę i koszulę. Błądziły po ciepłej skórze i włosach na torsie. Uniosła się, szukając jego ust, wpiła się w nie i westchnęła głęboko.

Cortez myślał tylko o jednym. Chciał wziąć Phoebe tu i teraz. Wymacał guzik i suwak jej dzinsów. Nagle poczuł na wargach jej palce. Odsunęła się i zapytała:

- Czekają na nas, prawda?

- Kto? Jak to czekają? - zdziwił się, całkiem oszołomiony.

- Ekipa dochodzeniowa. Pamiętasz? Mamy jechać do jaskini - tłumaczyła.

Wziął głęboki oddech. Powoli, niechętnie zwolnił uścisk. Pomógł Phoebe usiąść w fotelu pasażera.

- Samokontrolę diabli wzięli - mruknął z ponurym uśmiechem. Zapiął pasy i uruchomił silnik. Szyby były całkiem zaparowane. Zaśmiał się cicho. Zrobili sobie powtórkę namiętnego sam na sam. Identycznie zachowali się na opustoszałym parkingu przed muzeum. Włączył nawiew i usiadł wygodnie, czekając, aż strumień ciepłego powietrza zrobi swoje.

Gdy odwrócił głowę i spojrzał na nią, miał dziwnie smutny wzrok.

- Rzuciłem się na ciebie jak brutal. Boli? Przepraszam, to moja wina.

- Nawet gdyby zabolalo, nic bym nie poczuła. Szczerze mówiąc, nie miałam do tego głowy - wyznała, patrząc mu w oczy jak zahipnotyzowana. Nadal dyszała ciężko. Drżącymi rękami zapięła pasy.

Zauważył to, chwycił jej dłoń i ścisnął mocno, wpatrzony w nią jak w obraz.

- Cokolwiek się stanie, nie mogę cię ponownie stracić - oznajmił szorstko.

Zdawała sobie sprawę, że znów ją omotał, ale nic nie mogła na to poradzić. Był treścią jej życia. Oddała uścisk, a oczy zaszyły jej łzami.

- Nie płacz, kochanie - szepnął, pochylając się i całując ją czule. - Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Całował jej nos i policzki. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Ta kobieta znaczyła dla niego więcej niż cokolwiek na świecie.

- Phoebe - mruknął i znów pocałował ją czule w usta, zupełnie jakby o coś pytał. Delikatnie głaskał ją po policzku.

Mimo woli zarejestrował dźwięk przypominający warkot lub pomruk. Tak był zajęty całowaniem Phoebe, że nie zauważył, kiedy obok nich zaparkował inny samochód. Nim się od niej odsunął, usłyszał pukanie w okno. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Zastępca szeryfa Drake Stewart pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy zobaczyłem zaparowane szyby, od razu wiedziałem, że to wy - oznajmił.

Zarumieniona Phoebe nie mogła wykrztusić słowa. Cortez puścił ją i usiadł prosto, ale jego oddech nadal był przyspieszony.

- Masz chyba to i owo do zrobienia. Robota czeka, kolego - skarcił Drake'a.

- Z ust mi to wyjąłeś. Właśnie miałem zauważyć, że powinieneś chyba wziąć się do pracy - odgryzł się Drake. - Dzwoniła do nas szefowa twojej ekipy dochodzeniowej. Martwi się, bo obiecałeś szybko wrócić.

Phoebe obciągnęła dżinsową kurtkę i odchrząknęła nerwowo.

- Zemdlalam, a Jeremiasz mnie cucił - oznajmiła z poważną miną, w desperacji chwytając się wymówki, którą Cortez podsunął jej, gdy poprzednio zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Usłyszała jego głośny śmiech.

- Phoebe, na siedząco nie da się zemdleć - tłumaczył.

- A co to ma do rzeczy? - wykrzyknęła zirytowana. - Mogłam osunąć się na fotel i leżeć bezwładnie. Omdlenie to utrata przytomności, a nie upadek na ziemię. Wszystko zepsułeś - dodała jadowitym tonem i krzyknęła, wskazując Drake'a: - On uwierzył!

- A gdzie tam! - wtrącił ten ostatni, mocno ubawiony ich sprzeczką. - Słuchajcie, kochani, jedźmy już, dobrze? Zaczyna padać śnieg - dodał, wyciągając do nich rękę i demonstrując kilka topniejących śnieżynek. W górach Karoliny Północnej nikt się nie dziwił, gdy pod koniec listopada ziemię przykrywał biały puch.

- Już ruszamy - odparł Cortez i zawahał się na moment. - Zapewne wiesz, że do szpitala trafił pobity mężczyzna. To Walks Far, brygadzysta z Bennett Construction - wyjaśnił. - Jeśli potwierdzą się nasze podejrzenia co do ukrytych w jaskini przedmiotów, które zamierzamy poddać ekspertyzie, życie Phoebe znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie. Jest gorzej niż przedtem. Mógłbyś wzmocnić patrole przed naszym motelem i przed muzeum?

- Już to zrobiłem - odparł Drake, poważniejąc. - Przez radio odebrałem raport o napadzie. Uważajcie na siebie - poradził.

- Ty również - powiedział Cortez. Wyjechał z parkingu i z rozbawieniem popatrzył na Phoebe.

- Nie ma się czego wstydzić - zapewnił. - Drake to normalny facet. On nas rozumie.

Odchrząknęła znowu i powiedziała cicho:

- Naturalnie.

- Nie masz chyba innych powodów, żeby odczuwać zakłopotanie - ciągnął, marszcząc czoło. - Coś cię z nim łączyło, zanim tu przyjechałem?

- Tak - mruknęła z przekąsem. - Sałatki. Trzy razy w tygodniu jedliśmy razem obiad. Przyjeżdżał do muzeum i przywoził jedzenie.

Cortez spojrzał jej w oczy.

- Nic więcej?

Mogła skłamać. Pokusa była silna, ale prostolinijna Phoebe nie umiała zwodzić i oszukiwać. Z kwaśną miną złożyła dłonie na kolanach i spojrzała w okno.

- Chyba mu się podobałam. - Ze złością popatrzyła na Corteza. - Ale ja nie miałam ochoty wdawać się w kolejne męsko - damskie afery.

Cortez czuł się podle, a zarazem w głębi ducha ucieszyły go słowa Phoebe. Skręcił w boczną drogę wiodącą na budowę Bennetta.

- Drake to przyzwoity gość.

- Tina jest tego samego zdania - poinformowała go z uśmiechem Phoebe.

- W Ashville spotykała się z pewnym policjantem - mruknął Cortez. - Ten facet nigdy mi nie daruje, że zaciągnąłem ją tu jako opiekunkę.

- Jest dorosła, sama zdecyduje, na kim jej bardziej zależy.

- Wiem - przyznał z uśmiechem. - To wspaniała dziewczyna.

- Wiem od niej, że twój ojciec skończył studia.

- Jesteś zaskoczona? - spytał, nie kryjąc rozbawienia. - A co? Spodziewałaś się, że mieszka w tipi i na co dzień chodzi w pióropuszu?

Wybuchnęła śmiechem, ubawiona własną skłonnością do ulegania stereotypowym wyobrażeniom.

- Nawet gdyby tak było, za nic w świecie się do tego nie przyznam, bo spaliłabym się ze wstydu.

- Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, ilu znanych mi ludzi tak właśnie uważa - odparł Cortez. - Powieści i filmy bardzo przyczyniły się do utrwalenia fałszywego obrazu.

- Wszyscy do pewnego stopnia ulegamy takim stereotypom - powiedziała - ale ja powinnam być na nie odporna, na przykład z racji wykształcenia.

- Nieźle sobie radzisz - zapewnił, wyciągając rękę i ujmując dłoń Phoebe. Ścisnęła ją mocno.

- Zapamiętaj swoje słowa. Jeśli będzie trzeba, przypomnę ci o nich.

Gdy dotarli wreszcie przed jaskinię, współpracownicy Jeremiasza z ekipy dochodzeniowej znacząco stukali palcami w cyferblaty zegarków. Ruszyli ścieżką między połączonymi taśmą drewnianymi słupkami. Ograniczały one teren, gdzie szukano śladów i dowodów rzeczowych. Alice zaprowadziła Corteza i Phoebe do pieczary.

- O Boże! - zawołała Phoebe na widok szkieletu. Nie zwracając uwagi na krzątających się wokół ludzi, podeszła bliżej i zatrzymała się o krok od kości. Uklękła, wpatrując się w czaszkę. - Mogę ją podnieść? - spytała.

Alice gestem dała jej swoje przyzwolenie.

- Proszę bardzo - odparła. - Zdjęliśmy już odciski palców i zbadaliśmy ślady. Mieliśmy na to mnóstwo czasu - dodała znacząco, przyglądając się spuchniętym ustom i potarganym włosom Phoebe. Zauważyła, że Cortez ma minę winowajcy. - Zrobiliśmy również gipsowy odlew bieżnika. Wszystko, co znaleźliśmy, jest już w torbach. - Wyciągnęła ramię, a płatek śniegu opadł na rękawiczkę. - Niewiele brakowało, żebyśmy zmienili się w śniegowe bałwanki. Gdybyśmy jeszcze trochę na was poczekali, pewnie zainteresowałyby się nami głodne niedźwiedzie.

Skruszony Cortez tłumaczył się gęsto, ale zaaferowana znaleziskiem Phoebe nawet nie słuchała.

- Mężczyzna - wymamrotała, przyglądając się grubym wałom nadoczodołowym. Obróciła czaszkę, spoglądając na oczodoły i wydatne kości policzkowe. Przyjrzała się uzębieniu górnej szczęki; dolnej brakowało. Przeanalizowała kształt zębów. Potem raz jeszcze obejrzała mocno wysunięty do przodu łuk brwiowy, a także kości twarzy i głębokie półkola oczodołów. Niskie, pochyle czoło oraz pozostałe cechy spokojnie wystarczyły do określenia wieku znaleziska, jeszcze nim zabrała się do drobiazgowej analizy pozostałych kości. Metodycznie układała przed sobą obojczyk, miednicę, kości ramieniowe i udowe oraz krótkie, mocne piszczele.

- To szkielet neandertalczyka - powiedziała w końcu, spoglądając na Corteza. Raz jeszcze przyjrzała się czaszce. - Wiem, co mówię. Mam przecież doktorat z antropologii.

- Neandertalczyk mruknęła Alice, marszcząc brwi. - To by oznaczało, że...

- Jestem tego świadoma - wpadła jej w słowo Phoebe. - Wiek tych kości można określić szacunkowo: od czterdziestu do dwustu tysięcy lat. Człowiek neandertalski występował na ziemi dość długo. Datowanie zależy od miejsca, skąd pochodzą

znaleziska. Dysponujemy głównie kośćmi z Europy, Afryki i Środkowej Azji. W Ameryce nie natrafiono nigdy na szkielet neandertalczyka. Jestem pewna, że ten również nie pochodzi z naszego kontynentu - oznajmiła stanowczo. - Mimo to trzeba przeprowadzić badania.

- Wystarczą oględziny samych kości, żeby dojść do takiego wniosku? - spytał zafascynowany Cortez.

- Pewnie - odparła Alice, uprzedzając Phoebe. Uśmiechnęła się szeroko, widząc jej zaskoczenie. - Nim zaczęłam się specjalizować w medycynie sądowej, chodziłam na wykłady z antropologii. Jeździłam na wykopaliska. Pamiętam cię. Miałyśmy razem zajęcia z medycyny sądowej. Ty jesteś Phoebe Keller, prawda?

Phoebe roześmiała się, bo w tym momencie rozpoznała dawną koleżankę ze studiów.

- Tak! Racja! Miło cię znów widzieć, Alice!

- Co sądzicie o tych przedmiotach? - zapytał Cortez.

Phoebe skrzywiła się i niechętnie odłożyła czaszkę, która była dla niej niewyczerpanym źródłem informacji. Na podstawie samych kości mogła określić wiek, płeć, stan zdrowia żyjącego przed wiekami człowieka, a nawet z duża. doz;} prawdopodobieństwa podać przyczynę jego śmierci. Analiza uzębienia pozwalała ustalić rasę. sposób odżywiania i wiek. Phoebe niechętnie przerwała owe dociekania, ale uznała, że Cortez ma rację. Nie byli w laboratorium naukowym, tylko w miejscu popełnienia przestępstwa.

Podniosła naczynie ceramiczne, sprawdzając rodzaj tworzywa i typ ornamentu.

- Wschodni Obszar Leśny. Wiek... jakieś dwa tysiące lat - mówiła do siebie. - Odłożyła gliniane naczynie i sięgnęła po spiczaste groty.

- Mocowano je do oszczepów - mruknęła.

- Być może są dziełem paleoindian i powstały jakieś czternaście tysięcy lat temu, ale kojarzą mi się również z kulturą mustierską. - Uśmiechnęła się, widząc niepewne miny słuchaczy.

- Epoka kamienna. Środkowy paleolit. Głównie Europa Zachodnia. - W skupieniu przyglądała się pozostałym znaleziskom. Były wśród nich fajki wykonane z czerwonej gliny kaolinowej. Z pewnością bardzo stare, lecz bez tabel chronologicznych nie potrafiła dokładnie określić ich wieku. Dwie figurki grobowe miały ogromną wartość. Ostrożnie wzięła do ręki jedną z nich i obróciła, żeby dowiedzieć się więcej o materiale i technice wykonania.

Niesamowite szepnęła. Druga figurka pochodziła z tego samego okresu. Zamyślona Phoebe z najwyższą ostrożnością położyła je na ziemi.

- Co jest? - spytał Cortez.

- Te przedmioty są dziwnie niejednorodne - powiedziała. - Mamy tutaj szkielet neandertalczyka, ceramikę z ornamentem typowym dla plemion leśnych, która liczy sobie od jednego do dwu tysięcy lat. Groty oszczepów są znacznie starsze. Co najmniej dwanaście tysięcy lat przed naszą erą, lecz może się okazać, że to zabytki z paleolitu. O tym przesądzi badanie izotopem węgla C14. Z kolei figurki i fajki powstały w pierwszym i drugim wieku naszej ery. Mamy tu do czynienia z zabytkami kultury dominującej wówczas na południowych obszarach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Niemal identyczne statuetki grobowe widziałam podczas zwiedzania jednego z nowojorskich muzeów. Muszę przyznać, że ta, którą niedawno kupiliśmy, bardzo je przypomina. - Zwróciła się do ekipy dochodzeniowej. - To niemożliwe, żeby wszystkie zgromadzone tu przedmioty pochodziły z jednego stanowiska archeologicznego. Możemy śmiało wykluczyć taką hipotezę.

- To prawda - wtrąciła Alice Jones.

- Wspomniałaś o statuetce kupionej przez wasze muzeum. Co konkretnie miałaś na myśli?

- zapytał Cortez.

- Wygląda na to, że pasuje do tamtych dwu - odparła zafrasowana Phoebe. Moim zdaniem te obiekty zostały skradzione z nowojorskiego muzeum. To wyjaśnia, dlaczego tyle cennych przedmiotów znalazło się w jednym miejscu, choć pochodzą z różnych epok. Trafiliśmy na stos łupów.

- Mamy jeszcze jedną zagadkę - odezwała się Alice. - Nie wiem, czy pamiętacie, ale na koszuli pobitego były dziwne plamy. Pobrałam próbki. Nie mam pewności, dopóki nie dostanę ekspertyzy z laboratorium, ale na moje oko to jest tkanka mózgowa. Z pewnością nie pochodzi od pobitego mężczyzny.

Cortez gwizdnął. To by oznaczało, że trzeba szukać trzeciej ofiary; zapewne trupa.

- Nic tu do siebie nie pasuje - mruknął.

- Nie musisz mi tego mówić - zgodziła się Alice.

- Jak najszybciej przekaz cały materiał do zbadania - polecił Cortez. - Potrzebuję więcej informacji.

- Już się robi, szefie - odparła z uśmiechem Alice.

- Siądę do komputera i sprawdzę w bazach danych, co mamy na temat kradzieży w muzeach archeologicznych i etnograficznych. Sprawdzę też dane rzekomego właściciela galerii, o którym wspominała mi Phoebe. Może coś na niego znajdziemy - powiedział Cortez. - Ktoś musi tu zostać i pilnować jaskini - dodał.

- Super! Kto nam ostatnio podpadł? Szukamy jelenia - kpił dobrodusznie jeden z policjantów, spoglądając na blondyna, który przyjechał z Cortezem.

- Możecie ciągnąć zapalki - odparł Cortez.

- Mnie to nie interesuje. Ważne jest, żeby nikt się tu nie kręcił. Co więcej, chciałbym, żeby wartownicy znaleźli sobie kryjówkę. Gdyby pojawił się intruz, macie go skuć i trzymać w jaskini. Zrozumiano?

- Tak jest! - odparł reżolucyjnie jasnowłosy policjant.

- Odwiozę cię, Phoebe - powiedział, biorąc ją za ramię. - Do zobaczenia, chłopaki.

Nad górami już świtało, ale Phoebe nie była senna.

- Czy po drodze do motelu moglibyśmy wstąpić do mnie? - zapytała. - Muszę się przebrać. Chętnie wzięłabym prysznic.

- Możesz się umyć w motelu - odparł.

- Tak, ale zapomniałam wziąć mój ulubiony żel pod prysznic, szampon i talk - wyjaśniła.

- W porządku. I tak jest za późno na powrót do łóżka.

- Wykąpię się błyskawicznie - obiecała.

- O wpół do dziewiątej muszę być w pracy. Gdy przyjechali do jej domu, Cortez poszedł do kuchni, żeby zaparzyć kawę. a Phoebe pomknęła do łazienki, rozebrała się szybko, owinęła ręcznikiem i wyregulowała strumień wody. Właśnie miała zdjąć ręcznik, gdy drzwi się nagle otworzyły.

Wstrzymała oddech i spojrzała w ciemne oczy Corteza, który nie był w stanie odwrócić wzroku. - Chciałem zapytać, czy zjesz grzankę do kawy - mruknął.

Zbity z tropu wpatrywał się w nią, podziwiając niemal nagą postać: zgrabne nogi, biust ledwie okryty niewielkim ręcznikiem, potarganą falującą czuprynę. Phoebe wyglądała ślicznie.

Mięśnie miał napięte. Najchętniej zerwałby z niej skąpy ręcznik i rzucił go na podłogę. Zacisnął zęby, próbując zwalczyć pokusę.

Spojrzała na niego czule szeroko otwartymi oczami. Był taki przystojny, istne uosobienie dziewczęcych marzeń. Przez ostatnie trzy lata myślała o nim prawie bez

przerwy.

Marzyła, że kochają się w ciemnościach, że nosi pod sercem jego dziecko. Te pragnienia nasiliły się, odkąd zamieszkała w motelu z Cortezem i małym Josephem. Pragnęła ukochanego, ale on miał synka i pracę. Będą razem tylko kilka chwil, dopóki nie zakończy się śledztwo. Potem Cortez wyjedzie. Gdyby z nim była, gdyby mieli własne...

Spojrzała na niego oczami pełnymi smutku. - O czym myślałaś? - zapytał nagle.  
- O... dzieciach wyjąkała.

Twarz mu się skurczyła. Spojrzał na jej talię i rozpromienił się. Gdyby przed trzema laty nie był taki zasadniczy i kochał się z nią, choć była niewinna, miałby przynajmniej piękne wspomnienia, z których czerpałby siłę. Odszedł, odrzucił ją i zranił tak boleśnie, że poszukała ulgi w łóżku innego mężczyzny. Oddała mu się po pijanemu. Cortez wiele by dał, by to wszystko nigdy nie miało miejsca...

Z drugiej strony jednak skoro zaczęła współżycie, nie miał powodu, żeby się powstrzymywać. Pragnął jej jak szalony, odkąd pozwoliła mu zdjąć sobie koszulkę.

Z nieustępliwą determinacją ściągnął kurtkę i rzucił na stos ubrań leżący przy drzwiach. Wkrótce na podłogę spadła koszula. Phoebe patrzyła na niego z otwartymi ustami i bijącym sercem.

Rozpuścił włosy, rozpiął spodnie i został tylko w czarnych satynowych bokserkach. Pobiegł do drzwi wejściowych, zamknął je na klucz, pospiesznie wrócił do łazienki i stanął twarzą w twarz z Phoebe, zdecydowany doprowadzić rzecz do szczęśliwego końca.

Chciała zaoponować, ale zabrakło jej czasu. Zerwał ręcznik i przyciągnął ją do siebie, całując tak namiętnie, że od razu zapomniała o wszystkich wątpliwościach.

- Trzy lata temu jak ostatni głupiec pożegnałem się z tobą przed hotelem - jęknął z ustami przy jej wargach. rym razem nigdzie nie pójde, Phoebe, i tobie też nie pozwolę odejść. Znów ją pocałował i zsunął z bioder czarne bokserki, pozwalając im opaść na podłogę. Zrobił krok w jej stronę. Zachwycona i trochę wystraszona poczuła ciepło jego skóry, siłę pięknego ciała, intensywność męskiego pożądania.

Powinnam mu powiedzieć, myślała nieskładnie. Może nie zniosę tego bólu. Chyba sam się zorientuje... A jeśli faceci nie potrafią?

Jęknął znowu i niespodziewanie pociągnął ją pod prysznic. Czowała strumienie wody spływające po plecach i dotknięcie męskich rąk przesuwających się po jej ciele. Poznawał je, gładząc czule, bez pośpiechu. Łagodna pieśczoła zdumiewała ją i



zarazem podniecała.

Namydlił ich oboje i przyciągnął do siebie dłonie Phoebe, zachęcając do poznawania jego ciała. Umył jasną czuprynkę, stojąc tak blisko, że przy każdym ruchu wrażliwe sutki ocierały się o jego tors, co jeszcze bardziej ją podniecało. Gdy splukiwała szampon, umył sobie włosy i wsunął głowę pod strumień wody. Po chwili zakręcił kurek, pomógł Phoebe wyjść spod prysznica i pospieszył za nią. Podniósł rzucony na podłogę ręcznik i wytarł ukochaną. Sięgnął do szafki po kolejny ręcznik i osuszył się, a trzecim zrobił porządek z jej włosami.

Włączył suszarkę. Ciepły powiew usunął resztkę wilgoci najpierw z jasnych, potem z ciemnych włosów.

Gdy się z tym uporał, odsunął Phoebe na długość ramienia i śmiało podziwiał jej urodę. Naga wydała mu się jeszcze piękniejsza. Wstrzymała oddech, zafascynowana, zdumiona i zachwycona intensywnością jego spojrzenia.

Chwycił ją za rękę, wyprowadził z łazienki i pociągnął do sypialni, gdzie stało podwójne łóżko przykryte pikowaną narzutą. Odrzucił ją, odsłaniając pościel w kwiatowe wzory. Zachęcił Phoebe, żeby się na niej położyła, uradowany jej posłuszeństwem. Drżała na całym ciele, czekając, aż on wyciągnie się obok niej na łóżku.

Pochylił się, odgarnął miękkie jasne włosy opadające na twarz i pocałował ją, ledwie muskając nabrzmiałe usta. Przygryzł delikatnie najpierw górną, potem dolną wargę, a potem wsunął między nie koniuszek języka. Ciszę mąciły jedynie ich urywane oddechy.

Bez pośpiechu położył szczupłą nogę między jej udami, zachęcając, żeby je rozsunęła. Popatrzył jej w oczy i przesunął ręką po wrażliwej skórze, opuszkami palców kreśląc zawile wzory na wewnętrznej stronie ud. Phoebe wstrzymała oddech i znowu zadrżała.

- Pozwól mi - szepnął prosząco, gdy próbowała chwycić jego nadgarstek.

Była zdenerwowana, ale starała się to ukryć. Mimo woli spojrzała w dół, na jego biodra.

Spostrzegł jej zaciekawienie, i uniósł sio, żeby mogła dokładnie mu sio przyjrzeć. Oddychał głośno, podniecony wyrazem ciekawości, który malował się na jej twarzy.

Przesunął dłoń nieco wyżej, dotykając wilgotnego trójkąta włosów. Phoebe drgnęła spazmatycznie i ze ściśniętego gardła wyrwał się stłumiony krzyk.

Reaguje jak nowicjuszką, przemknęło mu przez myśl. Pewnie od dawna nikogo nie miała.

Dotykał jej coraz odważniej. Pod wpływem zmysłowej pieszczoty uniosła biodra i odruchowo przyłgnęła do jego dłoni. Łaknęła rozkoszy, którą dzięki niemu poznawała. Drżąc na całym ciele, mocno zacisnęła powieki.

- Nie miałam pojęcia, że może tak być - wyszeptała z trudem.

Cortez ledwie słyszał i rozumiał jej słowa, oszołomiony falą przyjemności. Phoebe była rozpalona, tuliła się, prosiła o więcej.

Drżała, gdy zwinne palce wślizgnęły się głębiej. Rozsunęła uda, ale dłoń niespodziewanie znieruchomiła. Cortez osłupiał.

Po chwili zorientowała się, że zaniechał zmysłowej pieszczoty. Próbowła wydobyć głos, ale daremnie.

- Nie przerywaj - szepnęła, otwarcie przyznając, czego pragnie.

Przysunął się bliżej i ścisnął ją mocno, aż westchnęła raptownie i przygryzła wargę.

- Cóż, Phoebe - burknął. - Wygląda na to, że wcale nie jesteś taka wyzwolona, jak próbowałaś mi wmówić - rzucił oskarżycielskim tonem.

Odetchnął głęboko i odsunął się od niej. Usiadł na łóżku z głową ukrytą w dłoniach. Wszystko go bolało.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Phoebe westchnęła żałośnie, spoglądając na Corteza. Był wytrącony z równowagi, spięty, wręcz zbolący. Stał sztywno i nieruchomo niczym posąg.

Przeciągnęła się odruchowo, spragniona śmielszych pieszczot i mocniejszych doznań. To on wzbudził w niej takie pragnienia.

- Mam dwadzieścia sześć lat - szepnęła.

- Ale byłbym dla ciebie pierwszy. Nie mogę, Phoebe. - Odetchnął głęboko.

Usiadła, drżąc z pożądania i popatrzyła na swoje ciało.

- Możesz - szepnęła. - Możesz. - Przyłgnęła do jego pleców i objęła go ramionami, głaszcząc szeroki tors. - Z kim miałabym to zrobić? Tylko z tobą! Nikt inny nie wchodzi w grę. Błagam! - szeptała zdesperowana.

Wtulił się w nią, czując na plecach ciepło jędrnych piersi.

- Phoebe, nie mam przy sobie nic, żeby się zabezpieczyć - wymamrotał.

Phoebe znieruchomiała. Prawda. Ona również nie trzymała w domu takich akcesoriów, lecz jej męczarnia stawała się nie do zniesienia. Po raz pierwszy w życiu odczuwała takie pożądanie.

Odwrócił się i przytulił ją do siebie. Jasna głowa spoczęła na zgięciu ramienia. Jego dłoń ostrożnie sunęła po brzuchu, muskając ostrożnie siniak, ślad po pocisku, który omal nie pozbawił jej życia. Palce sunęły w górę, żeby objąć piersi i twarde sutki. Cortez jęknął.

Phoebe odrzuciła głowę, przymknęła powieki i mimo woli zachęcająco poruszyła biodrami.

- Tak mi źle, że chyba umrę - skarżyła się.

- A ja razem z tobą - odparł zdławionym głosem, obrysowując palcem aureolę sutka. Obserwował żyłkę pulsującą na jej szyi.

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę? - spytał rzeczowo.

- Dwa tygodnie temu - odparła płacząco.

- Nie mogło być gorzej - mruknął.

Skrzyżowały się spojrzenia ciemnych i niebieskich oczu. Phoebe znów pomyślała o dziecku. Twarz jej złagodniała, a ciało odprężyło się na myśl o własnym maleństwie.

Cortez spochmurniał, gdy ujrzał wyraz błogości na jej twarzy.

- Dotąd nie myślałem nigdy o własnym potomstwie - wyznał szczerze.

- Ja również - przyznała, nerwowo przelękając ślinę.

Łagodnym ruchem objął jej pierś, poruszając dłonią tak, żeby poczuć twardy sutek dotykający wilgotnego wnętrza dłoni.

Phoebe próbowała oddychać normalnie. Daremnie. Odruchowo pogłaskała muskularny tors. Odchyliła głowę, zachęcając Corteza do pocałunku.

Odsunął poduszkę i ostrożnie ułożył Phoebe na pościeli. Powoli ukląkł między jej udami i zachęcił, żeby rozsunęła je szeroko. Popatrzył w niebieskie oczy. Oddychał głośno, a ona drżała z niecierpliwości, gdy dotykał jej czule, bez pośpiechu.

- Trochę zaboli, kiedy w ciebie wejdem - uprzedził.

- Nieważne - szepnęła zniecierpliwiona.

- Dla mnie tak. - Pochylił się nad nią, oparty na jednym łokciu. Drugą ręką dotykał sekretnych miejsc, doprowadzając ją pieścizotami na skraj szaleństwa. - Wezmę cię, kiedy będziesz szczytować.

Ta śmiała zapowiedź przyprawiła ją o rumieniec, choć pożądanie zmąciło jej myśli. Otwartymi ustami z trudem chwyciła powietrze.

- Mimo wszystko będzie to dla nas spore wyzwanie - szepnął z ustami przy jej piersiach. - Jestem wyjątkowo podniecony, a ty nie masz w tych sprawach żadnego doświadczenia.

Zastanawiała się, czy to wytrzyma. Kręciło jej się w głowie. Zmysłowe pieścizoty Corteza były dla niej cudowną torturą. Żeby go zachęcić, rozsunęła nogi jeszcze szerzej. Ogrom rozkoszy niemal ją przerażał.

Wydawane przez nią stłumione krzyki doprowadzały go do oblędu. Całował zachłannie małe piersi i dotykał językiem sutków, wsuwając palce coraz głębiej.

Phoebe drżała rytmicznie, unosząc biodra i zachęcając go, żeby dał jej jeszcze większą rozkosz. Bezradna wobec nadmiaru doznań kręciła głową spoczywającą na poduszce. Uniosła ramiona i ścisnęła mocno rogi poszewki. Jęczała chrapliwie, gryząc wargi i wspinając się coraz wyżej w drodze na szczyt.

- Otwórz oczy i spójrz na mnie - powiedział nagłym tonem.

Ledwie go widziała. Miała wrażenie, że uniosła się w powietrze i z każdym dreszczem rozkoszy szybuje coraz wyżej. Pragnęła doznań, które były teraz w zasięgu ręki. Skupiła się na osiągnięciu upragnionego celu. Każde dotknięcie kwitowała westchnieniem. Kiedy spojrzała na ukochanego, z jej oczu wycierały szczęście i lęk.

- Powiedz mi... kiedy - szepnął rwącym się głosem, wpatrzony w nią zachwyconym wzrokiem. Pragnął jej całym sobą. Musiał ją mieć.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi. Spełnienie było już blisko. Wkrótce miała osiągnąć cel. Teraz..

- Och! - krzyknęła chrapliwie i wzdrygnęła się, gdy spadła na nią fala rozkoszy tak gwałtownej, że aż trudnej do zniesienia.

- Tak - jęknął. Natychmiast przylgnął do niej całym ciałem i wziął ją śmiało, odrzucając wszelkie skrupuły.

Nieprzyjemne wrażenie obcości trwało dla Phoebe tylko przez moment, bo towarzyszyła mu rozkosz, a żar przeniknął całe ciało.

Cortez zacisnął palce na szczupłych nadgarstkach i całym swoim ciężarem przycisnął ją do posłania. Jego biodra poruszały się rytmicznie. Ogarnięty żądzą wchodził w nią coraz głębiej.

Patrzyła na niego i widziała, jak smagła twarz tężeje, a ciemne oczy lśnią niczym gwiazdy. Jęczał, dygocząc i narzucając coraz szybszy rytm. Chciał czegoś więcej i śmiało dążył do zaspokojenia swych pragnień.

Pochylił głowę i pocałował ją zachłannie. Ich oddechy mieszały się w nieustępliwym dążeniu do najwyższego spełnienia. Oboje drżeli z niecierpliwości.

Znów patrzyli sobie w oczy. Nagle Cortez opadł bezwładnie i na moment znieruchomiał. Po chwili smukłe ciało zaczęło drżeć spazmatycznie.

- Phoebe, będziemy mieli dziecko - szepnął z trudem. Nadal patrzył jej w oczy, choć miał wrażenie, że ogarnia go oślepiająca jasność całkowitego zapomnienia.

Tych kilka słów jeszcze bardziej ich rozpaliło. Phoebe wpatrzona w Corteza widziała, jak wyprężył się, osiągnąwszy szczyt. Rysy mu się wyostriły. Zacisnął powieki, westchnął.

Ogrom doznań przekraczał wszelkie wyobrażenie. Czują, jak namiętność eksploduje w nich obojgu. Patrzyła, szeroko otwierając oczy. Nagle ogarnęło ją uczucie bezmiernej ulgi. Cortez ostatni raz poruszył się w niej, jakby chciał uczynić ich jedność jeszcze doskonalszą.

Wtulił się w nią, drżący i mokry od potu. Oboje leżeli bez sił. Phoebe obejmowała Corteza osłabłymi ramionami. Łzy spływały jej po policzkach. Ocierała się o niego, jakby chciała przedłużyć wrażenie całkowitego zaspokojenia i zespolenia.

Cortez leżał nieruchomo. Czuł, że Phoebe porusza się pod nim. Był wstrząśnięty. Żadne jego wcześniejsze erotyczne doświadczenie nie wytrzymało porównania z tym przeżyciem. Przeciągnął się lekko i jęknął, bo znów ogarnęło go pożądanie.

Gdy smukłe nogi Phoebe otarły się o jego łydki, poczuł, jak wracają mu siły.

Uniósł głowę i spojrzał w szeroko otwarte niebieskie oczy. Poruszył się, wpatrzony w rozmarzoną twarz Phoebe. Nagle spostrzegł, że nadal z całej siły ściska jej nadgarstki. Puścił je, oparł się; na przedramionach ułożonych przy jej głowie. Uniósł się lekko i spojrzał na ich złączone ciała. Złowił spojrzenie ukochanej i ponownie uniósł się nieco.

- Popatrz - zachęcił.

Usłuchała i... wstrzymała oddech. W najśmielszych marzeniach nie przeczuwała, że kiedyś będzie przeżywać takie uniesienia. Wbrew jej obawom prawie nie bolało.

- Chciałbym usłyszeć całą prawdę o tamtej szalonej nocy, kiedy to po otrzymaniu wycinka z moim ogłoszeniem rzekomo szukałaś zapomnienia w ramionach obcego mężczyzny - powiedział szorstko.

- Nie mogłam - wymamrotała bezradnie. - On... nie był tobą. Nie potrafiłam...

- Ja również - wyznał.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Twarz nadal miała rozświetloną łagodnym blaskiem zaspokojenia.

- Przecież byłeś żonaty - odparła, przeciągając słowa.

- Mary kochała mojego brata. Nikt inny jej nie interesował. Podzielałem te odczucia. Pragnąłem tylko ciebie, Phoebe. Nadal tak jest.

- Minęły trzy lata! - zawołała, nie wierząc własnym uszom.

- Wiem. Potrafię liczyć. - Znowu spojrzał na ich wilgotne ciała. - Miałem cię, a jednak nadal Jestem podniecony. Czujesz?

Phoebe natychmiast poczerwieniała.

- Cóż za szczerłość! Jesteś niepoprawny!

- I gotowy - mruknął, poruszając biodrami. Pożądanie narastało błyskawicznie. Wstrzymał oddech, zdumiony, że tak szybko odzyskuje siły.

Phoebe rozchyliła usta. Była trochę wystraszona tym, co się działo. Wątpiła, czy starczy jej sił, żeby przeżyć to jeszcze raz.

- Tym razem nie poczujesz bólu - szepnął czule. Lekko wzniesiony zachęcająco otarł się o nią. Obserwował, jak zmienia się wyraz jej twarzy, od nieufności do niecierpliwego oczekiwania.

Wpatrywała się w niego, gdy poruszał się coraz szybciej. Chłoneła narastającą rozkosz, wciąż czekając na więcej.

- Nie zabezpieczyliśmy się - przypomniała słabnącym głosem.

- Kochasz dzieci - odparł spokojnie. - Ja również. - Jednym mocnym pchnięciem wszedł w nią tak głęboko, że zadrżała przeniknięta nagłym spazmem rozkoszy. - Chcę mieć z tobą dziecko. Kiedy o tym wspomniałem, nie chodziło mi o to, żeby jeszcze bardziej cię podniecić, chociaż sama myśl o możliwych konsekwencjach dzisiejszego poranka całkiem cię oszołomiła, prawda, skarbie? - szepnął i przygryzł lekko jej dolną wargę. - Ja również w tym momencie zupełnie straciłem głowę. - Dyszał ciężko w rytm szybkich, niecierpliwych poruszeń ich złączonych ciał. - To dla mnie wyjątkowe przeżycie. Z tobą kocham się jak nigdy dotąd - szeptał urywanym głosem. - Tego nie da się z niczym porównać!

- Dla mnie... też - przyznała, tuląc się do niego z całej siły. - Och! To niesamowite! - krzyknęła, wstrząsana kolejnymi dreszczami.

- Oboje reagujemy z niezwykłą intensywnością - mruczał wśród pocałunków.

Nie odpowiedziała, bo nie była w stanie wykrztusić słowa, zupełnie obezwładniona bezmiarem doznań. Ta rozkosz graniczyła z udręką. Cortez poruszał się teraz wolniej, ale mocniej i pewniej. Twarz Phoebe płonęła rumieńcem, oczy się zamgliły.

Nagle otworzyła szeroko usta, desperacko chwytając powietrze. Była pewna, że to szczyt rozkoszy, ale czekała ją jeszcze długa droga. Przestraszyła się, że Cortez zaraz znieruchomieje. Złapała go za nadgarstki, uniosła się ku niemu w niemej prośbie i zachęcie.

- Nie cofnę się, skarbie - zapewnił szeptem. - Jeszcze chwila, prawda, kochanie? Przytul się. Dobrze. Unieś biodra. Jeszcze raz. Tak! - Wsunął dłoń pod pośladki Phoebe i popchnął do przodu jej biodra, żeby mocniej przyłgnęły do jego lędźwi. Oddech miała urywany. Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, rozpaczliwie dążąc ku spełnieniu.

- Jeremiasz! - krzyknęła zduszonym głosem, drżącym z obawy i zachwytu.

- Tak, kochanie - szeptał nagłaco, napierając na nią z całej siły.

Patrząc mu prosto w oczy, znieruchomiała, wstrzymała oddech i zacisnęła zęby. Na policzkach miała ciemne rumieńce.

- Cudownie... - szepnął słabnącym głosem, zafascynowany wyrazem radości malującym się na jej twarzy. Po chwili wzrok mu się zmącił. Oboje zatracili się całkowicie. Cortez jęknął chrapliwie, zeszywniał i zaczął dygotać.

Rozkosz była przeszywająca jak ból. Miał wrażenie, że kiedy mocno trzyma

Phoebe w objęciach, są nie tylko jednym ciałem, lecz także jedną duszą ożywioną tym samym doznaniem. Zamknął oczy i leżał nieruchomo, ciężko oddychając.

Czule obejmował Phoebe. Słyszał jej nieregularny oddech, czuł szybki trzepot serca. Odsunął się i przetoczył na bok, pociągając ją za sobą. Położył nogę na jej szczupłym udzie. Przez dłuższy czas oboje bezskutecznie próbowali zaczerpnąć powietrza pełną piersią.

- Trudno uwierzyć, że mi na to pozwoliłaś - wyszeptał.

- W głowie się nie mieści, że dane mi było to przeżyć - odparła cichutko, drżąc na całym ciele. - Myślałam, że umrę.

- Ja też. - Cortez głaskał gładką skórę Phoebe. - Nie znałem wcześniej podobnych doznań.

Rozpromieniła się, ale zaraz spochmurniała.

- Mówisz tak, bo ci się oddałam? - spytała podejrzliwie. - Czytałam w prasie kobiecej, że w łóżku mężczyźni gadają, co im ślina na język przyniesie, choć wcale w to nie wierzą. To prawda?

Uniósł brwi i roześmiał się, ubawiony jej słowami.

- Może inni faceci rzeczywiście tak postępują, ale nie ja. - Poglaskał ją po policzku. - Sprawy się skomplikowały, prawda?

Phoebe skrzywiła się lekko i spojrzała w jego ciemne oczy.

- Oboje postanowiliśmy zapomnieć o konsekwencjach.

- Owszem. - Jęknął cicho, gdy przypomniał sobie, co mówił do niej, kiedy się kochali. Byli jednością, a sama myśl o splodzeniu dziecka miała dla niego nieodparty urok. Teraz zaczął podejrzewać, że wymusił na Phoebe zbliżenie, którego w gruncie rzeczy nie chciała. Nie należała do kobiet gotowych z byle powodu poddać się aborcji. Jeśli zajdzie w ciążę, urodzi, a potem do końca życia będzie się złościć na dziecko i na niego. Poczucie winy nie dawało mu spokoju.

Phoebe obrysowała palcem wyraziste usta Corteza. Uwielbiała na niego patrzeć, dotykać go. Czuała się przy nim bezpieczna.

Wstrzymała oddech na myśl o jego dziecku, które być może właśnie poczęli. Chciała o tym porozmawiać, lecz nagle wydało jej się, że traci z nim kontakt. Wsunęła dłoń pod ciemne włosy spływające na barczyste ramiona, żeby poczuć znowu jego bliskość. Poglaskał krótką, jasną czuprynę.

- Masz piękne włosy - powiedziała cichutko. - Zawsze mi się podobały.

- Żałuję, że obciąłaś swoje. Uwielbiałem je.



- Zrobiłam to po otrzymaniu wycinka z zapowiedzią twojego ślubu - przypomniała mu.

Uśmiechnął się smutno i zacisnął powieki.

- Tego dnia, kiedy go wysłałem, trudno mi było zebrać myśli. - Westchnął ciężko wpatrzony w jej twarz. - Phoebe, nie wiesz wszystkiego. Izaak zginął, uciekając przed policją. Od lat miał kłopoty i raz po raz wchodził w konflikt z prawem. Pił na umór i przestawał się kontrolować. Trzeźwiał w areszcie. W dniu swojej śmierci obrabował sklep z alkoholem i ciężko ranił właściciela. Gdyby żył, trafiłby za kratki na długie lata.

- Współczuję twojej matce - jęknęła Phoebe. - Biedaczka, ma słabe serce. To zapewne pogorszyło jej stan.

- Gwałtowna śmierć kogoś bliskiego jest zawsze bardzo bolesna - odparł Cortez. - Odchodziłem od zmysłów. Dlatego do ciebie nie napisałem. - Oczy mu posmutniały. - Po tylu nieszczęściach całkiem się załamałem. Mimo wszystko szczerze kochałem brata.

- Zrozumiałabym cię, gdybyś mi wyjaśnił, co się dzieje.

Uśmiechnął się lekko.

- Dopiero teraz to pojmuję... O kilka lat za późno.

- Mnie też nie było łatwo. Próbowałam umawiać się z innymi facetami. Problem w tym, że nie potrafiłam im zaufać. Porzuciłam marzenia o szczęśliwej przyszłości i osiadłam w Chenocetah. Postanowiłam skupić się na pracy. Zamiast osobistego szczęścia wybrałam karierę.

- Takie odniosłem wrażenie, gdy w końcu trafiłem na twój ślad - odparł ze smutnym uśmiechem. - Ale informacja, gdzie mogę cię *znaleźć*, to dopiero połowa sukcesu. Daremnie szukałem pretekstu, żeby tutaj przyjechać. W końcu mi się poszczęściło.

- Wszystko samo się poukładało. Wiesz, na początku trochę krzywo patrzyłam na Josepha - wyznała po krótkim wahaniu.

- Zauważyłem - odparł przyciszonym głosem i westchnął.

- Szybko mi przeszło - mruknęła, wspominając chwilę, gdy małe ramionka objęły ją za szyję. - Wystarczyło, że przytulił się i nie chciał odejść. Tym mnie kupił.

Cortez wybuchnął śmiechem.

- Wie, jak zdobyć serce kobiety.

- Jest do ciebie bardzo podobny - zauważyła. - Trudno się domyślić, że to nie

twój syn. Czy kiedy podrośnie, opowiesz mu o rodzonym ojcu?

- Tak - odparł. - Izaak nie był złym człowiekiem - dodał. - Miał tylko słabą głowę i nie potrafił zapanować nad pociągiem do alkoholu. Należał do tych ludzi, którzy po pijanemu stają się nieobliczalni. Zaczął pić jako nastolatek. Daremnie próbowaliśmy go z tego wyciągnąć. Wszyscy czuliśmy się winni, kiedy zginął.

- Wobec losu jesteśmy bezradni - odparła zamyślona. - Dwa lata temu straciłam dziadków. Pojechali do Europy i zginęli w katastrofie kolejowej. Byli na wakacjach. Dla ciotki Derrie i dla mnie to było niezwykle bolesne przeżycie.

Phoebe spojrzała w jego ciemne oczy.

- Dzięki, że opowiedziałeś mi o Izaaku i o twojej matce. Nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji.

Cortez nie odrywał od niej wzroku. Patrzył na kobietę, która właśnie dowiedziała się, czym jest rozkosz. Rozpierała go duma, a jednocześnie zaczął podejrzewać, że Phoebe poszła z nim do łóżka, bo chciała jedynie zaspokoić pożądanie... albo ciekawość. Oszłomił ją natłok wrażeń. To wcale nie znaczy, że go kocha albo pragnie poślubić i założyć z nim rodzinę. Sama przed chwilą wspomniała, że woli być niezależna i poświęcić się pracy.

Odwrócił wzrok, ho znów poczuł się nieswojo. Skrzywił się. wypuścił ją z objęć i wstał z łóżka.

- Nie ma co się wylegiwać. Jest ósma rano. Trzeba wziąć prysznic i ruszać. Idź pierwsza do łazienki.

Chciała zaproponować, żeby umyli się razem, ale stał odwrócony do niej plecami. Nie poruszył się, gdy wstała. Z ciężkim westchnieniem poszła do łazienki.

W drodze do muzeum oboje milczeli, jakby niedawna wzajemna bliskość była czymś wstydliwym. Co więcej, wydawało się, że chwila rozkoszy coś między nimi popsuka. Phoebe oczekiwała większej bliskości, lecz srodze się zawiodła. Nagle przestali się rozumieć.

Cortez zaparkował przed głównym wejściem do muzeum.

- Potrzebuję wszelkich informacji o mężczyźnie, który sprzedał ci figurkę. Znalazłem ich trochę w notesie denata, ale będę wdzięczny, jeśli wyciągniesz jak najwięcej ze swoich podwładnych, o ile oczywiście mieli z tym facetem do czynienia.

- Porozmawiam z zarządem - obiecała. - Ten oszust był na posiedzeniu. Przedstawiał swoją ofertę. Aha, jeszcze jedno. Ta kobieta, która do mnie przyszła, była wysoką, elegancką blondynką. Kostium od Prądy, torebka od Gucciego. Po prawej

stronic, nad górna wargą miała na twarzy spory pieprzyk. Wymowa typowa dla ludzi z Południa, ciemnoniebieskie oczy.

- Jesteś niesamowita oznajmił Cortez.

- Nie przesadzaj. - Phoebe zdobyła się na uśmiech. - Mam po prostu dobrą pamięć. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Uważaj na siebie. Robi się niebezpiecznie.

- Ja też boję się o ciebie - przyznał. - Nie wychodź sama. Czekać, aż cię stąd zabiorę. Jeśli nie zdołam się wyrwać, poproszę Drake'a, żeby cię odwiózł. Miejscowi gliniarze mają wzmocnić patrole wokół muzeum i naszego motelu. Pamiętaj, morderca wciąż jest na wolności. Myślę, że nie zrezygnuje.

- Masz rację - przyznała.

Korciło ją, żeby wyciągnąć z niego, co myśli o ich zbliżeniu, ale zabrakło jej odwagi. Uśmiechnęła się i wysiadła z samochodu.

- Cześć, panie agencie - pożegnała go żartobliwie.

- Pa, Indianetto Jones - mruknął, uśmiechając się mimo woli.

Phoebe wciąż chichotała, wchodząc po schodach prowadzących do drzwi muzeum.

Kiedy została sama, popadła w ponurą zadumę. Cortez zachowywał się tak, jakby nic ważnego między nimi nie zaszło. Czyżby wszyscy mężczyźni tak reagowali? Może po zaspokojeniu fizycznej żądzy rzeczywiście obojętnieją na uroki wybranki? A jeśli Cortez poczuł się winny, bo wziął ją, choć wiedział o jej dziewictwie? Jak powinna się zachować?

Phoebe uznała, że nie należy zamartwiać się z tego powodu, bo nic jej z tego nie przyjdzie. Co najwyżej przedwcześnie osiwieje. Włączyła komputer i wydrukowała numery telefonów członków zarządu muzeum. Była zdecydowana uczynić wszystko, byle tylko przyczynić się do schwytania oszusta, który sprzedał jej figurkę. Zastanawiała się, czy nie przeoczyła jakiejś ważnej informacji. Co jeszcze mogłaby powiedzieć o nim Cortezowi? Ciekawe, dlaczego właśnie teraz zapytał o tajemniczego mężczyznę. Może chciał zająć czymś jej umysł? I słusznie. Ta metoda świetnie się sprawdziła.

Cortez szybko dotarł na teren budowy.

- Aż trudno uwierzyć, że Walks Far został pobity i trafił do szpitala - powiedział zatroskany Jeb Bennett. - Szkoda go. Jest dobrym i lojalnym pracownikiem. Kto go tak stłukł? I dlaczego?

- Spodziewałem się, że pan nam to powie - odparł spokojnie Cortez. Miał na

sobie ciemny garnitur. Włosy zaczesał do tyłu i związał w koński ogon. Wyglądał oryginalnie, ale nobliwie.

Bennett odchylił się na fotelu.

- Mało o nim wiem - rzucił oschle, nie patrząc Cortezowi w oczy. - Pracuje u mnie od kilku lat. Nie było żadnych skarg.

Cortez zerknął na zdjęcie ładnej blondynki o niebieskich oczach, ubranej w kosztowną kreację. Dostrzegł pieprzyk na policzku.

- Pańska żona? - Ruchem głowy wskazał fotografię.

- Kto? O nie! Jestem wolny. - Bennett skrzywił twarz. - Przynajmniej teraz. Zdjęcie przedstawia moją siostrę Klaudię.

Cortez starał się panować nad sobą, żeby nie zdradzić, jak bardzo zaciekał go nowy trop.

- Pracuje w budownictwie tak jak pan? - zapytał.

Bennett parsknął śmiechem.

- Klaudia nie lubi taplać się w błocie. Handluje dziełami sztuki.

Ciekawa informacja. Co więcej, Bennett najwyraźniej był na siebie wściekły z powodu nadmiernej gadatliwości. Cortez zastanawiał się, dlaczego rozmówca nie chce ujawnić, że Walks Far siedział w więzieniu i jest mężem Klaudii.

- Jak się czuje mój brygadzysta? - zapytał Bennett, jakby prowadzili zwykłą towarzyską konwersację.

- Nadal jest nieprzytomny - odparł Cortez. - Jego obrażenia są poważne. Jeśli umrze, zaczniemy osobne śledztwo w sprawie morderstwa. Trzeba będzie szybko znaleźć podejrzanego.

Bennett niepewna, mina wyprostował się w fotelu, Cortez zmrużył oczy. Uznał, że ten człowiek jest zamieszany w jakieś nielegalne machlojki.

Jeśli pan coś wie, proszę mi powiedzieć. Jeśli pan zatai jakieś istotne informacje, oskarżymy pana o współudział, a ostrzegam, kary są wysokie.

Zbity z tropu Bennett popatrzył na niego z wahaniem. W tej samej chwili zadzwonił telefon Corteza.

- Słucham.

- Mam wstępny wynik ekspertyzy substancji pobranej z koszuli pobitego - oznajmiła Alice Jones. - Potwierdziła się moja hipoteza. To z pewnością tkanka mózgowa. Jest też pył i piasek, ale pochodzi z innej jaskini, nie z tej, gdzie byliśmy dziś w nocy. Wyciągnęłam z łóżka biologa i posadziłam go przed mikroskopem, żeby

zrobił mi analizę. Znalazł w tym piasku, nawiasem mówiąc bardzo wilgotnym, sporo substancji organicznych. Prawdopodobnie chodzi o jaskinię zamieszkaną przez nietoperze.

Serce Corteza podskoczyło. Pieczara Yardleya. Nie ma wątpliwości.

- Jones, masz u mnie pizzę wielką jak młyńskie koło! Zbierz ekipę. Parking na rogu Harper Street i Lennox Street. Tam się spotkamy. Wszystko jasne? - Wołał, żeby jego ludzie nie przyjeżdżali na budowę Bennetta. Nie chciał przy nim rozmawiać z podwładnymi, bo mu nic ułał.

Tak jest, szefie - odparła Alice i odłożyła słuchawkę.

- Muszę jechać - powiedział Cortez, wstał i uścisnął rękę rozmówcy. - Wygląda na to, że nastąpił przełom w śledztwie.

Bennett wyraźnie się wahał.

- To znaczy? - spytał natarczywie.

- Odezwę się do pana - obiecał Cortez, nie odpowiadając na pytanie. Opuścił biuro pogrążony w zadumie.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Bennett sięgnął po słuchawkę.

Od chwili gdy Phoebe przekroczyła próg muzeum, czuła na sobie ciekawskie spojrzenia Marie. Powtarzała sobie, że koleżanka nie może wiedzieć o poranku z Cortezem, ale z drugiej strony Marie wyglądała, jakby czegoś się domyślała. W takiej sytuacji najlepiej wszystko sobie od razu wyjaśnić. Wezwała Marie do siebie i zamknęła drzwi.

- Od rana dziwnie ma mnie patrzysz - powiedziała. - O co chodzi? Pogadajmy szczerze.

- Nie wiem, jak to wyrazić - przyznała Marie, z westchnieniem wyraźnej ulgi siadając w fotelu.

Phoebe poczuła się nieswojo. Była tradycjonalistką. Dzisiaj wprawdzie uległa tłumionemu od trzech lat pożądaniu i oddała się Cortezowi, ale nie miała ochoty dyskutować o tym ze znajomymi.

Marie zrobiła dziwną minę.

- Wiesz, że Drake jest moim kuzynem.

- Oczywiście - przytaknęła Phoebe, szczerze zdumiona początkiem rozmowy.

- Chodzi o to, że... - Marie skrzywiła się paskudnie. - Wczoraj całował się z Tiną, krewną Corteza. Na serio. Nie mówię o przyjacielskim cmoknięciu. - Marie popatrzyła na Phoebe z żalem i współczuciem.

- Chciałaś to przede mną ukryć? Dlaczego? - Phoebe uniosła brwi i stłumiła westchnienie ulgi.

- No tak. Bardzo mi przykro. Wiem, że wpadłaś Drake'owi w oko, podrywał cię. Naprawdę bardzo mu się podobałaś...

Phoebe wyciągnęła do niej dłoń i uśmiechnęła się, bo kamień spadł jej z serca.

- Bardzo lubię Drake'a - oznajmiła. - To wspaniały facet, ale nie Jestem w nim zakochana.

- Bogu dzięki! - westchnęła Marie i zaczęła się śmiać. - Nie miałam ochoty rozmawiać z tobą o jego amorach, ale nie mogłam pozwolić, żebyś dowiedziała się przypadkowo. Moim zdaniem zadurzył się w kuzynce Corteza.

- Ja też odniosłam takie wrażenie - oznajmiła Phoebe. - To urocza dziewczyna. Szkoda, że nie widziałaś, jak opiekuje się bratankiem Corteza. Uwielbia dzieci - dodała, odruchowo ścisząc głos.

- Ma kogoś? - wypytywała Marie.

- W Ashville umawiała się z jednym policjantem - odparła Phoebe - ale między nami mówiąc, uważam, że facet nie ma szans. Drake to prawdziwy skarb.

Marie od razu się rozpromieniła.

- Jestem tego samego zdania, choć to mój krewny. - Przekrzywiła głowę i zmieniła temat.

- Podobno ostatniej nocy jakiś ranny trafił do szpitala.

Phoebe sądziła, że Cortez woli utrzymać wczorajsze wypadki w tajemnicy, więc uśmiechnęła się tylko.

- Naprawdę? - spytała wymijająco.

- Nic mi nie powiesz, co? - Marie uniosła brwi. - Próbowałam wyciągnąć coś z Drake'a, ale zbył mnie tak samo jak ty. Od innego kuzyna wiem, że ty i Cortez nad ranem wyjechaliście z miasta, a na terenie budowy w pobliżu naszego muzeum roilo się od glin.

- Za dużo masz tych krewniaków, Marie - odparła z przekąsem Phoebe. - A teraz muszę wziąć się do roboty, bo inaczej obie stracimy posady.

- Dobrze powiedziane. - Marie wstała, pomachała jej na pożegnanie i wróciła do swoich zajęć.

Po jej wyjściu Phoebe odetchnęła z ulgi]. Nic by to plotek o Cortezie i o niej. Przynajmniej na razie. I bardzo dobrze. Nie miała ochoty dzielić się z innymi swoim sekretem.

Następnego dnia Cortez wyruszył na budowę Yardleya. Za nim jechała kawalkada aut: furgonetka ekipy dochodzeniowej, terenówka Drake^ i radiowóz miejscowej policji. Zwracali na siebie powszechną uwagę, ale nie sposób było tego uniknąć. Intuicja podpowiadała mu, że wszyscy będą potrzebni, bo w jaskini popełniono kolejne przestępstwo.

Minęli niewielki most i ruszyli dalej leśną drogą, która prowadziła aż do skalnej półki. Gdy wysiedli z aut, dobiegł ich szmer płynącego w pobliżu strumyka. Cortez ruchem ręki nakazał wszystkim, żeby nie podchodzili, a sam przyjrzał się świeżym śladom opon. Bieżnik był uszkodzony. Widział już wcześniej taki ubytek. Skinął na Alice Jones, żeby zabezpieczyła ślad, obszedł go sporym łukiem i wraz ze swoimi ludźmi ruszył w stronę jaskini.

Słońce stało wysoko na niebie i jak na koniec listopada było dość ciepło. Cortez początkowo nie zauważył nic podejrzanego, ale gdy podeszli bliżej, poczuł charakterystyczny mdlący odór, od którego aż ścisnęło go w żołądku. Wiedział, czego się spodziewać.

Alice Jones również była tego świadoma.

Wymienili ponure spojrzenia. Puścił ją przodem, dając znak pozostałym funkcjonariuszom, żeby szli po jego śladach.

Parę kroków od wejścia do wilgotnej jaskini zobaczyli podeszwy butów, a potem mężczyznę leżącego na ziemi.

Był martwy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Denat leżał na brzuchu. Twarz miał zmasakrowaną; jedna strona była mocno zdeformowana, druga zalana skrzeplą krwią. Rodzona matka by go nie poznała. Wokół głowy powstała czerwona kałuża. Na skalnej ścianie za trupem widać było plamy z krwi i strzępki szarawej substancji. Policjanci od razu zauważyli jeden wyraźny ślad buta oraz kilka innych, starannie zatartych. Denat był wysokim, szczupłym mężczyzną ubranym w drogi garnitur i równie kosztowne skórzane buty. Ręce zgięte w łokciach spoczywały przy głowie. Był sztywny. Alice Jones dokonała wstępnych oględzin, próbując ustalić w przybliżeniu godzinę śmierci. Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na wykonywane przez nią czynności. Wszystkim udzielił się nastrój przygnębienia. Powaga śmierci odbierała pewność siebie nawet doświadczonym policjantom.

Czekali na policyjnego patologa. Tanner, jeden z ludzi Corteza należących do ekipy śledczej FBI, krążył po jaskini, fotografując zwłoki oraz najbliższe otoczenie. W bagażniku auta miał również kamerę wideo. Film dokumentujący zabezpieczenie miejsca zbrodni oraz przebieg dochodzenia traktowano jako pomocniczy materiał dowodowy. Alice Jones poukładała wcześniej kolorowe kartki obok wszystkich śladów, które miały być sfotografowane. Jeden z mundurowych wbijał w ziemię drewniane słupki. Przyniósł także zwój taśmy. Inny stanął na straży w pewnej odległości od wejścia do jaskini i pilnował, aby osoby postronne nie wchodziły na teren działań ekipy śledczej. Alice przyniosła z furgonetki szpadel i torbę pełną mniejszych narzędzi. Miała w niej łopatkę, pędzle i pincety. Zdawała się blada i wymizerowana. Była w podłym nastroju.

- Gdzie reszta ekipy? - spytał zdziwiony Cortez. - Widzę tylko ciebie i Tannera. Co z innymi?

- Dziś jest Święto Dziękczynienia. Zapomniałeś? - mruknęła, odkładając szpadel. - Wszyscy oprócz Tannera i mnie mają rodziny. Z nas dwojga tylko ja zajmuję się medycyną sądową. On jest jedynie fotografem. Jeśli chodzi o miejscową policję, brakuje specjalistów. Owszem, na przykład Parker jest chętny do pomocy, ale jego specjalność to włamanie.

- Dali ci tylko dwóch gliniarzy? - spytał z niedowierzaniem Cortez.

- Policja też świętuje, szefie - odparła drwiąco. Dobrze, że przysłali przynajmniej jeden patrol. Gdybym miała narzeczonego albo męża. na pewno



wzięłabym wolne - dodała znacząco.

- Rozumiem i doceniam twoje poświęcenie - odparł z westchnieniem.

- Wybacz. Gadam głupstwa - zreflektowała się Alice. - Jestem nieludzkco zmęczona. Mam zbyt dużo na głowie. Zazwyczaj mogę liczyć na pomoc przynajmniej jednego kompetentnego kryminologa, a dziś Jestem sama. To będzie trudna i żmudna robota.

- Przydałby się antropolog ze znajomością medycyny sądowej - mruknął Cortez.

- Mówiłam ci już, że uczestniczę w internetowym kursie analizy uzębienia? - spytała pogodnie.

- Brawo, Jones! Jesteś nieoceniona - ucieszył się Cortez.

- Dzięki za pochwałę, szefie. Z pomocą Tannera i Parkera jakoś sobie poradzę, ale zastanawiam się... - Umilkła i spojrzała na niego z wahaniem. - Może ściągnąłbyś tu tę swoją znajomą, z którą chodziłam na zajęcia z antropologii - zaproponowała całkiem serio.

- Wspomniała, że zna się na medycynie sądowej. Uczestniczyła w wykopaliskach, pomoże nam przeszukać jaskinię. Trzeba ją umiejętnie przekopać. W czasie studiów przez jakiś czas chodziłam na zajęcia z archeologii i antropologii, ale to za mało, żeby się wszystkiego porządnie nauczyć. Tutaj jest mnóstwo roboty. We trójkę nie damy rady. - Alice spojrzała bystro na Corteza. - Czy ta twoja znajoma ma mocne nerwy? Zechce nam pomóc?

- Zapytam ją - odparł.

- Namówię szefa, żeby dał ci podwyżkę - obiecała.

- I tak jej nie dostanę - odparł z ciężkim westchnieniem. - Nasz budżet tego nie wytrzyma.

- Trzeba myśleć pozytywnie - odparła Alice. - Mniejsza z tym, że od czterech lat chodzę w tych samych butach i nie stać mnie na nowe okulary.

- Z takimi problemami powinnaś zwrócić się do szefa - poradził. - Ale nie rób sobie wielkich nadziei, bo nasz stary wiecznie narzeka na brak pieniędzy. Podobno jego syn stara się o drugie stypendium, bo spłata kredytu mieszkaniowego pochłonęła oszczędności przeznaczone na jego studia.

- A co mnie obchodzą jego problemy? - odparła zaczepnie i wyprostowała się jak struna.

Tanner, Parker i Drake odwrócili się i popatrzyli na nią ze zdumieniem.

Alice jeszcze bardziej spochmurniała.

- No właśnie. Pieniądze z budżetu, które należałoby przeznaczyć na wsparcie organów ścigania, idą na stypendia dla dzieci wysokich urzędników państwowych albo na abstrakcyjne badania garstki uczonych mamrotała. Kongres ma zachwiana hierarchię ważności.

- Widzę, że nie tylko policyjna robota, ale i finanse publiczne nie mają, dla ciebie żadnych tajemnic. Skoro tak, upoważniam cię do przeprowadzenia rozmów w sprawie podwyżki dla naszego oddziału - oznajmił Cortez po chwili namysłu. - Kto jest za? - zawołał na cały głos.

Tanner podniósł rękę. Dwaj policjanci z patrolu natychmiast poszli w jego ślady.

- Hej, nie jesteście z FBI - skarcił ich Cortez.

- Skąd ta pewność? - odciął się Parker. - Nie słyszał pan o tajnych agentach? Jak trzeba wam pomóc, to jesteśmy dobrzy, a jak dzielimy kasę, to chcecie nas pominąć? Mowy nie ma! Od dwóch lat nie dostałem podwyżki.

Cortez z ubolewaniem pokiwał głową. Spojrzał raz jeszcze na ofiarę. Przed chwilą żartował, ale nie zapomniał o powadze sytuacji. Miał też świadomość, że na miejscu zbrodni czasami konieczne jest rozluźnienie atmosfery, bo to pomaga w pracy. Inaczej jego ludziom szybko siadłyby nerwy.

- Zastanawiam się, kim jest ten facet - powiedział.

- Denat numer dwa, segregator numer 4572H poinformowała skwapliwie Alice Jones. Spojrzał na nią z politowaniem i wyszedł z jaskini. Zamierzał sprowadzić tu Phoebe.

Było wprawdzie Święto Dziękczynienia, ale Phoebe ulitowała się nad zagranicznymi turystami, którym zależało na zwiedzeniu ekspozycji. Właśnie zbierała swoje rzeczy, a Marie kończyła oprowadzanie grupy, kiedy do gabinetu wszedł Cortez.

Po tym, co między nimi zaszło i po chłodnym rozstaniu, na jego widok zabrakło jej tchu. Była jak porażona. Niespodziewanie przebiegł ją miły dreszcz.

Cortez czuł się tak samo, ale udało mu się ukryć tę reakcję. Od lat doskonalił trudną sztukę kamuflażu, która była w jego zawodzie konieczna.

Wcisnął ręce w kieszenie.

- Jesteś strachliwa? - spytał bez żadnych wstępów.

- A konkretnie? - spytała.

- Jak zareagowałabyś, widząc trupa ze zmasakrowaną twarzą i niewielką dziurą

z tyłu głowy u nasady karku? Pomożesz Alice Jones w autopsji zwłok i zabezpieczeniu śladów, zgoda?

- Mam... się zajmować... trupem? - spytała, szeroko otwierając oczy.

- No... tak odparł z wahaniem.

Wyszła zza biurka, zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła ku drzwiom. Zdumiony Cortez wstrzymał oddech.

~ Rusz się! - zawołała. - Robota czeka! Długo będziesz tak stać?

Poszedł za nią. Idąc do auta, minęli zdumioną Marie.

- Zostajesz sama na gospodarstwie - powiedziała do niej uśmiechnięta Phoebe.

- FBI mnie potrzebuje. Będę współpracować z ekipą dochodzeniową jako ekspert.

- Ja też bym chciała - powiedziała żałośnie Marie, zerkając na grupę turystów dyskutujących półgłosem na temat podpisu przy jednym z eksponatów.

- Wykluczone. Mogę dać dzisiaj wolne tylko jednej osobie, czyli sobie - odparła Phoebe z udawaną powagą. - Zamknij, jak tylko skończysz oprowadzać tę grupę. Później do ciebie zadzwonię.

Usadowiła się na fotelu pasażera w aucie Corteza i zapięła pasy.

- Wydawało mi się, że będę musiał cię namawiać. - Usiadł za kierownicą i spojrzał na Phoebe z ukosa.

- Chyba żartujesz! Medycyna sądowa zawsze mnie ciekawiła - usłyszał w odpowiedzi. - W czasie studiów chodziłam na zajęcia z kryminologii, a niedawno byłam nawet konsultantką miejscowej policji, gdy znaleziono fragmenty szkieletów. Asystowałam również przy sekcji zwłok.

- Ja też, ale zrobiłem to bez entuzjazmu.

- Cortez zacisnął zęby.

- Ustaliłeś tożsamość denata? - zapytała.

- Jeszcze nie. Nie radzę pytać Alice Jones, z kim mamy do czynienia. Powie ci po prostu, że to martwy facet.

- Cała ona. - Phoebe z uśmiechem pokiwała głową.

- Facet naprawdę paskudnie wygląda - ostrzegł Cortez.

- Mało kto wygląda pięknie po śmierci - odparła, spoglądając na niego. - Znajomy policjant z Georgii pracujący w wydziale zabójstw powiedział mi kiedyś, jak sobie radzi. Łatwiej mu znieść makabrę, z którą się styka, kiedy uświadamia sobie, że jest ostatnim rzecznikiem zmarłego, bo ma obowiązek wytropić mordercę i dopilnować, by został surowo ukarany. Bardzo podoba mi się taki sposób rozu-

mowania.

- Mnie również - przyznał Cortez.

Niewiele rozmawiali w drodze na miejsce zbrodni. Phoebe wydawała się dziwnie nieśmiała. Cortez czuł się winny, ponieważ oddalili się od siebie.

Zaparkował w pobliżu jaskini i dał Phoebe znak, żeby szła po jego śladach. Nie chciał zniszczyć ewentualnych dowodów.

Zostawiła torebkę w aucie i ruszyła za Cortezem do jaskini, gdzie leżały zwłoki. Na widok zamordowanego mężczyzny zawahała się, lecz po chwili znów ruszyła naprzód.

- Dzięki, że przyjechałaś - mruknęła Alice Jones, przerywając mozolne przekopywanie gruntu wokół denata. Ziemię zdejmowaną cienkimi warstwami przesiewała przez sito o drobnych oczkach. Wszystkie znaleziska umieszczała w torbach i opatrywała etykietkami. Praca była żmudna i męcząca, bo z nastaniem dnia temperatura w jaskini wzrosła i zrobiło się duszno.

- Doceniłam moich ludzi, dopiero gdy zostałam pozbawiona ich pomocy.

- Poradzimy sobie - zapewniła Phoebe. - Daj mi łopatkę i powiedz, co mam robić.

- Najpierw przyjrzyj się ofierze - zaproponowała Alice, prowadząc ją do jedynej furtki w prowizorycznym ogrodzeniu. - Rodzaj obrażeń wskazuje, że do denata strzelano z tyłu, kiedy się pochylił. Na tylnej ścianie są plamy z krwi, więc musiał wtedy zwiesić głowę. Rana wlotowa nad karkiem jest mała i regularna, z przodu ogromna i o poszarpanych brzegach.

- To wygląda na pistolet. - Phoebe potakująco kiwnęła głową. Z zafrasowaną miną przyglądała się obrażeniom. - Strzelano z tyłu i z góry.

Tak sądzę zgodziła się Alice. Gdybym znalazł kaliber, można by określić tor pocisku. Wiedzielibyśmy, gdzie szukać łuski. Kazałam Parkerowi skorzystać z wykrywacza metalu.

Phoebe domyśliła się, że właśnie to urządzenie wydaje dziwny szum, który usłyszała po wejściu do świątyni.

- No dobrze - powiedziała, zdejmując żakiet. - Bierzmy się do roboty.

Alice z uśmiechem podała jej łopatkę.

Rutynowe czynności wykonywane na miejscu zbrodni były żmudne i męczące. Phoebe miała spore doświadczenie w pracach wykopaliskowych, ale krzątania wokół trupa trochę ją peszyła. Stężenie pośmiertne już ustępowało. Temperatura rosła, więc

zwłoki zaczynały puchnąć. Można było wyczuć niezbyt intensywną, ale męczącą i przykrą woń.

Alice próbowała w przybliżeniu określić, kiedy nastąpił zgon.

- Moim zdaniem leży tutaj osiem do dwunastu godzin - z roztargnieniem tłumaczyła Cortezowi. - Na to wskazuje stężenie pośmiertne i temperatura ciała. Po sekcji zwłok będzie można powiedzieć więcej, ale nie sądzę, by ustalenia zasadniczo się zmieniły.

- Czyli został zabity wczoraj - podsumował Cortez.

- Zapewne ostatniej nocy - dodała Alice.

- Zmierzyłam mu temperaturę - mruknęła, spoglądając drwiąco na kolegów, którzy odwrócili wzrok, kiedy się do tego zabrała. - Zważywszy, że ciało traci półtora stopnia na godzinę, daje to w przybliżeniu wskazany przeze mnie przedział czasowy. Ten mężczyzna zmarł około jedenastej wieczorem z tolerancją do dwóch godzin, bo trzeba wziąć pod uwagę, jaka pogoda była wczoraj wieczorem. Zanim sporządzę raport, zadzwonię do stacji meteorologicznej i o wszystko wypytam.

- Zawińcie denata w folię. Niech ludzie z miejscowego zakładu pogrzebowego przyślą po niego swój samochód. Zostanie u nich, aż stanowe laboratorium medycyny sądowej zabierze go na sekcję zwłok. Miejmy nadzieję, że uda nam się przy okazji pobrać wycinki organów wewnętrznych oraz próbki DNA dla naszych patologów.

- Te badania są czasochłonne. Nawet przy wsparciu centrali trudno będzie szybko uzyskać wyniki.

- Alice, przecież wiem, że jesteś z patologami po imieniu. Postaraj się, wykorzystaj swoje kontakty - zachęcał Cortez. - O ile mnie pamięć nie myli, wpadł ci w oko ten nowy stażysta. Chodziłaś z nim na randki.

Alice odchrząknęła nerwowo.

- Tak się składa, szefie, że przeze mnie wywalił się w stołówce, toteż nie sądzę, żeby odniósł się pozytywnie do mojej prośby.

Wszystkie oczy były teraz utkwione w Alice.

- Nie zrobiłam tego specjalnie - tłumaczyła zarumieniona. - Odsunął mi krzesło, ale potknęłam się o własne nogi i popchnęłam go, więc poleciał na stolik i zarył twarzą w ziemniaki z sosem.

- Co wtedy zrobiłaś? - spytała wstrząśnięta Phoebe.

Odwróciłam się na pięcie i uciekłam, gdzie pieprz rośnie - wyznała, czerwieniąc się jeszcze bardziej. - Chyba nie mam zadatków na romantyczną oblubienicę - dodała

ironicznie.

- I bardzo dobrze. Skup się na pracy. Muszę przyznać, że jesteś najlepszą szefową ekipy dochodzeniowej, z jaką dotąd pracowałem.

- A więc podwyżka... - zaczęła z promiennym uśmiechem.

- Bierzmy się do pracy. Zasalutowała, mrugnęła do Phoebe i wróciła do swoich zajęć.

Dwa dowody rzeczowe zabezpieczone przez Alice bardzo zainteresowały Corteza. Pierwszym był długi jasny włos, drugim odrobina pudru zdjęta z kłapy marynarki denata, kiedy odwrócono go, żeby włożyć do worka z czarnej folii.

- Wygląda na to, że była z nim kobieta - mruknął Cortez. Alice pokiwała głową.

- Dowody rzeczowe nie będą zbyt pomocne w ustaleniu tożsamości tej kobiety, nie przynajmniej wiemy, że musimy ją odszukać, bo to cenny świadek, choćby jako osoba, która widziała go na krótko przed śmiercią.

- Słuszna uwaga przytaknął Cortez, mrużąc oczy. Przypomniawszy sobie fotografię siostry Bennetta. Ta kobieta miała długie jasne włosy. Jej mąż. Walks Far. pobity do nieprzytomności, trafił do szpitala. Cortez czuł, że między tymi faktami istnieje jakiś związek, ale na razie wolał o tym nie mówić.

Zwłoki trafiły do worka z czarnej folii. Wkrótce przyjechał po nie samochód z zakładu pogrzebowego. Alice eskortowała denata. Wsiadając do auta, z roztargnieniem pomachała Phoebe i Cortezowi. Tanner zabrał się z nią, bo chciał wrócić do motelu. Furgonetka została przed jaskinią, której pilnowała miejscowa policja. Phoebe zdążyła już zadzwonić do muzeum. Powiedziała Marie, żeby zwolniła wszystkich do domu. Uznała, że w święto i tak nikt więcej nie przyjdzie zwiedzać ekspozycji.

Cortez otworzył jej drzwi i czekał, aż zapnie pasy. Gdy usiadł za kierownicą, spojrzęła na niego z wahaniem.

- Mam wrażenie, że Jestem... brudna. Czy ty również tak się czujesz po zabezpieczeniu śladów na miejscu zbrodni?

- Zawsze - przytaknął ze smutnym uśmiechem. - Inaczej to sobie wyobrażałaś, prawda?

Dyskretny urok kryminalnych gdzieś się ulotnił, co? Została szara rzeczywistość.

Phoebe również uśmiechnęła się nieśmiało. - Owszem - przyznała, splatając ręce na piersiach. Gdy wracali do Chenocetah, milczała ze wzrokiem utkwionym w

przedniej szybie. Po pewnym czasie rzuciła półgłosem.

- Wydawał się taki... bezbronny.

- Ofiary zwykle tak wyglądają - odparł Cortez. - Trudno wymazać z pamięci obraz zamordowanego człowieka, ale schwytanie zabójcy przynosi ulgę, wierz mi.

- Sprawy się komplikują - mruknęła. - Najpierw pojawił się ten antropolog. Twierdził, że znalazł szkielet neandertalczyka. Został zamordowany, do mnie strzelano, a mężczyzna z budowy, pobity do nieprzytomności, wylądował w szpitalu. Teraz mamy kolejnego trupa z jasnym włosom na marynarce i pudrem na ubraniu. - Phoebe popatrzyła na Corteza. - Jak to wszystko połączyć?

- Uda się, jeśli przeanalizujemy dowody rzeczowe i przesłuchamy świadków. - Zatrzymał się przed czerwonymi światłami na skraju miasta.

- Masz podejrzanego - domyśliła się. Cortez popatrzył na nią ze zdumieniem, a potem zaśmiał się.

- Jesteś spostrzegawcza.

- Tamta kobieta, która odwiedziła mnie w muzeum, jest blondynką. Nie pamiętam, czy była upudrowana, ale z pewnością to długowłosa blondynka z pieprzykiem na policzku.

Kiwnął głową i dodał gazu, bo światła się zmieniły. Wpatrywała się w niego zachłannie. Serce jej kołatało, gdy wspominała jego pocałunki.

Jej natrętna obserwacja przyciągnęła jego uwagę. Popatrzył na Phoebe łagodnie i wyrozumiale.

- Uważaj - ostrzegł przyjaźnie. - To był długi i męczący dzień, ale nie zapomniałem o naszym uroczym sam na sam.

- To było... niesamowite. - Phoebe zarumieniła się lekko.

Kiwnął głową, unikając jej wzroku. Twarz mu stężała.

- Prowadzimy śledztwo. Trzeba złapać mordercę.

- A to oznacza, że nie ma czasu na te rzeczy - uzupełniła jego wypowiedź z westchnieniem zawodu.

Mimo woli parsknął śmiechem i dodał:

- Poza tym dziś jest Święto Dziękczynienia.

- O Boże! Całkiem zapomniałam, że mam w domu indyka. Chciałam go upiec i zaprosić ciebie, Tinę oraz Drake'a na kolację.

- Świetny pomysł - ożywił się Cortez, unosząc wysoko brwi. Oczy mu się śmiały.

- Mam się postarać o kukurydzę i sarninę? - zapytał z kpiącą miną, wyliczając

tradycyjne potrawy spożywane podczas świątecznego posiłku. Phoebe spojrzała na niego z politowaniem.

- Zaplanowałam miłą kolację, a nie festyn ludowy. Poza tym chyba nie powinieneś świętować na naszą modłę, bo jesteś z Wielkich Równin. To plemiona ze Wschodu bratały się z brytyjskimi kolonistami. - Zmarszczyła brwi.

- Z tego co pamiętam, pierwsi osadnicy sami nie potrafili niczego wyhodować, więc podkradali jedzenie Indianom...

- Po pierwsze - przerwał mentorskim tonem - rdzenni Amerykanie nie przywiązują większej wagi do stanu posiadania. Chętnie dzielimy się wszystkim, także żywnością. Skąpstwo jest dla nas nie do pojęcia. Po drugie, Komańcze są najbliższymi spokrewnieni z Szoszonami, ale i pozostałe plemiona traktujemy jak braci. Jesteśmy jedną wielką rodziną, a właśnie więzy rodzinne są dla nas najważniejsze.

- I tak być powinno - odparła półgłosem.

- Rodzina sprawia, że nie mamy problemu z samookreśleniem. - Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - Przez całe życie walczysz o swoją tożsamość, prawda?

Cortez skinął głową.

- Mniejszościom narodowym trudno zachować odrębność i poczucie godności. Statystyki mówią same za siebie. Dzięki wykształceniu odzyskujemy szacunek do samych siebie. Z tego powodu mój ojciec oraz, inni członkowie naszej wspólnoty z ogromną determinacją walczą o fundusze, które pomogłyby zlikwidować ubóstwo i zacofanie.

- Aktywność umożliwiła Indianom awans społeczny. Mam na myśli przede wszystkim zaangażowanie polityczne.

Cortez wybuchnął śmiechom.

- Zmieńmy temat. Mój ojciec nie przegapi żadnej okazji, żeby zrobić wykład o tym, jak lobować na rzecz współplemieńców. Jest w tym prawdziwym mistrzem.

Zatrzymał się na chwilę tuż przed wjazdem do miasta i spojrzał na nią z czułością, ale ciemne oczy nadal były smutne.

- Co jest? - spytała zaniepokojona.

- Myślałem o rodzinie. Wiele poświęciłem dla najbliższych. Nie żałuję, bo Joseph to prawdziwy skarb, ale przez te trzy lata czułem się bardzo samotny, Phoebe - odparł z ponurą miną.

Phoebe westchnęła i odchyliła głowę na oparcie fotela.

- Znienawidziłam cię. Dużo czasu minęło, nim zapanowałam nad tym



uczuciem. Szczerze mówiąc, do głowy mi nie przyszło, że działałeś pod presją. Byłam przekonana, że opuściłeś mnie z własnej woli, a teraz trochę mi wstyd. Za szybko cię osądziłam, a przecież powinnam wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem.

Wyciągnął ramię i chwycił jej dłoń.

- Zналиśmy się bardzo krótko i niewiele o sobie wiedzieliśmy odparł cicho. Parę rozmów, kilka pocałunków i każde poszło w swoją stronę. Skąd miałaś wiedzieć, że myślałem o nas bardzo serio? Chciałem ci o tym powiedzieć, ale Izaak sprawiał coraz większe kłopoty. Spodziewałem się rodzinnej katastrofy i musiałem się z tym uporać. Liczyłem na to, że niezależnie od wszelkich trudności mamy przed sobą przyszłość. Los pokrzyżował nasze plany.

- Gdybym wiedziała, mogłabym czekać całą wieczność, aż... - zaczęła, mocno ściskając jego palce. Głos jej się załamał, gdy powróciły bolesne wspomnienia.

Cortez wrzucił na luz, zsunął pasy bezpieczeństwa i przytulił ją mocno, szukając jej ust. Pocałunek był zaborczy, namiętny, zachłanny. Zadrżała w jego ramionach i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Pragnę cię - szepnęła z trudem.

- Wiem. - Przytulił ją mocniej i pocałował w szyję.

- Jeremiaszu, pojedźmy do mnie - błagała łamiącym się głosem. - Natychmiast.

Powinien zaprotestować. To nie był dobry pomysł. Zapomniał o tym, gdy przyłgnęła do niego, całując namiętnie. Nie miał dość sił, żeby jej się oprzeć. Drżącymi rękami wrzucił bieg, zawrócił i z piskiem opon ruszył ulicą prowadzącą do jej domu.

Przez całą drogę trzymał Phoebe za rękę. Serce biło jej coraz mocniej, kiedy wspominała cudowne doznania, jakimi ją obdarował. Zawsze pragnęła być z mężczyzną takim jak on, a teraz jej marzenia się spełniły.

Cortez nie pozwolił, żeby zaślepiło go pożądanie. Spiesząc do domu na odludziu, pamiętał o ostrożnej jeździe. Droga była pusta. Ani jednego auta. I bardzo dobrze. Miał wyrzuty sumienia, bo prowadził ważne śledztwo, więc powinien skupić się wyłącznie na pracy. Z drugiej strony jednak było przecież Święto Dziękczynienia, a tego dnia każdy ma prawo do odpoczynku. I tak od rana harowali w pocie czoła. Chwila oddechu dobrze im zrobi. Powinien się trochę odprężyć, chociaż był jak najdalszy od tego, żeby traktować Phoebe jak dziewczynę, z którą idzie się do łóżka dla rozrywki i relaksu.

Zaparkował przed jej domem i wyłączył silnik. Mięśnie miał napięte i cały płonął, ale jego umysł mimo wszystko pracował na najwyższych obrotach.

- Codziennie chodziłam do tamtej kawiarni w Charlestonie, bo miałam nadzieję, że znów cię spotkam - wyznała ze ściśniętym gardłem, wpatrzona w niego jak w obraz. - I ostatniego dnia wreszcie się pojawiłeś.

- Ja robiłem to samo, choć nigdy bym się do tego nie przyznał. - Oczy mu zabłyśły. - Miałem wiele powodów, żeby cię unikać. Intuicja mi podpowiadała, że nie powinienem się z tobą zadawać.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Wiem. A jednak skończyło się inaczej.

- Nadal piętrzą się przed nami liczne przeszkody - mruknął, wzdychając ciężko.

- Wszyscy muszą się z nimi borykać, Jeremiaszu - przypomniała. - Ale zważywszy na to, jak przez ostatnie trzy lata wyglądało moje życie, wolę przeszkody od samotności.

- Tak. - Wyciągnął rękę i obrysował palcem jej usta. - Ja również. - Zawahał się na moment. - Nadal niewiele wiesz o mężczyznach.

- Nadarza się doskonała sposobność, żebyś nauczył mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć - odparła z naciskiem.

Popatrzył na jej bluzkę, pod którą rysowały się wyraźnie dwa niewielkie wzgórki. Pragnęła go. Natychmiast przypomniał sobie, jak całował je namiętnie, jak patrzył na nie tamtej nocy, gdy omal nie wziął jej na hotelowym łóżku w swoim pokoju.

Phoebe dotknęła guzików i zaczęła je rozpinać. Miała na sobie biustonosz zapinany z przodu, więc bez trudu obnażyła piersi. Chciała, żeby Cortez na nie patrzył.

- Phoebe! Na miłość boską! - jęknął.

Odpięła pasy, przysunęła do Corteza i przyciągnęła do siebie jego głowę. Gdy objął wargami twardy sutek i dotknął go językiem, jęknęła i wtuliła się w niego. Zamknął ją w mocnym uścisku, czując - że traci głowę.

- Wchodzimy do środka - mruknął. - I to natychmiast.

Ledwie pamiętał, jak wszedł, przekręcił klucz i poszedł za Phoebe do łazienki. Gdy zamknęli się tam we dwoje, rozebrał ją, nie szczędząc namiętnych pocałunków. Bez słowa ujął jej dłonie, a następnie przyciągnął do siebie, dając do zrozumienia, żeby pomogła mu zdjąć koszulę i krawat.

Wśród zmysłowych pieszczot wciągnął ją pod prysznic. Niewiele brakowało, żeby przestał nad sobą panować, kiedy w miłosnej gorączce nawzajem namydłali swoje ciała. Ledwie zdążyli splukać pianę i wytrzeć się frotowymi ręcznikami.

Pocałunki Corteza stawały się coraz bardziej zaborcze, a żądza rozpalala go do białości.

Włosy Phoebe były mokre, ale zamiast je wysuszyć, pociągnął ją w stronę łóżka. Położyła się, a on natychmiast przylgnął do niej całym ciałem. Gdy splotła nogi za jego plecami, wszedł w nią natychmiast jednym płynnym i łagodnym ruchem. Wstrzymał oddech, zdumiony, że nie czuje najmniejszego oporu.

Phoebe podzielała jego odczucia. W momencie ich cielesnego zjednoczenia ogarnęła ją bezmierna radość. Westchnęła głęboko. Nie kryła, że go pragnie, a ta świadomość działała na niego jak najsilniejszy afrodyzjak.

- Chyba... umrę! - wyznała urywanym głosem, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Oboje umrzemy - wyjąkał. - Patrz mi w oczy. Nie opuszczaj powiek. Spójrz. Popatrz na mnie!

Otworzyła usta jak do krzyku, bo wszedł w nią jeszcze głębiej. Mięśnie miał napięte i twarde jak powrozy, usta zaciśnięte w cieką linię. Desperacko parł ku szczytowi rozkoszy.

- Dalej! Nie przerywaj! - szlochała, wtulona w niego. Cała była śliska od potu.

Uniósł się lekko, spoglądając na nią ciemnymi oczami o rozszerzonych źrenicach. Ostatkiem sił poruszył się w niej raz jeszcze. Wpatrywali się w siebie jak zauroczeni, aż zadrżała, balansując na granicy świadomości. Nagle wyprężyła się pod nim i krzyknęła głośno.

Cortez znieruchomiał, tuląc Phoebe w ramionach, a potem opadł na nią całym ciężarem, przygniatając ją do posłania. Dygotał jak w gorączce i raz po raz powtarzał jej imię. Łamiącym się głosem szeptał jej do ucha czule słówka.

Wtulila się w niego i zadrżała, przeszyta spazmem rozkoszy.

Gdy Cortez próbował się odsunąć, objęła go mocniej i przyciągnęła do siebie.

- Nie - jęknęła rozpaczliwie, poruszając się odruchowo. - Poczekaj... Jeszcze...

Oparł się na przedramionach i mocniej przylgnął do niej biodrami. Patrzył w niebieskie oczy pociemniałe z przejęcia. Mimo wyczerpania z zadowoleniem obserwował, jak raz po raz ogarnia ją nowa fala przyjemności.

- Jest ci dobrze, prawda? - szepnął, napawając się jej widokiem. - Kobiety mogą przeciągać ten moment - dodał, poruszając biodrami tak, że znieruchomiała i westchnęła spazmatycznie.

Osiągnęła szczyt rozkoszy. Ciało miała napięte, usta rozchylone, oczy szeroko

otwarte, jakby przerażała ją ta spirala przyjemności, której doświadczała w jego ramionach. Raz i drugi krzyknęła zmienionym głosem, nierozpoznawalnym nawet dla jej uszu.

Potem długo szlochała z twarzą wtuloną w jego szyję. Oboje milczeli, gdy tulił ją w objęciach.

- Tym razem było inaczej - próbowała słowami wyrazić, co czuje. - Przestraszyłam się.

Pocałował jej przymknięte powieki.

- A to dopiero początek - szepnął. - Wszystko przed nami.

Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. Nadal dygotała od nadmiaru wrażeń.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Pochylił głowę i pocałował ją czule. - Ale dosyć na dziś.

- Dlaczego? - obruszyła się, wyraźnie zawiedziona.

Cortez uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Za chwilę sama przyznasz mi rację - mruknął z chełpliwym uśmiechem. Gdy uniósł się lekko, syknęła z bólu.

- Za dużo tego dobrego - dodał, kładąc się obok niej. - Wszelki nadmiar bywa szkodliwy. Teraz wiesz, o czym mówię.

Skrzywiła się i odetchnęła głęboko.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- To nie jedyny szczegół, który ci umknął. Pytająco uniosła brwi. Cortez spojrzał na swoje biodra, więc podążyła za jego wzrokiem. Minęło dobrych kilka chwil, nim skojarzyła, o co chodzi.

- Kurczę...

- No wiesz! Moim zdaniem to nie jest odpowiednie imię dla naszego pierwszego dziecka - odparł z kpiącą miną.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Phoebe usiadła obok niego na posłaniu. Całe jej ciało nadal pulsowało wspomnieniem niedawnej rozkoszy. Drżała, ponieważ zrobiło jej się chłodno.

Cortez ułożył się wygodnie na poduszkach. Przyglądał się jej z czułością i zachwytem, nie kryjąc radości, że ta piękna i zmysłowa kobieta należy do niego.

- Nie było czasu, żeby... myśleć o konsekwencjach. Zresztą to już drugi raz - wymamrotała urażona Phoebe, kładąc się obok niego.

Cortez z zagadkowym uśmiechem położył dłoń na jej udzie.

- Czyja narzekam? - spytał cicho. - Powiedziałem tylko, że nie zamierzam wołać na nasze dziecko kurczę.

- Myślisz, że zanoszą się na dzidziusia? - Serce Phoebe kołatało jak szalone.

Uniósł brwi i zmierzył ją kpiącym spojrzeniem.

- No pewnie, jeśli się nie opamiętamy. Szczerze mówiąc, tym razem miałem w portfelu mały pakiecik, ale sama wiesz, jak to było.

- Aha. - Skrzywiła się wymownie. - Zachowałam się karygodnie. Za bardzo się spieszyłam, żeby cię rozebrać.

- Dążyłem do tego samego - przyznał i roześmiał się.

Zachwyconym spojrzeniem zmierzyła jego smukłą sylwetkę.

- Chyba jednak... coś z tego będzie. Pytając uniósł brwi.

- To znaczy... dziecko - odparła zarumieniona. - Poprzednim razem myślałam, że już nie może być... lepiej.

- Ja również - przyznał, nagle poważniejąc. - We dwoje doznaliśmy rozkoszy, której dotąd nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

- Naprawdę? - spytała z jawną ciekawością, bo miała w tych sprawach skromne doświadczenie. Wiele mogła się od niego nauczyć.

Westchnął głęboko, nie odrywając od niej wzroku.

- Phoebe... - zaczął i popatrzył na nią z niepokojem. - Trudno mi wyrazić...

- Rozumiem - przerwała, obawiając się, że znów odezwało się w nim poczucie winy i lęk przed stałym związkiem, do którego nie czuł się jeszcze gotowy. - Nie musisz się tłumaczyć.

Wziął ją za rękę i mocno przytulił, ale nie pocałował. Zamknięta w mocnym uścisku leżała wsłuchana w regularny oddech Corteza. Długo tak odpoczywali.

Jak tylko zamknę to dochodzenie, porozmawiamy o nas zapewni! stłumionym

głosem. Potarła policzkiem o jego pierś. Decyzja została zawieszona. Niczego jej nie obiecał. Wiedziała jednak, że coś do niej czuje, a już na pewno pożądanie. A może coś więcej?

- Dobrze.

Pogłaskał mokre włosy Phoebe. Jego uczucie do niej było tak głębokie, że nie potrafił tego wyrazić. Miał nadzieję, że ona to rozumie. Był tego niemal pewny. Po raz pierwszy od lat zdawał się spokojny i wyciszony. Niewidzącym wzrokiem spoglądał na sufit. Tuląc Phoebe, czuł przyjemny ciężar jej ciała i to go znów podnieciło. Jęknął boleśnie.

Poczuła, że napiął mięśnie, i usiadła. Wystarczył rzut oka na jego biodra, żeby wiedzieć, czego mu się zachciewa.

- Jeśli chcesz, ja się zgadzam - powiedziała cicho, spoglądając mu w oczy.

Uniósł się i pocałował ją namiętnie.

- Kochankowie nie powinni umyślnie zadawać sobie bólu - szepnął i uśmiechnął się do niej. - Dzięki. Duch ochoczy, ale ciało... Szkoda gadać. Pochylił się i dodał teatralnym szeptem: - Też Jestem obolały.

Szeroko otworzyła roziskrzona radością oczy.

- Naprawdę? zapyłała, wybuchając gromkim śmiechem.

- Niestety tak. - Usiadł i przyciągnął ją do siebie. - I co? Najpierw weźmiemy razem szybki prysznic, ubierzemy się, a potem zadzwonimy do Drake'a i zapytamy, czy przyjedzie tu z Tiną i Josephem na świąteczną kolację, zgoda?

Phoebe nie odrywała od niego wzroku.

- Uroczy pomysł - odparła z roztargnieniem.

- Oboje jesteśmy wyczerpani - przypomniał, czule całując jej powieki. - Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - dodał, mrugając do niej porozumiewawczo. - W najbliższym czasie powinienem skupić się na pracy zamiast myśleć o twoich piersiach. - Popatrzył na nie. - Masz pojęcie, jakie one są śliczne?

- Stanowczo za małe - narzekała, ale oczy jej się śmiały.

- Bzdura. - Pochylił głowę i zaczął je całować. - To prawdziwa doskonałość. Na ich widok tracę głowę. - Niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło?

- Próbowałem sobie wyobrazić ciebie sprzed trzech lat, jak rozpinasz bluzkę, żebym mógł na ciebie popatrzeć.

- Byłam wtedy dość pruderyjna.

- To już przeszłość - odparł z uśmiechem, a Phoebe zachichotała. Palcem obrysowała jego usta Kiedy spojrzała na niego, oczy jej pociemniały od bolesnych wspomnień.

Owszem, to już przeszłość odparła. - Po rozdaniu dyplomów strasznie chciałam zaciągnąć cię do swojego pokoju hotelowego w wiadomym celu - mruknęła.

- Ja również chciałem z tobą być, ale miałem złe przeczucia - odparł cicho. - Tylko nie pomyśl, że odziedziczyłem po ojcu dar przepowiadania przyszłości. Nic z tych rzeczy, czułem się, jakby ciążyło nade mną jakieś fatum. Okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła. Przykro mi, że tyle przeze mnie wycierpiałas - mruknął.

- Kiedy usłyszałem od Drake'a, że próbowałaś popełnić samobójstwo...

- Tak powiedział?! - krzyknęła.

- Wie od Marie - odparł Cortez.

- Nie było żadnej próby samobójczej - oznajmiła natychmiast. - Na krótko przed przyjazdem do Karoliny Północnej miałam okropną migrenę i przesadziłam trochę z tabletkami przeciwbólowymi. Ciocia Derrie przeraziła się nie na żarty - przyznała Phoebe. - Ale nie chciałam się zabić - dodała ze smutnym uśmiechem. - Wolałam żyć i odpłacić ci za moje krzywdy. - Niespodziewanie zachichotała.

- Pragnienie zemsty pomogło mi przetrwać najgorsze chwile. Aż tu pewnego dnia ni stąd, ni zowąd wszedłeś do mego gabinetu bez słowa wyjaśnienia, jakbyśmy się w ogóle nie znali.

- To był koszmar - mruknął Cortez.

- Dla mnie też. - Popatrzyła na niego ciepło, a potem spochmurniała. - Gdybym cię znowu straciła...

Chwycił ją w ramiona i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

- Nie pozwolę ci odejść. Nigdy, przenigdy - szepnęła. - Kiedy przyjdzie mi umrzeć, odejdę z twoim imieniem na ustach.

Płakała, tuląc się do niego. Zmysłowy pocałunek ciągnął się w nieskończoność, aż do zupełnego wyczerpania. Oboje drżeli, znużeni i niezdolni się poruszyć. Długo tulili się w milczeniu. Minęło wiele minut, nim odsunęli się od siebie.

Phoebe ocierała mokre oczy. Cortez pochylił się i scałował z policzków ciepłe łzy.

- Nie płacz - szepnął czule. - Nie odejdę po raz drugi. Obiecuję.

- Nie waż się wystawiać na kule. Zabraniam ci ginąć.

- Jasne. Nie mam najmniejszego zamiaru - odparł pogodnie. Uśmiechnęła się

przez łyżę.

- Chętnie bym coś zjadł. Naprawdę chcesz zrobić kolację? Jeśli tak, ty pieczesz indyka z nadzieniem, a ja karnie otwieram wszystkie puszkę.

- A ja myślałam, że upieczesz pyszny domowy chleb.

Cortez przygryzł wargi. - Raz próbowałem. Mój brat chciał dać go naszemu psu, ale ten spryciarz zwiął. Od tamtej pory nic piekę.

- W takim razie znajdę ci kilka puszek, żebyś mógł się wykazać!

Drake przywiózł Tinę i Josepha niespełna dwie godziny później. W tym samym czasie zjawiała się Alice Jones, zaproszona telefonicznie przez Corteza, który doskonale wiedział, że jego koleżanka jest dobrym kompanem, a siedzi sama, bo nie ma rodziny ani bliskich przyjaciół.

Wszystko było w porządku, dopóki Phoebe nie zaprosiła jej do kuchni, żeby razem dokończyły przygotowywanie indyka. Cortez został w salonie z Tiną, Drakiem i Josephem. Panowie wymieniali informacje o najnowszych postępach w śledztwie.

Phoebe umieściła indyka w brytfannie wyłożonej folią aluminiową, a potem ostrożnie wymieszała w dużej misce nadzienie składające się z pokruszonych sucharków, okruchów kukurydzianego chleba, świeżej szalwi, drobno posiekanej cebuli i oliwy. Kątem oka zerknęła na Alice, która pochyliła się nad indykiem i patrzyła na niego przez wyciągnięte z kieszeni szkło powiększające.

- Co ty wyprawiasz? - spytała niepewnie.

- Rana sięgająca od jamy brzusznej do mostka, zadana ostrym narzędziem... mamrotała. Nacięcie z dołu ku górze. Widoczne zasinienie. Znaczny ubytek tkanki, brak organów wewnętrznych...

- Na miłość boską! Uspokój się, Alice! Przecież to zwykły indyk - zirytowała się Phoebe.

- Ale trupy to jak najbardziej przecież moja specjalność - odparła rezolutnie uśmiechnięta Alice. Oburzona Phoebe rzuciła w nią kuchennym ręcznikiem.

- Co tam się dzieje? - zawołał Cortez. Widział je, bo kuchnia i salon były połączone.

- Alice chce zrobić sekcję naszemu indykowi - poskarżyła się Phoebe.

- Jeśli nadal będziesz wygadywać takie bzdury, nie licz na to, że w Boże Narodzenie zaprosimy cię na obiad.

- Dobra, już milczę, ale sami przyznacie, że ktoś zadźgał to ptaszysko. Co ja poradzę, te zawodowe nawyki są trudne do zwalczania.



Z salonu dobiegł zgodny jęk rozpacz. Wyrozumiała Phoebe śmiała się do rozpuku. Machnęła ręką na bezsensowną paplaninę Alice i wzięła się znowu do mieszania składników nadzienia.

Całkiem jak w rodzinie, pomyślała Phoebe, spoglądając na gości zgromadzonych przy stole. Drake pogrążony w rozmowie z Cortezem zdawał się ignorować Tinę, która też ostentacyjnie nie zwracała na niego uwagi. Posadziła Josepha na swoich kolanach, bo Phoebe nie miała dostatecznie wysokiego krzesła. i karmiła chłopczyka małymi kęsami indyczego mięsa z żurawina.. Chłopczyk chętnie jadł i popijał jedzenie mlekiem.

Po kolacji Drake wyszedł na werandę. Cortez i Alice spierali się zawzięcie o metody śledcze, dlatego Phoebe postanowiła dotrzymać towarzystwa Drake'owi i wybadać, czemu jest taki markotny.

Drake stał przy balustradzie i tęsknie patrzył w dal.

- Hej, co z tobą? - spytała przyjaźnie. Spojrzał na nią i skrzywił twarz.

- Tina i ja pokłóciliśmy się.

- O co?

Drake spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Boja wiem? Mówiłem tylko, że fajnie było zaglądać do ciebie do muzeum, że strasznie dużo wiesz o historii mojego plemienia i jesteś niesamowicie inteligentna.

- No i?

- Tina ma tylko maturę - wymamrotał. - Ja też, jeśli nie liczyć zaocznych kursów. Ale ona jest wybuchowa i obrażalska. W jednej chwili przechodzi od śmiechu do złości. - Zacisnął usta i dodał uszczypliwie: - Chyba powinna wrócić do Ashville i wyjść za tego swojego gliniarza. Z tego, co od niej słyszałem, facet gołymi rękami dusi rekiny i bez mrugnięcia okiem łyka gwoździe.

- Może opowiada takie rzeczy, żebyś był o nią zazdrosny - podpowiedziała Phoebe.

Drake wybuchnął ironicznym śmiechem.

- A już mi się wydawało, że rodzi się między nami prawdziwe uczucie - powiedział jakby do siebie. - Ale ona jest o ciebie zazdrosna. Czy ten agent FBI jest jej bliskim krewnym? A może to dziesiąta woda po kisielu? Czyżby ona się w nim kochała?

- Trudno powiedzieć. Słyszałam od Corteza, że są spokrewnieni. To wszystko. - Serce Phoebe ścisnęło się boleśnie. - Skąd ci przyszło do głowy, że Tina jest w nim

zakochana?

- Ciągłe o nim mówi, znacznie częściej niż o tym policjancie z Ashville - odparł z irytacją. - Jeremiasz to, Jeremiasz tamto. Uważa go za ideał. Cokolwiek zrobię i tak mu nie dorównam. Lepiej prowadzi, mówi, nawet oddycha głębiej ode mnie.

Phoebe podeszła bliżej.

- Posłuchaj, na początku zawsze jest trudno. A może ona cię sprawdza, jak sądzisz?

Drake wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał Phoebe po głowie.

- Miła jesteś - odparł z powagą. - Mówię to bez żadnych podtekstów. Naprawdę bardzo cię polubiłem.

- Ze wzajemnością - odparła uśmiechnięta.

Drake od razu poweselał. Stali ramię w ramię tu werandzie, polni wzajemnego zrozumienia.

W ich kontaktach nie było żadnych podtekstów, ale postronnym, a zwłaszcza dwu parom ciemnych oczu patrzących z okna salonu ta scena dała wiele do myślenia.

Atmosfera jeszcze bardziej się pogorszyła, gdy do Corteza zadzwonił Bennett. Okazało się, że napadnięty mężczyzna niedawno odzyskał przytomność.

- Muszę jechać, żeby go przesłuchać - oznajmił Cortez po zakończeniu rozmowy.

- Ruszamy natychmiast.

- Teraz nie mogę! - zaprotestowała Phoebe, wskazując ręką stół i brudne naczynia. - Muszę pozmywać i schować resztę jedzenia do lodówki.

- Zostanę i potem cię odwiozę - zaproponował natychmiast Drake. - Zaczynam służbę dopiero o ósmej.

- Dzięki - odparła, uśmiechając się do niego. Dwie pary ciemnych oczu śledziły reakcję Drake'a, który nie zdawał sobie sprawy z tej obserwacji.

Alice czuła, że atmosfera się zagęszcza, więc chwyciła torebkę i kurtkę.

- Dzięki za pyszny posiłek, ale na mnie już czas. Muszę napisać raport.

- Mogłabyś zrobić sobie wolne - namawiała Phoebe. - Jest przecież Święto Dziękczynienia.

- Praca jest dla mnie najważniejsza przyznała z uśmiechem Alice. Na wszelki wypadek przyjechałam swoją furgonetką.

- Co takiego? - zdumiony Cortez szeroko otworzył oczy.

- Nigdy nic nie wiadomo, lepiej być zawsze w pogotowiu. Jeśli znajdziemy

kolejnego denata, nie będę musiała wracać do motelu po sprzęt - wyjaśniła z ponurą miną.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedziała uśmiechnięta Phoebe. - Przypomniały mi się studenckie czasy.

- Ja też się cieszę z dzisiejszego spotkania - wtrąciła Tina, biorąc na ręce małego Josepha, który zaczynał marudzić. - Musimy jechać. Dzięki za wspaniałą kolację, Phoebe.

- Miło mi, że ci smakowało - odparła Phoebe. Spochmurniała, bo nie miała pojęcia, dlaczego Tina stała się nagle wobec niej taka chłodna i powściągliwa. W dodatku wychodząc, nawet nie spojrzała na Drake'a.

Cortez odprowadził ją wzrokiem. Gdy popatrzył na Phoebe, też wydał się jej dziwnie niedostępny i obcy.

- Drake, wracając do miasta, koniecznie zawieź Phoebe do motelu. Nie może tu zostać. Morderca wciąż jest na wolności.

- Dobra, pamiętam o tym - odparł z wahaniem Drake. - Jeśli wyciągniesz coś z Bennetta i jego brygadzysty, dasz mi znać?

- Jasne, o ile dowiem się czegoś ważnego zapewnił Cortez.

Ścisnął w rękę kluczyki i minął Tinę i Josepha. Nic pożegnał się z nikim. Od razu poszedł do auta.

Phoebe ogarnęło przygnębienie. Boże, znów to samo... W sypialni Cortez był najczulszym kochankiem, lecz kiedy wkładał ubranie, stawał się chłodny i rzeczowy. Nąziła przecucie, że wyrasta między nimi mur nie do przebycia.

Drake, który obserwował ich z boku, odniósł podobne wrażenie.

- Coś nam umknęło? - zapytał, nasłuchując warkotu auta Corteza oraz furgonetki Alice.

- A bo ja wiem? - mruknęła Phoebe, biorąc się do sprzątanania.

Cortez był w podłym nastroju. Przed kilkoma godzinami on i Phoebe byli ze sobą bliżej niż większość par. Z każdym spotkaniem coraz bardziej ich do siebie ciągnęło. Każde dotknięcie rozpalalo ich zmysły. Phoebe zapadła mu w serce, miał ją we krwi, była stale obecna w jego myślach, jakby stali się jednością. Niespodziewanie poczuł się tak, jakby stracił grunt pod nogami, ale nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Phoebe miała dziwną minę, gdy wróciła z Drake'em do salonu. Jej spojrzenie wydało mu się niepokojące. Aż zaciskał pięści, kiedy o tym myślał. Czyżby odkryła nagle, że czuje coś do Drake'a? A jeśli nazbyt pochopnie uwierzył w swoja szczęśliwą gwiazdę?

Niemal wymusił na niej fizyczne zbliżenie, którego teraz być może żałowała.

- Gdzie ja miałam oczy? Jak mogłam polecieć na tego faceta? - mamrotała siedząca obok Tina. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Josepha śpiącego w dziecięcym foteliku na tylnym siedzeniu. - Tylko kretyn nie spostrzegłby, że tamci dwoje mają się ku sobie.

Cortez nie zwracał na nią uwagi. Wzrok miał utkwiony w jezdni. Nie podobał mu się wyraz twarzy Phoebe spoglądającej na Drake'a. Zdawał sobie sprawę, że potencjalny rywal jest młodszy, a poza tym często się spotykali, jadali razem obiady, mieli wspólnych znajomych. Jak bardzo się do siebie zbliżyli? Skoro Phoebe chciała być z Cortezem, dlaczego tyle czasu zaczęła nagle poświęcać Drake'owi? Może żałuje, że pod wpływem impulsu odnowiła dawną znajomość? Czyżby chciała zerwać? Szuka pretekstu i dlatego kokietuje Drake'a? Do niedawna stroniła od mężczyzn. Była kobietą z zasadami. Cortez przyznał w duchu, że uwiódł ją bez większych skrępowań, bo nie wiedział o jej braku doświadczenia.

- Czemu tak zamilkłeś? - spytała Tina.

- Pamiętaj, zamknij drzwi na klucz - mruknął, puszczając mimo uszu jej słowa. Wkrótce zaparkował przed motelem. - Nie otwieraj nikomu - dodał stanowczo. - Mamy dwa trupy. I opici nic ryzykować.

Będę ostrożna - obiecała. - Ty również uważaj - dodała mentorskim tonem. - Nie jesteś kuloodporny.

- Do zobaczenia.

Odprowadził Tinę i synka pod same drzwi, a potem odjechał.

Szpital był przepelniony. Listopadowe chłody, typowe dla górskich okolic sprawiły, że wiele osób zapadało na różne wirusowe infekcje i poważne przeziębienia.

Walks Far leżał na pierwszym piętrze. Na krótko odzyskał przytomność, ale nie powiedział ani słowa, tylko jęczał z bólu. Gdy Cortez wszedł do separatki, było tam dwoje ludzi. Miny mieli poważne. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Spojrzeli na gościa i umilkli natychmiast. Cortez zmierzył ich badawczym spojrzeniem. Jeb Bennett, właściciel firmy budowlanej, i blondynka z pieprzykiem na policzku. Jego siostra Klaudia, znana Cortezowi z fotografii stojącej na biurku brata.

Bennett zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę na powitanie. Jego dłoń była bezwładna i zimna. Wydawał się dziwnie spięty i przestraszony.

- Witam, Cortez. Jak postępy w śledztwie?

- Znaleźliśmy kolejne ciało - padła odpowiedź. Cortez spostrzegł, że blondynka

znieruchomiła na krześle, zaciskając na torebce smukłe palce o wypielęgnowanych paznokciach.

- Kolejny trup?! - zawołał Bennett.

- Tak, a przedtem znaleźliśmy stos zabytkowych i cennych eksponatów, najpewniej ukradzionych. Moi ludzie już wszystko sprawdzają. - Cortez ostrożnie dawkował informacje.

- Dziś jest Święto Dziękczynienia - przypomniał Bennett, wybuchając śmiechem. - Kto by pracował w taki dzień.

- Moja ekipa zebrała już materiał dowodowy i przeprowadziła wstępne oględziny zwłok. Ściągnęliśmy też antropologa, żeby dowiedzieć się czegoś o zabytkowych przedmiotach.

- Jak się panu udało znaleźć kogoś takiego mimo święta? - zaciekawiał się Bennett.

- To dyrektorka miejscowego muzeum. Blondynka wstrzymała oddech.

- Szczerze mówiąc, właśnie od niej wracam - ciągnął Cortez. - Zaprosiła mnie i część ekipy dochodzeniowej na świąteczną kolację.

- Uważa pan, że facet, którego zamordowano, ukradł te zabytkowe przedmioty? - zapytał Bennett.

- Wszyscy tak uważamy, ale z ostatecznymi wnioskami trzeba poczekać, dopóki nie przyjdą ekspertyzy z laboratorium medycyny sądowej.

- Jakie przedmioty znaleźliście w jaskini?

- spytała Klaudia z udawaną nonszalancją.

Cortez miał ogromne doświadczenie w przesłuchiowaniu świadków i podejrzanych, wice od razu spostrzegł, że jest mocno podenerwowana. Nie patrzyła mu w oczy.

Przede wszystkim szkielet neandertalczyka. Jest też figurka bardzo podobna do tej eksponowanej w miejscowym muzeum. Zawahał się. a potem spytał: Pani jest siostrą Bennetta. prawda?

- Owszem - przytaknął Bennett. - Ma na imię Klaudia. Walks Far jest... jej mężem - dodał z widocznym ociąganiem. Od razu spostrzegł, że Cortez nie wydaje się zaskoczony tą informacją. Nic dziwnego, przecież to agent FBI. Nie musiał długo węszyć, by ustalić fakty. Bennett jęknął bezgłośnie, bo przypomniał sobie, że w rozmowie z Cortezem uparcie twierdził, jakoby Walks Far był tylko jego brygadzystą.

- Tak, jesteśmy rodzeństwem - potwierdziła bez namysłu Klaudia. Szybko

przeszła do ataku.

- Mój mąż został napadnięty. Jak postępuje śledztwo w tej sprawie? Czy już kogoś aresztowano? - zapytała napastliwym tonem.

- Nie zajmuję się napadami - odparł Cortez.

- Moja działka to morderstwo popełnione na terenie rezerwatu Indian. W FBI zostałem przydzielony do jednostki zajmującej się przestępczością na terytoriach indiańskich. Interesują nas popełniane tam zabójstwa i przestępstwa federalne. Uczymy również lokalną policję najnowszych metod prowadzenia śledztwa. Klaudia odchrząknęła nerwowo.

- Teraz, rozumiem, dlaczego pan się tu pojawił - odparła nieswoim głosem. Ale przecież zwłoki antropologa zostały znalezione przy drodze tuż za miastem.

- Słup graniczny był przewrócony. Sądźmy, że morderca stracił orientację w terenie, więc nie miał pojęcia, gdzie dokładnie podrzuca ciało zabitego antropologa.

- Aha. Rozumiem. - Obrzuciła Corteza bystrym spojrzeniem. - Wspomniał pan o figurce, prawda?

- Owszem - przytaknął, wydymając usta. - W ubiegłym tygodniu panią Keller odwiedziła jakaś kobieta. Wspomniała o statuetce skradzionej z muzeum w Nowym Jorku. Panna Keller twierdzi, że rozpoznałaby nie tylko mężczyznę, który sprzedał jej figurkę podobną do tej skradzionej w Nowym Jorku, lecz także tamtą panią. Na razie do niej nie dotarliśmy. Okazała się oszustką. W czasie rozmowy podała nieprawdziwe dane, podszywając się pod kogoś innego.

- Coś podobnego! - Klaudia pobladła. - Aten... handlarz dzieł sztuki? Co panu... o nim wiadomo? - spytała, jękając się ze zdenerwowania.

- To oszust - odparł Cortez. - Sprawdziliśmy go. Zatrudnił się na jednej z okolicznych budów. Może chciał mieć oko na kryjówki, w której przechowywał skradzione przedmioty do czasu znalezienia nabywców. Teraz szukamy jego czarnej terenówki. Użyto jej zapewne do przewiezienia pierwszej ofiary w inne miejsce. - Zamilkł, widząc, że jego rozmówcy z każdą minutą stają się bledsi. Metoda okazała się skuteczna. Umyślnie zdradził im kilka szczegółów dotyczących prowadzonego śledztwa. Zgodnie z jego przewidywaniami oboje byli mocno poruszeni. Klaudia wydawała się jeszcze bledsza od brata.

- Teraz mamy drugiego trupa. Na podstawie zebranego materiału dowodowego łączymy go z pani mężem.

Wyraźnie zaniepokojony Bennett spojrział na siostrę.

- Walks Far leży tu bez przytomności - wtrącił z naciskiem. - Padł ofiarą brutalnego napadu. Trudno go podejrzewać o dokonanie morderstwa!

- Nic takiego nie sugerowałem - zauważył Cortez.

- Druga ofiara to kobieta czy mężczyzna? - zapytała Klaudia.

- Mężczyzna.

- Ustaliliście jego tożsamość? - wypytywała dalej.

Cortez pokręcił głową.

- Być może zdołamy ustalić jego personalia na podstawie odcisków palców albo stanu uzębienia. W tym przypadku zdjęcie denata na nic się nie przyda. Twarz ma kompletnie zmasakrowaną. Dostał kulę w tył głowy.

Bennett wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości, a jego siostra omal nie zemdląca. Cortez zmrużył oczy.

- Jeśli mają państwo jakieś informacje dotyczące tej sprawy, to właściwy moment, by je ujawnić.

Rodzeństwo wymieniło ukradkowe spojrzenia. Klaudia natychmiast wzięła się w garść.

- Na miłość boską, skąd mielibyśmy coś wiedzieć o morderstwie? - obruszyła się z lekko nieobecny wyrazem twarzy. Spojrzała na nieprzytomnego męża i ujęła jego dłoń. - Mam nadzieję, że znajdzie pan człowieka, który tak okrutnie obszedł się z moim mężem - dodała. - Oby jak najszybciej doszedł do siebie.

Pociągnęła nosem i podniosła chusteczkę do oczu, które były zupełnie suche, co nie uszło uwagi Corteza.

- Jeśli zdobędziemy jakieś wiadomości, które mogą się okazać przydatne w śledztwie, na pewno damy panu znać - oznajmił stanowczo Bennett. - Gdybyśmy teraz mogli być w czymś pomocni, jesteśmy oczywiście do pana dyspozycji.

Cortez miał asa w rękawie. Jednak aby go wykorzystać, musiał uzyskać potwierdzenie, że Phoebe dotarła bezpiecznie do motelu i jest teraz z Tiną.

- Zamierzam porozmawiać z panią Keller. Wybieram się do jej podmiejskiego domu. Rozmawiała 7. pierwsza ofiara. Podobno ma ciekawe informacje dotyczące tego handlarza dzieł sztuki. Przypomniała sobie kilka szczegółów, które mogą się okazać bardzo pomocne. Widziała też czarnego dżipa niedaleko swego domu. Sądzimy, że tym autem jeździł morderca. Phoebe Keller to cenny świadek.

Siostra Bennetta zmrużyła oczy, ale milczała, pochylona nad nieprzytomnym mężem. Z ostentacyjną troską poprawiła mu kołdrę, okrywając potężny tors.

- Gdybym mógł się na coś przydać, proszę mnie zawiadomić - powtórzył Bennett z wymuszonym uśmiechem.

- Nie omieszka - zapewnił Cortez. - W zaistniałych okolicznościach chyba się państwo nie zdziwią, że zostawiam tu policjanta. Walks Far musi mieć ochronę. Do czasu aż w sprawie pojawi się nowy trop, jest naszym głównym podejrzanym - dodał oschle, ukradkiem obserwując rodzeństwo. Ciekaw był ich reakcji. Bennett wydawał się przestraszony. Klaudia od razu się odprężyła. Cortez wiedział, że zagrywka okazała się skuteczna.

Pożegnał się i wyszedł. Idąc do auta, gratulował sobie w duchu. Zamierzał zacząć się w domu Phoebe. Przy odrobinie szczęścia sprawca albo sprawcy przestępstwa sami wpadną mu w ręce. Był przekonany, że rodzeństwo Bennettów wie znacznie więcej, niż chce powiedzieć. No i ten jasny włos znaleziony na ubraniu denata... Trzeba będzie uważnie obserwować tych dwoje.

Phoebe z pomocą Drake'a schowała do lodówki resztki jedzenia i pozmywała naczynia. Nadrabiała miną, choć była zmartwiona, bo nie mogła pojąć, dlaczego Tina zaczęła jej okazywać jawną wrogość. Z drugiej strony jednak jeśli była tylko daleką kuzynką Corteza, mogła marzyć o tym, by związać się z nim, a nie z Drakiem. W takim wypadku widziałyby w Phoebe groźną rywalkę, którą należy usunąć w cień.

Niepokojąca myśl. Tina była ładna, młoda i pochodziła z plemienia Komanczów. To mogło być szczególnie istotne dla Corteza, zwłaszcza jeśli z Phoebe łączył go jedynie udany seks.

- Lepiej już jedźmy - popędział ją Drake. - Muszę cię odwiedzić, a potem szybko przebrać się w mundur. Wkrótce zaczynam służbę.

- Wezmę tylko kurtkę i torebkę. Zaraz będę gotowa do wyjścia - odparła ze sztucznym ożywieniem.

Zamknęła drzwi na klucz. Jechali w milczeniu, nie siląc się na rozmowę. Gdy zatrzymali się pod oknem pokoju Tiny, Drake oparł ramię na zagłówek fotela Phoebe i odwrócił się w jej stronę.

- Jeśli nadarzy się okazja, spróbuj wybadać, dlaczego Tina jest na mnie wściekła, dobrze? poprosił przyciszonym głosem. Nie mam pojęcia, czym jej się naraziłem.

- Zobaczę, co da się zrobić - obiecała z uśmiechem.

Pogłaskał ją po włosach.

- Miła z ciebie dziewczyna, Phoebe - odparł przyjaźnie. Pochylił się i cmoknął ją



w policzek. - Gdyby nie pojawił się ten gość z FBI, próbowałbym cię poderwać.

- Bardzo cię lubię - przyznała - ale musisz wiedzieć, że Corteza znam od trzech lat. Nie mogłabym być z kimś innym. To ten jedyny.

- Mam pecha - mruknął Drake, tłumiąc śmiech. - Lepiej skończmy tę rozmowę, bo *zaczną* się plotki. Widziałem, że zasłona się poruszyła. - Wskazał okno pokoju Tyny.

Phoebe wysiadła. Drake odprowadził ją do samych drzwi. Zapukali. Naburmuszona Tina otworzyła, ale nie raczyła się odezwać. Joseph spał na jednym z łóżek. Tina miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Przez szparę w zasłonie widziała czuły pocałunek i była zdruzgotana.

- Kolacja była pyszna - powiedział stojący na progu Drake. - Serdeczne dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zadałaś sobie tyle trudu ciągnął nieustępliwie Drake ale tylko ja powiedziałem ci, że to doceniam.

Nie musisz mnie uczyć grzeczności oburzyła się Tina.

- Przecież nie powiedziałem, że potrzebujesz takiej lekcji. - Drake uniósł brwi.

- Idę poszukać mojej teczki. Mam tam notatki dotyczące tego handlarza dzieł sztuki - mruknęła Phoebe, tocząc wokół spłoszonym spojrzeniem. Umilkła, widząc na podłodze stos swoich rzeczy: ubrania wiszące dotąd w szafie, przybory toaletowe, a nawet walizkę.

- Ten pokój jest za mały dla dwu dorosłych kobiet i dziecka - mruknęła Tina, unikając jej wzroku. - Poproszę Jeremiasza, żeby wynajął ci osobny pokój.

Phoebe zrobiło się przykro, kiedy zobaczyła błysk gniewu w ciemnych oczach dziewczyny. Poczzerwieniała, czując się jak intruz. To oczywiste, że nie była tu mile widziana. Pomyślała o swoim domu w lesie. Tam była u siebie i nie musiała znosić podobnego traktowania. A więc to tak! Tina szalała za Cortezem i była wściekła, że ma rywalkę. Być może i on wolałby związać się z uroczą kuzyneczką. O nie! Phoebe nie zamierzała robić z siebie idiotki.

Uklękła przy stosie swoich rzeczy.

- Drake, pomóż mi, proszę, zanieść to wszystko do twojego samochodu. Podrzuć mi do muzeum. Tam przerwujemy rzeczy do mojego auta.

Tina przypomniała sobie, co powiedział Jeremiasz. Phoebe mogła być kolejną, ofiarą mordercy. Dlatego przeprowadziła się do motelu. Zazdrość to nie powód, żeby narażać na niebezpieczeństwo życie innej kobiety.

- Posłuchaj, ja przecież... Nie o to mi chodziło - zaczęła z ociąganiem.

Phoebe unikała jej wzroku. Szybko pozbierała swoje rzeczy. Po kilku minutach wszystko było już na tylnym siedzeniu auta. Usadowiła się na fotelu pasażera.

Drake zerknął na Tinę.

- Powiedz Cortezowi, że się nią zaopiekuję - poinformował chłodno. - Ze mną będzie bezpieczniejsza niż z tobą. Okazałaś się podłą żołą.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Pełna obaw Tina podbiegła do samochodu.

- Wracaj, Phoebe.

- Jadę do domu. - W niebieskich oczach błysnął gniew. Mam dość twego... kuzyna i twoich zmiennych nastrojów! Mam pistolet, umiem strzelać. Powiedz Cortezowi, że potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo. - Spojrzała na Drake'a, który właśnie wsiadał do auta. - Ruszaj wreszcie - rzuciła oschle, zapinając pasy.

Tina wołała za nią, biegnąc obok auta. Jednak Phoebe nic odwróciła głowy. Poczula się dotknięta do żywego, ale nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo cierpi.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Drake przez całą drogę do muzeum próbował odwieść Phoebe od niefortunnego pomysłu, ale nie chciała go słuchać. Gdy zatrzymali się na parkingu, wyjęła z torebki klucze, otworzyła auto i w milczeniu przeniosła swoje rzeczy.

- Przecież to szaleństwo! - pieklił się Drake, machając ramionami, - Robi się ciemno. A co, jeśli spadnie śnieg? Nie możesz zostać całkiem sama, skoro morderca jest na wolności. Nie zapominaj, że zabił już dwóch ludzi!

- Spokojna głowa. Nauczyłeś mnie strzelać - odparła ze złością. - Poradzę sobie.

- Aleja raczej nie - mruknął Drake. - Cortez obedrze mnie ze skóry, jeśli coś ci się stanie. Tina będzie następna w kolejce!

- Tamtych dwoje coś łączy - odparła chłodno Phoebe. - To oczywiste, że ona chce go mieć tylko dla siebie - dodała. - Może wcale nie są spokrewnieni? To by tłumaczyło, dlaczego tak bardzo pragnęła się mnie pozbyć. A jeśli Cortez uznał w końcu, że nie Jestem w jego typie? Dziś prawie się do mnie nie odzywał. Drake skrzywił się.

- Nie przeczę, oni coś kombinują za naszymi plecami, ale to nie znaczy, że masz ryzykować życie.

- Nic mi nie będzie - upierała się. Westchnął głęboko, sięgnął po portfel i wyjął swoją wizytówkę.

- Tu masz numer telefonu na posterunek. Zadzwoń, a oni natychmiast mnie odszukają.

- Naprawdę miły z ciebie gliniarz - zapewniła z uśmiechem.

- Uważaj na siebie. Nie podoba mi się, że zostaniesz na tym odludziu całkiem sama. Powinnaś raczej wynająć pokój w motelu...

- Nie ma mowy. Chcę być jak najdalej od Tiny i Jeremiasza - wpadła mu w słowo.

- Wiesz co? A może zadzwonisz do Alice. Potrafi strzelać...

- Wykluczone! Przetrzęsnęłaby cały dom w poszukiwaniu śladów wymyślanego przestępstwa. - Phoebe wybuchnęła śmiechem. - Zamierzam się porządnie wyspać. Jutro z samego rana muszę być w pracy. Zapowiedziała się duża wycieczka emerytów z Florydy.

- Oby ich tylko nie zatrzymała śnieżycy.

- Nasze służby miejskie są dobrze przygotowane do zimy. Pług śnieżny i

piaskarki czekają. w pogotowiu - odparła Phoebe - Dzięki za pomoc, Drake.

Podeszła do drzwi auta i otworzyła je.

- Co mam powiedzieć Cortezowi, gdy z nożem w ręku przyjdzie mnie oskalpować? spytał zrezygnowanym tonem.

- Wymyśl coś. Na przykład że przystawiłam ci pistolet do skroni i zmusiłam do bezwzględności posłuszeństwa.

Bezradnie pokiwał głową. Kiedy odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód, miał złe przeczucia. Natychmiast wyjął komórkę i zadzwonił do Corteza, ale nie udało mu się z nim połączyć. Poczta głosowa także nie działała. Przygnębiony Drake wsiadł do samochodu i ruszył do swego mieszkania, żeby przebrać się w mundur.

Ledwie przyjechał na posterunek, pospieszył do swego szefa. Musiał zamienić z nim kilka słów.

Phoebe ostrożnie podjechała pod swój dom. Gdy podchodziła do drzwi, zastanawiała się, czy morderca rzeczywiście upatrzył ją sobie na kolejną ofiarę. Być może, ale wolała takie niebezpieczeństwo od bezpodstawnej wrogości Tiny.

Szybko zaryglowała za sobą drzwi i sprawdziła, czy tylne wejście oraz wszystkie okna są zamknięte. Następnie pobiegła do sypialni, zdjęła pościel i wrzuciła ją do pralki. Wspomnienia sprawiły, że w tym pokoju czuła się nieswojo.

Usiadła na kanapie w salonie i włączyła telewizor. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Miała nadzieję, że to Cortez chce się wytłumaczyć z dziwnego zachowania.

- Mówi Drake - dobiegł ją ze słuchawki znajomy głos. - Przed chwilą rozmawiałem z komendantem. Przenocuję u ciebie na kanapie, a w dzień, kiedy pojedziesz do muzeum, wrócę na służbę - oznajmił stanowczo. - Szeryf zgodził się ze mną, że do czasu złapania mordercy twoje życie jest zagrożone. Zgodził się też tak ułożyć mój grafik, bym mógł cię pilnować.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - zapewniła szczerze. Obawiała się, że gdy Cortez dowie się o wszystkim, zmusi ją do powrotu do motelu. Miał wybujałe poczucie odpowiedzialności, więc chroniłby jej życie za wszelką cenę.

- Skoro nasi ukochani krzywo na nas patrzą - mruknął ironicznie - musimy się wspierać.

- Zgadza się - odparła z uśmiechem. - Mam pokój gościnny. Możesz tam spać. Dzięki, Drake.

- Przyjacielska przysługa - odparł. - Przyjadę za pół godziny.

- W porządku.

Phoebe odłożyła słuchawkę i zabrała się do sprzątanania.

Cortezowi nie podobał się wyraz twarzy Klaudii, a zwłaszcza jej mina niewiniątka. Dlaczego Bennett nic wspomniał, że Walks Far jest jej mężem? Kto był sprawcą napadu? Czy Klaudia miała jakieś podejrzane kontakty?

Tyle pytań bez odpowiedzi. Antropolog, który znalazł w jaskini szkielet neandertalczyka, przyplącił to życiem. Ten sam los spotkał drugiego mężczyznę o nieustalonej tożsamości. Czy Walks Far miał z tym coś wspólnego? Czy wiedział o lupach ukrytych w jaskini? Może wraz z drugą ofiarą przyłapał złodzieja i dlatego został pobity, a towarzyszący mu mężczyzna stracił życie? W takim razie po co morderca zaciągnął pobitego do przyczepy, zamiast od razu zabić? Przecież gdyby Walks Far przeżył, złożylby zeznania obciążające swego prześladowcę. Nasuwały się kolejne pytania. Kim był drugi denat i co miał wspólnego z ukrytymi przedmiotami?

Należało przeprowadzić drobiazgowo śledztwo, żeby wyjaśnić wszystkie niejasności. Tymczasem jednak Phoebe groziło coraz większe niebezpieczeństwo. W motelu był w stanie ją chronić. Poprosił również miejscową policję o ochronę dla męża Klaudii. To zminimalizuje zagrożenie, póki ranny nie może zeznawać.

Znów pomyślał o Phoebe. Nadal wściekał się z powodu jej krótkiego sam na sam z Drakiem. Wtedy na werandzie tamci dwoje sprawiali wrażenie, jakby coś ich łączyło. Cortez nabrał podejrzeń. Tina również siata się nieufna. To pewne, że z powodu Drake'a była zazdrosna o Phoebe. Tyle nieporozumień i niejasności. Zapowiadał się niezbyt przyjemny wieczór.

Gdy Cortez wrócił do motelu, Tina natychmiast otworzyła drzwi i gestem dała mu znak, żeby wszedł do jej pokoju. Od razu pomyślał, że coś się stało Josephowi, ale chłopiec siedział pośrodku wielkiego łóżka otoczony mnóstwem zabawek.

Tina płakała. Oczy miała czerwone, powieki spuchnięte. Wyglądała okropnie.

- Co ci jest? - zapytał, rozglądając się po pokoju. - Gdzie jest Phoebe?

- U siebie w domu - odparła posępnie Tina.

- Jak mogłaś jej na to pozwolić? - wybuchnął oburzony. Natychmiast wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

Tina otworzyła usta, żeby mu wszystko wyjaśnić, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Czuli się winna.

Dopiero po kilku sygnałach podniesiono słuchawkę.

- Halo?

Cortez osłupiał. To nie był głos Phoebe, tylko... Drake'a!

- Do jasnej cholery, co tam robi Phoebe?

1 dlaczego ty u niej jesteś? - wybuchnął Cortez.

- Spytaj Tinę - odparł lodowatym tonem Drake. - A jeśli chodzi o mnie, pilnuję Phoebe.

Musi mieć ochronę, dopóki nie złapiemy mordercy... albo morderców.

Cortez popatrzył na Tinę, która spłoszyła. Przyjadę po Phoebe i zabiorę ją tutaj - oznajmił natychmiast.

- Nie pojedzie - uznał Drake. Tina wyrzuciła ją z pokoju. Nie ma szans, żeby Phoebe schowała do kieszeni swoją dumę i zgodziła się tam wrócić. Powiedz kuzynce, że mam dość rywalizowania z tobą. Wolna droga! Niech ci wreszcie padnie w objęcia i w ogóle...

- Do wszystkich diabłów! O co tu chodzi?

- pieklił się Cortez.

- Już powiedziałem. Zapytaj Tinę. Aha, dziś w nocy nie Jestem na służbie. Gdybyś potrzebował wsparcia, dzwoń na posterunek.

Połączenie zostało przerwane. Cortez stanął z Tiną oko w oko i spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

- No dobra - rzucił oschle. - Mów! O co chodzi?

Tina przygryzła dolną wargę. Znowu miała łzy w oczach.

- Drake i Phoebe strasznie długo siedzieli w samochodzie. Gadali i śmiali się, aż mnie to zgniewało. Straciłam cierpliwość. Wyrzuciłam jej rzeczy na podłogę, a gdy wreszcie przyszła, wspomniałam coś o dodatkowym pokoju... że niby ten jest dla nas obu za ciasny. - Tina nagle posmutniała, bo ogarnęło ją zakłopotanie. - Zabrała swoje rzeczy i wyszła. Drake obiecał podwieźć ją do muzeum, gdzie zaparkowała swoje aulo. Próbowałam ją zatrzymać - dodała pospiesznie. - Drake był taki opryskliwy.

Cortez patrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- Morderca pozostaje na wolności. Phoebe jest teraz jego głównym celem. Drake to świetny, ale miody i niezbyt doświadczony policjant. Phoebe może przypłacić to życiem.

Tina wybuchnęła płaczem.

- Wiem. Jestem okropna! Co ja narobiłam? Cortez westchnął przeciągle, zaklął cicho, objął ją i utulił.

- Ja go kocham, a on stale mówi o niej. Phoebe to, Phoebe tamto. Jest nią

oczarowany. Może ze wzajemnością? Stanowczo zachowują się nazbyt poufale jak na dwoje ludzi, którzy podobno są tylko przyjaciółmi. Całowali się, siedząc w aucie. I ten czuły uścisk!

Spostrzegł tę zażyłość, ale wzmianka o pocałunku była dla niego zaskoczeniem. Poczul się podle. Tina nie miała pojęcia, jak bardzo cierpiał, bo jeszcze się nie zorientowała, co łączy go z Phoebe. Teraz, gdy Drake nocował u Phoebe, Cortez nie mógł już bez uszczerbku dla swej dumy zwierzyć się kuzynce z sercowych kłopotów. Za nic w świecie nie przyznałby się, że wyszedł na głupca.

- Co robimy? - zapytała.

- Idziemy spać - odparł. - Jutro zobaczymy. - Jeżeli coś jej się stanie, nigdy sobie nie wybaczę. - Tina otarła łzy.

Cortezowi serce ścisnęło się boleśnie.

- Skoro Drake postanowił zostać tani na noc, będzie dobrze odparł Cortez, choć te słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

- Ale Drake musi rano wrócić do pracy - jęknęła.

- Od poniedziałku do soboty Phoebe spędza większość czasu w muzeum, a jeśli chodzi o niedziele, pogadam z Drakiem i coś wymyślimy.

Tina podniosła na niego załzawione oczy.

- Może ją poprosisz, żeby wróciła. Obiecuję, że nie będę już sprawiać kłopotów.

- Zaciśnięte usta przypominały wąską kreskę. - Właściwie cóż ona winna, że Drake woli ją ode mnie?

Cortez milczał. Miał dość kłopotów i nie potrzebował nowych.

- Phoebe nic się nie stanie.

- Na pewno - zgodziła się skwapliwie. Pomimo tych zapewnień żadne z nich w to nie uwierzyło.

Phoebe przygotowała posiłek dla Drake'a. Prawie do północy oglądali razem telewizję. Trudno się dziwić, zważywszy na okoliczności, że żadne nie było senne, ale w końcu znużenie okazało się silniejsze od niepokoju, więc położyli się spać.

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu Phoebe poczuła miła woń jajecznicy i smażonego bekonu. Drake szykował śniadanie. Kiedy usiedli do stołu, uśmiechała się raz po raz, rozczulona jego opiekuńczością. Ubrała się i ruszyła do pracy. Czuała się bezpieczna, bo Drake jechał za nią przez całą drogę. Pożegnali się dopiero przed drzwiami jej gabinetu. Drake spieszył się do pracy.

Phoebe była trochę rozczarowana, że Cortez nie zadzwonił ani wieczorem, ani

rano, by sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Z drugiej strony jednak nie robiła sobie wielkich nadziei, że się do niej odezwie, bo nie rozstali się jak przyjaciele. Zresztą Bóg jeden wie, jakich głupstw naopowiadała mu Tina. Nagle przypomniała sobie, że na pożegnanie Drake cmoknął ją w policzek. Dla osoby obserwującej ich z boku przez szparę między zasłonami mogło to wyglądać na namiętą pieszczotę. Tina zapewne opowiedziała o tym Cortezowi. Może uśmiechali się, wspominając minione błędy i nieporozumienia, a potem doszli do wniosku, że są sobie przeznaczeni. Trzeba zapomnieć o przeszłości. Phoebe musiała bezpowrotnie zamknąć tamten rozdział życia. Należało jak najszybciej przywyknąć do tej myśli. Zamiast rozdrapywać rany, powinna na siebie uważać i mieć oczy dookoła głowy, bo morderca wciąż był na wolności, a ona przez nieostrożność wyaplała, że jest w stanie rozpoznać oszusta handlującego dziełami sztuki.

Współpracownicy zostały prawdopodobnie uprzedzone o grożącym Phoebe niebezpieczeństwie. Zarówno Marie jak i Harriet zaglądały do niej co kilka minut.

Wycieczka seniorów zjawiała się o dziesiątej. Phoebe sama oprowadziła ich po muzeum, żeby nie siedzieć w gabinecie, bo raz po raz przypominały jej się namiętne pocałunki Corteza. Problem w tym, że wszystko jej o nim przypominało.

Cortez umyślnie nie zaglądał do muzeum. Gdy usłyszał od Tiny, że Phoebe pozwoliła Drake'owi na pocałunek, bardzo ucierpiała jego próżność. Chętnie spróbował Drake'a, ale nie chciał pogarszać sytuacji.

Z samego rana pojechał do szpitala, żeby sprawdzić, jak czuje się Walks Far. Nadal był nieprzytomny, ale tym razem nie miał gości. Może Bennett i żona czuwali przy nim przez całą noc.

Z raportu policjanta pilnującego pokoju wynikało jednak, że od wczoraj nikt nie odwiedzał rannego. Idąc do auta, Cortez zastanawiał się, co to może oznaczać. Zwykle bliscy czuwają przy chorym. Gdyby Tina, Joseph albo inne osoby z jego najbliższej rodziny trafiły do szpitala, nie ruszyłyby się stamtąd na krok.

Z kabiny telefonicznej w holu zadzwonił do Alice Jones.

- Masz coś? - zapytał.

- Personalia denata i jego odciski palców - odparła z ożywieniem. - Pociągnęłam za odpowiednie sznurki. Odświeżyłam stare znajomości - dodała, wyczuwając jego zdziwienie.

- Facet nazywał się Fred Norton. Miał uprawnienia do handlu dziełami sztuki, ale nie trafiłam na nikogo, kto z nim współpracował w tej branży. Kilka dni temu



zatrudnił się na budowie niejakiego Paula. Był notowany, a jego kartoteka pęka w szwach. Znajdziesz tam wszystko, od drobnych kradzieży po napad z bronią w rękę. Zadzwoiłam do Phoebe i dowiedziałam się, że facet, który sprzedał jej figurkę, nazywał się Frank Norton. Pamiętasz, jak wspominała o blondynce, która złożyła jej wizytę w muzeum?

Cortez ożywił się natychmiast.

- Wszystko zaczyna się wreszcie układać w sensowną całość. To musi być brakujące ogniwo. W czasie pierwszego przesłuchania Bennett zataił, że Walks Far to jego szwagier i że facet siedział w pudle - myślał na głos.

- Prawdę mówiąc, udawał, że ledwie go zna.

- No cóż, akcja się zagęszcza - westchnęła.

- A ten jasny włos i puder...

- Walks Far ożenił się z siostrą Bennetta - wpadł jej w słowo Cortez. - Ona jest blondynką.

- Coś takiego!

zrobimy test DNA pobranego z, włosa. Jestem pewny, że to nas doprowadzi do Klaudii Bennett. - Zmrużył oczy. Wzrok utkwiał w ścianie przed sobą. - Powiedzmy, że Walks Far i jego żona śledzili Nortona. Poszli za nim do jaskini, odkryli kryjówkę, pomyszkowali trochę i znaleźli skradzione przedmioty. Norton ich na tym przyłapał. Doszło do walki i Walks Far zastrzelił faceta.

- Jak dotarł do przyczepy? Przecież wcześniej został napadnięty i stracił przytomność - powiedziała Alice.

- Nie rozwalaj moich hipotez - zirytował się Cortez.

- Muszę, bo są pozbawione logiki. A może Walks Far i jego pani szukali kryjówki, bo chcieli gdzieś bezpiecznie przechować zrabowane przedmioty. Złodziej ich zaskoczył. Doszło do bójki. Walks Far dostał od złodzieja w głowę, ale zdołał go zastrzelić, nim zemdłał. Żona wtaszczyła go do samochodu, a potem zaciągnęła do przyczepy. Zostawiła zapalone wszystkie światła, żeby zaniepokojony patrol sprawdził, co się dzieje.

- Całkiem nieźle - pochwalił Cortez.

- Z tego wynika, że Walks Far może być mordercą.

- Załatwiłem, żeby gliniarze pilnowali go w szpitalu. Jeszcze nie odzyskał przytomności.

- Zmarszczył brwi. - Polecę również na wszelki wypadek śledzić siostrę

Bennetta. Prawdopodobnie tkwi w tym po uszy. Phoebe wspomniała, że rzekoma nauczycielka, która odwiedziła ją w muzeum, była wysoką blondynką z pieprzykiem na policzku, ubraną w markowe ciuchy. Ten rysopis pasuje do Klaudii Bennett.

- Mamy więc męża oraz kochanka i współnika w jednej osobie?

- Może.

Cortez przypomniał sobie rozmowę z Cortlandem, który powiedział, że Norton zatrudnił się u niego, przepracował parę dni i odszedł.

- Czym jeździł ten Norton? - spytał natychmiast. - Może czarnym dżipem?

- Skąd mam wiedzieć? Nie Jestem wróżką - odparła Alice. - Ciesz się, że zdołałam ustalić personalia denata na podstawie jego odcisków palców. Aha, niedawno rozmawiałam z Phoebe. Wydawała się dziwnie przygnębiona. Czy wy się pokłóciliście?

- Tak jakby - rzucił oschle. - Szukaj dalej. Sprawdź, czy ten Norton miał czarną terenówkę. Mógł ją od kogoś pożyczyć.

- Spróbuję, choć obawiam się, że niewiele zdziałam, bo musiałabym pogrzebać w dokumentach i bazach danych, a większość urzędów jest dzisiaj zamknięta. Ludzie jeszcze świętują, tylko ja nie mam wolnego...

Cortez odłożył słuchawkę.

Wiedziony przecuciem wrócił do motelu. Cmoknął Josepha w policzek i z roztargnieniem pomachał Tinie, która wciąż była pomna i osowiała. Natychmiast zadzwonił do policyjnego nadzoru ruchu drogowego. Podał informacje dotyczące Freda Nortona i czekał na cud. Daremnie. Facet miał zwykłego sedana. Cortez podziękował kolegom z drogówki i przerwał połączenie.

Po raz kolejny zabrnął w ślepią uliczkę, ale nie poddał się. Doszedł do wniosku, że powinien bardziej przycisnąć Bennetta i sprawdzić, co z tego wyniknie. Nim ruszył na budowę, zadzwonił na posterunek i poprosił o listę mieszkańców miasta oraz najbliższej okolicy jeżdżących czarnymi dżipami.

Cortez tęsknił za Phoebe i bardzo chciał z nią porozmawiać, lecz chwilowo dochodzenie było ważniejsze. Handlarz dzieł sztuki został zamordowany, a morderca wciąż zagrażał Phoebe, która za dużo wiedziała. Cortez musiał go złapać, nim tamten znajdzie sposobność, żeby znów ją zaatakować. Potem jakoś się dogadają. Wbrew słowom Tiny, która twierdziła, że Phoebe całowała się z Drakiem, nie wierzył, aby mogła zakochać się w innym mężczyźnie i szukać z nim zbliżenia. Takie zachowanie w ogóle do niej nie pasowało. Nie ulegało wątpliwości, że jest trochę staroświecka. Kiedy

to sobie uświadomił, od razu zrobiło mu się lekko na sercu. Na pewno się pogodzą. Był o tym przekonany. A tymczasem powinien schwytać mordercę. I to szybko.

Niedziela dłużyła mu się okropnie, bo wszystkie urzędy stanowe i federalne były pozamykane, więc nie mógł nic załatwić ani uzyskać żadnych informacji. Tina marudziła i chwilami popłakiwała, ale nie zaniedbywała małego Josepha. Wiele by dała, żeby pogodzić się z Phoebe.

W poniedziałek udało się wreszcie Cortezowi ustalić tożsamość zamordowanego antropologa. Zgodnie z jego przypuszczeniem pochodził z Oklahomy, ale od pewnego czasu wykładał na Uniwersytecie Stanowym Karoliny Północnej. Nazywał się Dan Morgan i był profesorem antropologii. Od kilku dni nie dawał znaku życia. Okazało się jednak, że nie ma żadnych krewnych. Z pewnością nie przyjechał z córką. Phoebe zeznała, że w pewnym momencie dobiegł ją stłumiony damski głos. Antropolog zawołał, że dzwoni do córki. Może użył podstępu, by kogoś wprowadzić w błąd i ukryć, z kim naprawdę rozmawia.

Asystentka profesora rozpląkała się na wieść o jego śmierci, ale szybko odzyskała równowagę. Przypomniała sobie, że wybierał się do Chenocetah na spotkanie z kuzynem pracującym u przedsiębiorcy nazwiskiem Bennett. Ten krewny nazywał się Walks Far.

Cortez był w siódmym niebie. Luźne wątki śledztwa łączyły się nareszcie w spójną całość. Podziękował asystentce, złożył jej wyrazy współczucia z powodu śmierci szefa i zakończył rozmowę. Zaklął paskudnie. A zatem Walks Far kłaniał, zapewniając, że nie znalazł pierwszej ofiary. Wychodzę, ale postaram się szybko wrócić poinformować Tinę. Cmoknął Josepha w policzek i tulił go przez chwilę. Muszę jechać do szpitala i sprawdzić, co się dzieje z tym pobitym, który zapadł w śpiączkę.

- Rozmawiałaś z Drakiem? - zapytała, unikając jego wzroku. Spoglądał na nią tak długo, aż popatrzyła mu w oczy.

- Skąd ci przyszło do głowy, że Phoebe z nim kręci?

- Ciągłe się do niego uśmiecha, zagaduje. On ją podziwia - mamrotała gniewnie. - Są tacy... zaprzyjaźnieni! Ostatnio chodziła jak zaczarowana. Wypisz, wymaluj zakochana kobieta. - Tina spochmurniała. - To pewne, że jest z Drakiem.

Cortez uniósł brwi.

- Owszem, zakochała się, ale nie w nim.

Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Natychmiast domyśliła się, co chciał przez to powiedzieć.

- Jak mogłam się tak pomylić!

- Zakochałaś się w Drake'u, prawda?

- Tak - przyznała i zagryzła wargę. - Ale on wciąż mówił o niej.

- Dlaczego... Tina niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Kiedy zorientowałam się, jak wysoko ją ceni, zaczęłam wychwalać ciebie...

Bardzo często. Wkrótce Drake zrobił się dziwnie milczący i obojętny. Przestał dzwonić. Doszłam do wniosku, że woli Phoebe.

Może nic wie, że jesteśmy bardzo blisko spokrewnieni próbował ją pocieszyć.

- Wspomniałam o tym.

- Ale nie dodałaś, że jesteśmy stryjecznym rodzeństwem, prawda? - zapytał.

- No nie - odparła po chwili namysłu.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił, głaszcząc ją po policzku. - Daliśmy się zwieść pozorom, wyciągając błędne wnioski, ale kiedy się teraz nad tym zastanawiam, Jestem stuprocentowo pewny, że Phoebe wcale nie zależy na Drake'u.

Tina natychmiast poweselała.

- W takim razie jest nadzieja... - Nagle umilkła. - Co ja narobiłam! Ona nigdy mi tego nie wybaczy. Drake też jest na mnie wściekły.

- Zapewniam cię, że wszystko się ułoży. Przede wszystkim trzeba jednak schwytać mordercę. Siedź tu z Josephem i nikomu nie otwieraj. Jasne?

Tina kiwnęła głową.

- Uważaj na siebie - powiedziała. - Co ja bym zrobiła bez stryjecznego brata?

- Jestem kuloodporny. Słowo daję. No to do zobaczenia - odparł z uśmiechem.

- Cześć. Wszedł i zamknął drzwi na klucz.

Walks Far odzyskał przytomność. Rozmawiał z Bennettem stojącym obok jego łóżka. Obaj byli wymizerowani i zbici z tropu. Na widok Corteza wyraźnie pobledli.

Wszedł do separatki i zamknął za sobą drzwi. Mocno poirytowany podszedł do obu mężczyzn.

- Gdzie pańska siostra? - zwrócił się do Bennetta.

Bennett westchnął ciężko.

- Nie mam pojęcia - rzucił oschle.

- Na moje wyczucie zwiewa w stronę granicy - odparł słabym, łamiącym się głosem Walks Far. Popatrzył na Corteza. - Pan już wszystko wie, prawda?

- Domyślam się, że pan i pańscy bliscy jesteście zamieszani w podwójne morderstwo. - Zmrużył oczy. - Będzie wam lżej na sercu, jeśli pomożecie mi wyjaśnić

sprawę. Doskonale wiecie, że prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw.

Walks Far odetchnął głęboko na znak kapitulacji. A Bennett kiwnął głową, ponaglając go do mówienia.

- Żona kombinowała za moimi plecami z jednym handlarzem dzieł sztuki. Facet nazywał się Fred Norton. Poznałem go w więzieniu. Pomogła mu obrabować muzeum w Nowym Jorku. Łup ukryli w jaskini na terenie należącym do Yardleya. Norton zatrudnił się u Corlanda, żeby z daleka pilnować zdobyczy. Gdy Corland wylał go z roboty, zaczepił się u Yardleya.

- Od początku wiedział pan o łupie. Walks Far skrzywił się, dotykając ręką obolałej głowy.

- Nie tym razem. Fred mieszkał u nas po tym, jak obaj wyszliśmy z więzienia. Klaudia od pewnego czasu zniknęła na długie godziny. Gdy Fred wyprowadził się od nas, dostałem tu pracę, więc zmieniliśmy adres. Nie szykowała żadnego skoku, a raczej nie zdradziła się, że szykuje.

- O czym pan mówi? - zdziwił się Cortez. Bennett i Walks Far wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie warto dłużej tego ukrywać - odparł Bennett z rezygnacją w głosie i przysiadł na brzegu łóżka. - Moja siostra jako szesnastolatka została po raz pierwszy aresztowana pod zarzutem kradzieży. Wypłaciłem odszkodowanie właścicielowi, w zamian za wycofanie oskarżenia. Ale to nie koniec. Podczas wystawy chińskiego rękodziela zwinęła bezcenną figurkę oraz równie wartościowy naszyjnik z jadeitu. Tym razem nie stać mnie było na odszkodowanie, więc Walks Far wziął winę na siebie, byle tylko nie poszła do pudła.

- *To wyjaśnia*, dlaczego figuruje pan w rejestrze skazanych - powiedział Cortez. Walks Far kiwnął głową.

- Wyszła za mnie na krótko przed dokonaniem kradzieży. Sadziłem, że coś do mnie czuje. Chyba rzeczywiście tak było. póki nie spotkała Freda. Mieszkał u nas parę miesięcy.

- W tym czasie ukradła z muzeum biżuterię - podjął opowiadanie Bennett. Postanowiłem, że nie będę jej dłużej ochraniać. Dostała wyrok w zawieszeniu. Postanowiła się zemścić, więc zatrąła jeden z miejscowych strumieni toksycznymi substancjami i tak pokierowała sprawą, by podejrzenie padło na mnie. Dlatego i na mnie ciąży wyrok.

- Obaj się dla niej poświęciliśmy, ale nic dobrego z tego nie wynikło - dodał z

goryczą Walks Far. - Wszystkiego było jej mało. Chciała mieć eleganckie ciuchy, kosztowną biżuterię, luksusowe auta. Uwielbiała dreszczyk emocji towarzyszący kradzieży. Nie mogłem spełnić jej marzeń. Fredowi najwyraźniej się udało.

- Przyszedł do Phoebe i sprzedał jej zabytkową figurkę - wyjaśnił Cortez. - To zdarzenie było zapewne niczym przysłowiowy kamyczek uruchamiający lawinę zdarzeń. Skończyła się ich sielanka. Szybka sprzedaż łupów po spektakularnej kradzieży grozi wpadką.

- Dowiedziałem się, gdzie ukryli zrabowane przedmioty i zadzwoniłem do kuzyna, żeby przyjechał jej obejrzyć. Nie powiedziałem mu, że to eksponaty skradzione z muzeum, biedny Dnu wpadł w euforię. Bał się, że inwestorzy będą próbowali zataić znalezisko, by nie dopuścić do wstrzymania budowy. Nie miał pojęcia, w czym rzecz, a kiedy zaczął kojarzyć fakty... było już za późno dodał stłumionym głosem Walks Far. Przechodził życie. Nie miałem pojęcia, że moja żona jest zamieszana w tę kradzież. Przeszukiwałem kolejno jaskinie położone na tyłach wszystkich trzech budów. Przed jedną z nich zauważyłem auto Freda - wyjaśniał. - Gdy na moją prośbę Dan oglądał znalezione przedmioty, ktoś go na tym przyłapał. Pewnie Fred, który z zimną krwią zabił niewygodnego świadka.

- Według nas do morderstwa doszło w motelu. Fred zapewne wiedział, że Dan znalazł łup. Zamordował go, a ciało porzucił na poboczu polnej drogi - wyjaśnił Cortez. - Nie zorientował się, że to już teren rezerwatu. Gdy zbrodnia wyszła na jaw, wezwano FBI. To musiała być dla niego przykra niespodzianka. A jak zginął Fred? Kto pana uderzył? - wypytywał Cortez.

Walks Far obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Nie powiem panu, kto mnie walnął i w jaki sposób dotarłem do przyczepy na budowie. Miałem dziwny telefon. Nieznajomy głos poinformował mnie, że zabytkowe przedmioty zostaną zabrane z jaskini na terenie Yardleya. Natychmiast tam pojechałem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Z latarką wszedłem do jaskini i..., nic więcej nie pamiętam. Ocknąłem się w szpitalu. Nie wiem, kto zabił Freda.

- Mamy pewne podejrzenia - wtrącił posepnie Bennett.

Myślę, że to Fred mnie uderzył, ledwie wszedłem do jaskini. Zamierzałem sprawdzić, czy łup nadal tam leży, a potem wezwać policję - opowiadał Walks Far. - Zrobiłem parę kroków i straciłem przytomność. - Z ponurą miną rozejrzał się po szpitalnej separacie.

- Według pana to siostra zamordowała Freda - podsumował Cortez, zwracając

się do Bennetta, a ten z ociąganiem pokiwał głową.

- To jedyne przekonujące wyjaśnienie. Powiedziała niedawno, że mężczyznom nie można ufać i woli wszystko załatwiać sama. - Popatrzył Cortezowi prosto w oczy. - Mam nadzieję, że ktoś ochrania pannę Keller - dodał. - Klaudii wymknęło się niechcący, że była w muzeum, bo chciała się wywiedzieć, co i jak. Zobaczyła figurkę i napomknęła pannie Keller o kradzieży. Podobno panna Keller odparła, że potrafiłaby zidentyfikować Freda. Kiedy to usłyszałem, nie bardzo wiedziałem, dlaczego tak ją to niepokoi, ale teraz wszystko stało się jasne. Panna Keller mogłaby wskazać Freda jako nieuczciwego kontrahenta, ale rozpoznałaby też Klaudię, wiążąc ją jednocześnie z kradzieżą i paserstwem.

Jeśli moja siostra zabiła Freda, bez skrupułów ponownie naciśnie spust, żeby się pozbyć niewygodnego świadka.

Cortez był przerażony. Sam przecież dodatkowo pogorszył sprawę, ujawniając szczegóły dochodzenia w rozmowie z Bennettem i jego siostrą. Ale wtedy zakładał, że Phoebe jest bezpieczna w motelu.

- Będę zeznawać przeciwko siostrze, tylko niech pan ją złapie, nim popełni kolejne tragiczne głupstwo - poprosił z powagą Bennett.

- Jak zginął Fred? - spytał z ciekawością Walks Far.

- Od strzału w głowę z bliskiej odległości. Sądzymy, że pańska żona doprowadziła do sytuacji, w której musiał się pochylić, i wtedy go zastrzeliła.

Walks Far uznał tę hipotezę za bardzo prawdopodobną.

- Jest gotowa na wszystko, byle nie trafić do pudła. Więzienie ją przeraża. Z drugiej strony perspektywa kary nigdy nie odwiodła jej od łamania prawa. - Potrzęsął się i skrzywił twarz, czując ból. - Popełniłem błąd, kiedy wziąłem na siebie jej winę. Gdyby musiała ponieść konsekwencje swoich czynów, być może sprawy przybrałyby inny obrót. A tak mamy dwa trupy.

- Tym razem nawet taki gest nie wystarczyłby do oczyszczenia jej z zarzutów - powiedział stanowczo Cortez i podszedł do drzwi. - Mam w tej sprawie tyle poszlak, że spokojnie mogę wystąpić o nakaz aresztowania i zamierzam jak najszybciej go uzyskać.

To jedyne sposób - zgodził się Bennett.

Proszę wybaczyć, że dotąd pana zwodziłem. Klaudia to moja jedyna krewna - dodał chłodno.

Cortez wspomniał Izaaka raz po raz wchodzącego w konflikt z prawem, co w

końcu kosztowało go życie.

- Rozumiem to lepiej, niż pan sądzi.

- A ja przepraszam, że podczas naszej pierwszej rozmowy nie wspomniałem o pokrewieństwie łączącym mnie z Danem - wtrącił skruszony Walks Far. - Obawiałem się, że ściągnę na siebie podejrzania. Chciałem sam wybadać, co jest grane, nim zwrócę się z tym do władz.

Cortez kiwnął głową.

- Dobrze, że nareszcie wszystko sobie wyjaśniliśmy. Odezwę się za parę dni.

Wkrótce był już w budynku sądu okręgowego. Powiedział prezesowi, czego dotyczy śledztwo i przedstawił zgromadzone dowody. Bez trudu uzyskał nakaz aresztowania. Sędzia uznał, że Klaudia powinna trafić za kratki.

Po wyjściu z jego gabinetu zadzwonił na posterunek i poprosił do telefonu Drake'a.

- Strzeż Phoebe jak oka w głowie - powiedział, gdy tamten odebrał telefon. Mam nakaz aresztowania siostry Bennetta pod zarzutem zamordowania Freda Nortona. Chodzi o faceta podającego się za właściciela galerii, który sprzedał miejscowemu muzeum kradzioną figurkę. Phoebe jako jedyna może potwierdzić tożsamość Nortona oraz Klaudii, a także związek tych dwojga z morderstwami. Jej życie będzie zagrożone, póki Klaudia nie znajdzie się w areszcie.

- Próbowałem się z tobą skontaktować. Mam ważną informację. Siostra Bennetta jeździ czarnym dżipem. Ma opony z uszkodzonym bieżnikiem.

Cortezowi serce podeszło do gardła.

- Phoebe jest teraz w muzeum, prawda? Drake jęknął rozpaczliwie.

- Między innymi dlatego próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Mówże wreszcie! - niecierpliwił się Cortez.

- Pół godziny temu Phoebe zostawiła mi wiadomość. Wyszła z pracy godzinę wcześniej i pojechała do siebie, żeby przyciąć róże. Jest tam sama jak palec!



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cortez oniemiał z przerażenia. Po chwili wykrztusił z niedowierzaniem:

- Sama?

- Już tam jadę - obiecał Drake. - Ty zajmij się aresztowaniem siostry Bennetta. Zaufaj mi. Potrafię zadbać o bezpieczeństwo Phoebe!

- Dobra - odparł z ciężkim sercem Cortez.

- I jeszcze jedno. Phoebe i ja przyjaźnimy się, to wszystko - dodał oschle. - Wcześniej nic nas nie łączyło. Zastanawialiśmy się, czy ty i Tina...

- Jesteśmy ciotecznym rodzeństwem - przerwał Cortez z ponurą miną. - Nasi ojcowie to rodzeni bracia.

Drake poczuł się podle.

- Tina była wobec Phoebe napastliwa, po prostu wroga. Jedyne rozsądne wytłumaczenie wydawała nam się zazdrość o ciebie. Spędzałeś z Phoebe dużo czasu. Tina zaczęła nagle wynosić cię pod niebiosa. Nie mogła się dość nachwalić twoich zalet. Phoebe i ja zaczęliśmy wątpić, czy jesteście aż tak blisko spokrewnieni.

- Była zazdrosna, kretynie! - zachnął się Cortez. - Jest w tobie zakochana! Dobięło go przeciągle westchnienie.

- Ona mnie...? Co ty? Nic bujasz? Naprawdę mnie kocha?

Cortez uśmiechnął się mimo woli.

- Była zdruzgotana, kiedy zobaczyła, że całujesz Phoebe w aucie.

- Tak? - Drake natychmiast poweselał. - Cmoknąłem ją tylko w policzek.

Cortezowi zrobiło się lekko na sercu. A więc to było zwykłe nieporozumienie. Teraz na pewno odzyska Phoebe. Wszystko jej wytłumaczy. Ale zanim do tego dojdzie, musi dopilnować, żeby nic jej się nie stało.

- Jedź do Phoebe i uważaj na nią! Wracamy do pracy.

- Tak jest.

- Zostań na nasłuchu. Niech twoi ludzie namierzą tę czarną terenówkę. Wpadnę na posterunek, wezmę paru ludzi i pojedę z nimi do domu Bennetta, żeby aresztować Klaudię. Mieszka u brata.

- Rozumiem.

Połączenie zostało przerwane. Cortez wskoczył do auta i ruszył w drogę, przekraczając wszelkie ograniczenia szybkości.

Phoebe była zadowolona, że ma trochę czasu dla siebie. Zerwanie z Cortezem,

bezpodstawna napaść Tiny oraz nerwowa atmosfera w pracy całkiem ją wyczerpały. Od kilku dni planowała, że weźmie się do odkładanego z powodu nadmiaru zajęć przycinania krzewów w różanym ogrodzie. Nie mogła jednak od razu zabrać się do pracy, bo miała na sobie cienkie szare spodnie, białą bluzkę i marynarkę oraz czółenka na płaskim obcasie. Najpierw musiała się przebrać. Postanowiła także zabrać do ogrodu pistolet otrzymany od Drake'a, choć wątpiła, żeby morderca odważył się zaatakować ją w świetle dnia.

Weszła do domu, powiesiła zakiet i płaszcz, odłożyła torebkę. Idąc z holu do kuchni usłyszała nagle złowieszczy trzask.

- Stój, bo strzelam - dobiegł ją zza pleców kobiecy głos.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Usiłowała odwrócić się powoli.

- Nie radzę - ostrzegła kobieta lodowatym tonem. - Mam już na swoim koncie jedno morderstwo, a praktyka robi swoje. Nie zawaham się przed drugim. Idź prosto przed siebie do tylnych drzwi. Nie zatrzymuj się po drodze.

- Mój płaszcz... - zaczęła Phoebe.

- Tam, gdzie zamierzam cię wyprawić, nie będzie ci potrzebny - padła sarkastyczna odpowiedź. - Otwórz drzwi.

Phoebe usłuchała. Serce jej kołatało. Czujnie rozważała wszelkie możliwości ucieczki, ale miała świadomość, że nie umknie przed kulą. Zacisnęła zęby. Może podczas jazdy...

Za domem stał czarny džip. Jasnowłosa kobieta otworzyła szeroko drzwi. Stała za daleko, żeby Phoebe zdołała wyrwać jej pistolet.

- Wsiadaj - rozkazała blondynka, wskazując auto ręką, w której trzymała broń.

Phoebe odwróciła się, żeby wsiąść do dzipa. Nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Powoli wracała do rzeczywistości. Poczowała, że samochód zwalnia i zatrzymuje się, więc otworzyła oczy. Jodły. Przyjechały do lasu. W pobliżu wznosiła się wysoka góra.

Klaudia Bennett - Walks Far otworzyła tylne drzwi. Nadal mocno ścisnęła pistolet.

- Wsiadaj - burknęła.

Phoebe kręciło się w głowie, było jej niedobrze, ale nic sobie z tego nie robiła. To jasne, że ta kobieta chce ją zabić.

- Wsiadaj! - krzyknęła gniewnie Klaudia, ciągnąc ją za nogę. - Ty i ten twój

kochaś z FBI wszystko zepsuliście! Cholera jasna, przez ciebie musiałam zabić Freda! Chciał wyjechać i zagarnąć wszystko dla siebie. Zamordował antropologa. Tłumaczyłam mu, żeby przez rok niczego nie ruszał, ale on był chciwy, no i sprzedał ci jedną figurkę. Bałam się, więc przyszło mi do głowy, żeby posłużyć się tobą i w ten sposób donieść na niego glinom. Ale to nie wypaliło. Wiedział, że go rozpoznasz zaczął panikować. Szykował się do ucieczki. Chciał mnie wystawie policji i wmówić wszystkim, że zamordowałam tego archeologa - ciągnęła drwiąco. - Nie zamierzałam gnić w więzieniu. Teraz Frank leży w kostnicy, i to przez ciebie. Jesteś ostatnim świadkiem. Jeśli cię zlikwiduję, niczego mi nie udowodnią. Trzeba cię usunąć. Nie chcę wylądować w pudle.

Phoebe myślała gorączkowo, ale udawała zamroczoną. Oparła się ciężko o bok auta, jakby nie była w stanie utrzymać równowagi.

- Rusz się! - wrzasnęła Klaudia, dźgając ją w bok lufą pistoletu.

Gdyby się odwrócić i wytrącić jej broń... Klaudia cofnęła się i uniosła pistolet. Phoebe powolnym ruchem odsunęła się od auta i ruszyła przed siebie piaszczystą drogą.

- Tam - rzuciła Klaudia, wskazując dębowy zagajnik z gęstym poszyciem.

Zapadał zmierzch. Padał śnieg. Temperatura spadła, wiał mroźny wiatr. Phoebe drżała w bluzeczce bez rękawów, zgrabiłymi dłońmi rozcierała pokryte gęsią skórka ramiona.

- Niedługo przestaniesz marznąć - zażartowała niewybrednie Klaudia. - Idź dalej.

- Co ci przyjdzie z tego, że mnie zamordujesz? - spytała Phoebe, starając się przemówić swojej prześladowczyń do rozumu. - Zaszyj się gdzieś i przeczekaj najgorsze. Polem sprawa przyschnie.

Możesz mnie rozpoznać. Ty jedna.

Postradałaś zmysły - mruknęła Phoebe. - Moim zdaniem policjanci już wiedzą, że jesteś zamieszana w morderstwa i wiedzą, jakim autem jeździsz. Gra skończona, choć nie chcesz tego przyjąć do wiadomości.

- Zwieję im. Na pewno się uda. Będą cię szukać, co spowolni pościg za mną - odparła chłodno z niezłomną pewnością siebie, która budziła lęk.

- Skoro zaczną mnie szukać...

- Nie od razu. Dziś wyrwałaś się do domu dużo wcześniej, prawda? Zadzwoiłam do muzeum, żeby cię namierzyć. Twoja asystentka bardzo mi pomogła.

- Uszczypliwym słowem towarzyszył urągliwy śmiech.

Weszły na stromą ścieżkę. Trudno było ocenić, jak głębokie są okoliczne jary i parowy. Masyw górski gęsto porastały krzaki ostrokrzewu. Wszędzie leżały zwalone pnie. Serce Phoebe biło coraz szybciej. Gdyby nagle przyspieszyła...

- Stój! - krzyknęła Klaudia.

Phoebe czuła na plecach jej oddech. Trzeba działać szybko. Nie mogła zmarnować takiej sposobności.

- Na kolana! - padła następna komenda. Phoebe śmiało odwróciła głowę.

- Nie masz odwagi spojrzeć mi w oczy, kiedy będziesz strzelać? - spytała prowokacyjnie i uśmiechnęła się kpiąco.

Oczy Klaudii pociemniały ze złości.

Kłękaj! wrzasnęła, unosząc wyżej pistolet.

- Masz ostatnią szansę, żeby uniknąć kary śmierci - ciągnęła Phoebe, opadając na kolana. Serce kołatało jej w piersi. Być może miała przed sobą zaledwie kilka minut życia. - Gdybyś sobie odpuściła...

- Jestem morderczynią! - rzuciła rozwścieczona Klaudia. - Co mi szkodzi znowu pociągnąć za spust? Wyrok śmierci można wykonać tylko raz.

Phoebe postanowiła wyciągnąć z rękawa ostatniego asa.

- Mój narzeczony jest w FBI - przypomniała, drżąc ze strachu i zimna. - Jeśli mnie zastrzelisz, nie spocznie, póki cię nie dopadnie, choćby to miała być ostatnia sprawa, którą poprowadzi. - Wiedziała, że to prawda. Była idiotką, podejrzewając go o zdradę. Kochała go ze wzajemnością. Wiele by dała, żeby teraz po raz ostatni wyznać mu miłość.

- Co mi tam - mruknęła obojętnie Klaudia. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i opuściła lufę, trzymając Phoebe na muszce.

Phoebe usłyszała wiele mówiące westchnienie. Zdawała sobie sprawę, że nadchodzi rozstrzygająca chwila. Miała ostatnią sposobność ucieczki. Moment wahania równał się śmierci. Błyskawicznie rozważyła konsekwencje desperackiej próby. Ostatecznie umrze niezależnie od tego, czy spróbuje ucieczki, czy też zrezygnuje z tego pomysłu. Wbrew temu, co słyszała na temat ostatnich chwil, całe życie nie przemknęło jej wcale przed oczami. Nie miała czasu na wspomnienia. Skupiła się na jednym.

Westchnęła, prosząc Najwyższego o pomoc, obróciła się i z całej siły podbiła barkiem przedramię Klaudii, która wrzasnęła ze strachu i bólu. Ciężki pistolet

wystrzelił w powietrze, spadł na strome zbocze i stoczył się, znikając wśród zbutwiałych gałęzi i liści.

Klaudia oniemiała ze zdumienia. Phoebe wykorzystała chwilową przewagę i co sił w nogach popędziła na skraj pochyłości. Rzuciła się w zarośla, koziołkując wśród gęstego poszycia. Miała wrażenie, że spada tak całą wieczność. W głowie jej się mąciło, nic nie widziała. Ale zdołała uciec, choć jeszcze nie mogła czuć się bezpieczna. Oby tylko Klaudia nie miała w bagażniku drugiego pistoletu! Jeśli zostanie bez broni, nie wszystko jeszcze stracone.

- Nie! - piekliła się jej prześladowczym. - Ty cholerna suko!

Phoebe schowała głowę w ramionach i przypadła do ziemi, nie zwracając uwagi na wzmagające się mdłości. Żołądek podchodził jej do gardła. Przymknęła oczy i myślała o Cortezie. Wspominała dzień, kiedy się poznali, jego siłę i opiekuńcze ramiona. kochała tego mężczyznę do szaleństwa.

- Dopadnę cię! - wrzeszczała Klaudia. Zeszła niżej i grzebalna w stosach liści, szukając pistoletu. Niebo jeszcze bardziej się zachmurzyło i pociemniało. Padał coraz gęstszy śnieg.

- Wracaj tu! - darła się rozzłoszczona nie na żarty Klaudia. Przerwała poszukiwania i dyszała ciężko ze zmęczenia. Toczyła wokół oszalałym spojrzeniem.

- Niech cię diabli! - klęła. - I tak zamarzniesz na śmierć. Nie wiesz, gdzie cię przywiozłam. Zgnijesz tu, suko!

Pędem wróciła do samochodu, wsiadła, uruchomiła silnik i odjechała z rykiem, wyrzucając w powietrze tumany ziemi.

Phoebe odczuwała pokusę, żeby natychmiast zerwać się na równe nogi, biec śladem dżipa i w ten sposób odnaleźć drogę do domu. Obawiała się jednak, że Klaudia za chwilę wróci i spróbuje dokończyć dzieła.

Miała rację. Pięć minut później usłyszała znowu ryk silnika terenówki wracającej leśną drogą. Auto zatrzymało się na skraju urwiska. Długie światła przebiły ciemność. Phoebe rozpląszczyła się na ziemi i leżała nieruchomo. Dżip stał tak pięć minut. Nagle silnik zaryczał. Klaudia zawróciła i odjechała.

Phoebe odczekała jeszcze kilka minut. Padał gęsty śnieg. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak się ochłodziło. Gdyby przyszło jej spędzić noc pod gołym niebem, najpewniej zamarzłaby na śmierć. Trzeba iść wzdłuż kolein wyłobionych oponami dżipa. Cortez i Drake na pewno zaczęli jej szukać. Może trafi na policyjny radiowóz? Szła szybko w nadziei, że energiczny marsz ją rozgrzeje. Nagle usłyszała dobiegającą z

oddali piosenkę śpiewaną po irokesku. Uśmiechnęła się i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. Wkrótce stanęła na rozwidleniu dróg. Śpiew dobiegał z prawej strony, więc bez wahania tam skręciła. Powtarzała sobie, że ma duże szansę wyjść cało z opresji.

Cortez uspokojony obietnicami Drake'a skupił się na dochodzeniu. Gdy przyjechał z policjantami do domu Bennetta, nikogo tam nie zastał. Drzwi garażu były otwarte. Dżip Klaudii zniknął. Ogarnęły go złe przeczucia.

Wyjął komórkę i chciał zadzwonić do Drake'a, lecz nim wybrał numer, rozległ się przenikliwy sygnał.

- Tak? - Cortez natychmiast odebrał.

- Mówi Drake - usłyszał głos zdradzający napięcie. - Phoebe tu nie ma.

To jakiś koszmar, pomyślał Cortez. Ukrył zdenerwowanie, choć serce kołatało mu jak oszałałe.

- Przeszukałeś dom?

- Zajrzałem wszędzie. Jej torebka i kluczyki do auta leżą w holu.

Wyszła bez nich. Zapewne trzymana przez kogoś na muszce.

- Dokąd ta Bennett mogła zabrać Phoebe? Masz jakiś pomysł, gdzie ich szukać?  
- zapytał bez żadnych wstępów. - To musi być odludne miejsce.

- W górskich okolicach nie brak takich zakątków - mruknął bezradnie Drake. -  
Próbowałem namierzyć jej auto, ale nie mam żadnego sygnału.

Cortez odetchnął głęboko.

- Jadę do Bennetta - oznajmił. - Może coś nam podpowie. Nie robię sobie wielkich nadziei, ale trzeba spróbować. Jak tylko się czegoś dowiem, natychmiast dam ci znać. Macie tu helikopter?

- Jasne! Trzymamy go w letniskowej rezydencji Batmana razem z amfibią oraz limuzyną Jamesa Bonda - odparł ironicznie Drake.

- Przepraszam - zreflektował się Cortez.

- Zadzwonię do wojska i poproszę o pomoc. Na pewno w najbliższej bazie mają helikoptery.

- Owszem, ale w taką pogodę żaden pilot nie poleci. Jest zadymka, w górach okropnie wieje - tłumaczył Drake.

- Cholera jasna!

- Pogadam z szeryfem. Niech nam podeśle konny pluton. Poprosimy też o pomoc górskich ratowników. Ich szef to równy gość. Na pewno nic odmówi. Już

dzwonię.

Dzięki, Drake mruknął Cortez. - Jadę do Bennetta.

Jeb Bennett siedział w przyczepie i sącył whisky. Był sam. Z powodu kiepskiej pogody wstrzymano wszystkie prace budowlane. Zdziwił się, gdy w drzwiach stanął Cortez.

- Oskarży mnie pan o współudział? Jestem aresztowany?

Cortez podszedł do biurka.

- Pańska siostra uprowadziła Phoebe.

- Skąd ta pewność? - Bennett spochmurniał. Cortez w kilku słowach opowiedział mu o wydarzeniach dzisiejszego popołudnia.

- Rany boskie! - Zdruzgotany Bennett zacisnął powieki.

- Proszę mnie posłuchać! - Cortez przywołał go do porządku. - Mogę pomóc Klaudii. Jest szansa, że uniknie kary śmierci. Sprawia wrażenie niepoczytalnej. Uratujemy ją, ale musi pan mi pomóc!

- Co mam zrobić? Nie wiem, gdzie ona jest!

- Niech pan się zastanowi. - Cortez nie dawał za wygraną. - Na pewno wybrała jakieś odludne miejsce, żeby zabić Phoebe i ukryć ciało. Dokąd mogła pojechać?

Zasępony Bennett utkwiał wzrok w blacie biurka.

- Coś mówiła... Ma ulubioną polanę, choć lak w ogóle nienawidzi tych stron. Pewnie dlatego kręciła z Fredem. Obiecał jej światowe życie...

- Ale gdzie jest ta ulubiona polana? - dopytywał sio Cortez.

- Na terenie Parku Narodowego Yonah - odparł Bennett. - Prowadzi tam całkiem przyzwoita droga, bo w głębi lasu były dawniej złotonośne działki. Stoją tam jeszcze domy, które można wynająć i urządzić sobie piknik. Sądzę, że Fred tam mieszkał, kiedy się od nich wyprowadził. Na pewno nie wynajął pokoju w mieście. Walks Far sprawdził wszystkie motele, kiedy Kludii wymknęło się, że Fred przyjechał w te strony.

W Cortezie zaświtała nadzieja. Wiedział, gdzie to jest. Spory obszar do przeszukania, ale da się zrobić.

- Dzięki - powiedział do Bennetta. - Obiecuję panu wszelką pomoc. Siostrze też. Byle tylko Phoebe nie stała się krzywdą.

Bennett miał złe przeczucia. Znał siostrę, wiedział, do czego jest zdolna. Bał się myśleć, jak to się skończy.

Phoebe usłyszała wrzask dzikiego kota i zamarła w bezruchu. Nasłuchiwała. W

lesie panowała cisza mącona jedynie szelestem padającego deszczu zmieszanego ze śniegiem. Było jej okropnie zimno. Szybkim marszem ruszyła dalej, wymachując ramionami, żeby się rozgrzać. Bała się wychłodzenia organizmu. Gdyby przestała się ruszać, popadłaby w odrętwienie, a potem w głęboki sen, z którego już by się nie obudziła. Bezruch oznaczał śmierć.

Mokry śnieg zasypywał ślady opon, lecz jego biel rozświetliła las, więc łatwiej było teraz szukać drogi w zapadającym zmierzchu. Phoebe próbowała czymś zająć myśli. Doceniała potęgę wizualizacji i dlatego wyobraziła sobie, że jest w domu, półsenna siedzi na kanapie przed kominkiem, a Cortez trzyma ją w objęciach albo sadza sobie na kolanach. Nadstawiała uszu, bo miała nadzieję, że znów dobiegną ją dźwięki irokeskiej piosenki. Daremnie. Głosy umilkły.

Szła dalej, skupiona na przesuwaniu stóp. Jedna, druga... jedna, druga. Byle dalej, byle do przodu. Wszystko wokół pobiełało. Z obawą patrzyła na las, który wydawał się bezkresny. Żeby nie oszaleć z przerażenia, analizowała swoje niedawne zachowanie. Czy ucieczka była najlepszym wyjściem? Może należało raczej biec do dżipa. Musiałaby mocniej odepchnąć jego właścicielkę, która stała jej na drodze. Tamta była wyższa, a poza tym Phoebe nadal odczuwała skutki mocnego uderzenia w głowę. Miała mdłości, które pod wpływem przejmującego zimna prawie ustąpiły. Phoebe wiedziała, że nic mogły odjechać zbyt daleko od głównej drogi, więc raz po raz przystawała, żeby nasłuchiwać. Gdyby usłyszała przejeżdżające auta, wiedziałaby przynajmniej, że idzie we właściwym kierunku. Nie miała pojęcia, jaki dystans dzieli ją od szosy i ludzkich osiedli. Jeśli to kilka czy nawet kilkanaście kilometrów, mogła spokojnie pożegnać się z życiem.

Cortez sprawnie zorganizował akcję ratunkową. Szybko zebrał potrzebny sprzęt i ludzi. Zirytował się, gdy szeryf nakazał założyć łańcuchy na koła wszystkich aut, ponieważ stracili na to sporo czasu. W duchu przyznał mu jednak rację. Na górskich drogach trudno jechać bez łańcuchów. Lepiej zadbać o to zawczasu, niż ryzykować niebezpieczny poślizg.

Wkrótce jechał już z szeryfem przez las. Padał gęsty, mokry śnieg.

- Szukamy igły w stogu siana - mamrotał nerwowo ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

- Mamy tutaj ładny kawałek lasu - przytaknął szeryf. - Prawdopodobnie Klaudia Bennett zabrała pannę Keller w okolicę, którą dobrze zna. Mieszka tu od niedawna, pewnie trzymała się łatwo dostępnych dróg. I bardzo dobrze.



- Szkoda, że nie możemy użyć helikoptera - denerwował się Cortez. - Łatwiej byłoby nam znaleźć Phoebe.

- To bardzo rozsądna dziewczyna. Tak mi się wydaje.

- Ma pan rację. Na dodatek antropolog i archeolog, więc nawykła do pracy w terenie. Leśne drogi i dzika przyroda to dla niej nie pierwszozna. - Cortez zmrużył oczy. - Jeśli zdoła uciec Klaudii, będzie szła, póki starczy jej sił. Poszuka drogi do domu.

- Tak pan sądzi? Może poszuka raczej jakiejś kryjówki?

- Wątpię - oznajmił Cortez. - Jest zbyt wilgotno, żeby rozpalić ogień, a noc spędzona w taką pogodę pod gołym niebem to wielkie ryzyko. Phoebe spróbuje wrócić do głównej drogi. Jestem tego pewny.

- O świcie posłę w góry samolot zwiadowczy, choćbym miał zarekwirować maszynę i porwać pilota - obiecał szeryf. - Jakoś znajdziemy pannę Keller.

- Proszę wywołać konny patrol. Chłopaki przeczesują okolicę. Może trafili na jakiś ślad.

Szeryf natychmiast sięgnął po mikrofon.

- Właśnie o tym pomyślałem.

Policjanci kawalerzyści nie mieli dla nich żadnych nowin. Ratownicy z górskiego pogotowia również szukali daremnie. Ciemność utrudniała akcję, choć warstwa śniegu rozjaśniła nieco gęsty las. Mieli do przeszukania wielki obszar, zachodziła obawa, że nie natrafią na ślad Phoebe Keller albo się z nią rozminą.

Cortez ożywił się, gdy oficer dyżurny wywołał szeryfa.

- Mamy wiadomość od jednego z patroli - meldował policjant. - Turysta nocujący w dawnym górniczym osiedlu widział dzipa jadącego w stronę polany i urwiska za opuszczoną osadą. Samochód wkrótce odjechał ku głównej drodze.

- Już tam jadę. - Szeryf zahamował i ruszył we właściwym kierunku.

Cortez spojrzał na niego z uśmiechem. Nareszcie wpadli na właściwy trop! Byle tylko znaleźli Phoebe całą i zdrową... Ona musi żyć.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Phoebe czuła się coraz bardziej znużona. Cieszyła się dobrym zdrowiem i miała mocne nogi, ale wysiłek fizyczny nadwładził poważnie jej siły, zwłaszcza że tego dnia zjadła tylko śniadanie. W porze obiadu nie była głodna, dlatego zrezygnowała z posiłku. Zużyła wszystkie rezerwy życiowej energii i popadała w skrajne wyczerpanie. Nagle wyszła na krzyżówkę. Leśne drogi wiodły w cztery strony świata. Popatrzyła na bezkres ośnieżonego lasu i poddała się czarnej rozpacz. Ślady opon zniknęły pod śniegiem, nie miała pojęcia, która odnoga zaprowadzi ją w bezpieczne miejsce.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i z ciężkim westchnieniem usiadła pośrodku leśnego skrzyżowania, a potem zwinęła się w kłębek i przymknęła oczy. Słyszała, że śmierć przez zamrożenie jest bezbolesna. Miała nadzieję, że to prawda. Wyobrażała sobie, jak Cortez będzie ją wspominał. W ostatnim przeblasku świadomości pojęła, że oddalili się od siebie z powodu błahych, wręcz idiotycznych nieporozumień, które miłość wkrótce by przewyciężyła. Byli razem krótko, ale przynajmniej zaznała prawdziwego szczęścia, zanim Tina i Drake popsuli wszystko swoją podejrzliwością. Żałowała teraz niektórych decyzji, no i powinna była wykazać się większym zdecydowaniem. Należało pójść do Corteza i zmusić go, żeby jej wysłuchał. Teraz będzie musiał żyć ze świadomością, że ją zawiódł i opuścił w potrzebie, a na domiar złego niesprawiedliwie ocenił. Wyszepiała jego imię, odetchnęła głęboko, a zaraz potem ogarnęła ją ciemność.

Cortez siedzący w samochodzie szeryfa gryzł palce ze zniecierpliwienia. Tuż za dawnym górniczym osiedlem droga rozwidlała się na wiele odnóg. Jak *znaleźć* tę właściwą?

- Stańmy - rzucił do szeryfa.

Wyskoczył z samochodu. Nisko pochylony uważnie szukał śladów. Śnieg pokrywał wszystko, ale pod nim musiały zostać wyraźne ślady opon dżipa, skoro świadek twierdził, że widział auto jadące w tę i z powrotem.

Szeryf także wysiadł, zgiął się wpół i wypatrywał najmniejszej wskazówki. Ostrożnie rozgarnął naniesione wiatrem liście, które pokrył śnieg.

- Poluje pan, zgadłem? spytał Cortez.

Od wczesnej młodości. Szuka pan śladów opon?

Owszem. To nasza jedyna szansa. Obaj pochylili się nisko i w świetle latarek badali kolejne drogi. O tej porze roku mało kto nimi jeździł, toteż mieli ułatwione

zadanie.

- Jest! - zawołał Cortez i skinął na idącego za nim szeryfa.

Pod rozgarniętym śniegiem znalazł świeży ślad opony z uszkodzonym bieżnikiem. Pospieszenie wyjaśnił, w czym rzecz, a szeryf, śledzący uważnie postępy w dochodzeniu, natychmiast skojarzył fakty.

- Szczęście w nieszczęściu, że ta podła baba jeszcze nie zorientowała się, co jest z tą oponą. Dzięki temu łatwo ją namierzyć - mruknął.

- Owszem. Jedźmy! - Cortez wyprostował się i pobiegł do samochodu.

Zdawał sobie sprawę, że Klaudia Bennett mogła już zabić Phoebe, ale nie dopuszczał do siebie tej myśli. Na razie szukali zaginionej dziewczyny. Trzymał się tej hipotezy, by nie zwariować ze strachu i nie poddać się rozpacz.

Śnieg sypał coraz gęściej. Jechali ostrożnie. Szeryf zwalniał na zakrętach. Obaj z Cortezem wytężali wzrok. Przyspieszyli nieco, gdy znaleźli się na płaskowyżu. Droga biegła prosto aż po horyzont.

Oficer dyżurny ponownie wywołał szeryfa.

Im dłużej mówił, tym w większe było zdumienie słuchacza. Cortez tylko się uśmiechał.

- Dzwonił niejaki Redhawk z Oklahomy, prosił o przekazanie wiadomości dotyczącej śledztwa.

- Mów, kolego. O co chodzi? - niecierpliwiał się szeryf zdziwiony kpiącym wyrazem twarzy Corteza.

- Facet twierdzi, że macie szukać skrzyżowania dróg, przy którym rosną dwie ogromne sosny, jedna naprzeciwko drugiej. Pośrodku drogi leży zwalony pień. Tam znajdziecie pannę Keller. - Oficer dyżurny zamilkł na chwilę i odchrząknął nerwowo. - Ten Redhawk powiedział, że ona... jest w ciąży.

Cortez jęknął.

- Żyje? Spytajcie go, czy żyje!

Szeryf wybałuszył na niego oczy. Z głośnika dobiegło niezrozumiałe mamrotanie.

- Tak. Redhawk potwierdza...

- Bogu dzięki! - krzyknął Cortez, odwracając głowę, bo z radości i wzruszenia miał łzy w oczach, a nie chciał wyjść na mięczaka.

Szeryf niepewnie podziękował za informacje i wzruszył ramionami.

- Ten gość z Oklahomy to jakiś oszołom. Jasnowidz się znalazł. Sami

znajdziemy... - wymamrotał, zbity z tropu. Ledwie to powiedział, wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń i ujrzeli z daleka drogi przecinające się pod kątem prostym, dwie sosny, a pośrodku zwalony pień.

- Na miłość boska.! - krzyknął szeryf. - Kim jest lun Redhawk?

- To mój ojciec - odparł wesoło Cortez. - I szaman. Szeryf zerknął na niego z ukosa.

- Niesamowity facet. Chętnie bym go poznał - powiedział szczerze, pewnie prowadząc auto po wyboistej drodze.

Cortez wychylił się do przodu tak daleko, jak pozwalały mu na to pasy bezpieczeństwa. Zmrużonymi oczyma wpatrywał się w zaśniewany trakt. Nie odbieraj mi Phoebe, modlił się w duchu. Gdybym ją stracił, życie nie miałyby sensu.

Szybko zbliżali się do skrzyżowania. Ominęli zwalony pień.

- Hamuj! - krzyknął nagle Cortez. Szeryf zareagował natychmiast. Samochód zatrzymał się niespełna pół metra od skulonej postaci leżącej nieruchomo pośrodku drogi.

Cortez wyskoczył z auta i podbiegł do Phoebe. Chwycił ją w ramiona, śmiertelnie przerażony, że pomoc nadeszła zbyt późno, choć ojciec mówił co innego. Przytulił ją mocno do piersi.

- Phoebe, najdroższa, słyszysz mnie? - Szeptał jej do ucha łamiącym się głosem.

Ledwie wierzył swojemu szczęściu, gdy po dłuższej chwili poczuł na szyi jej oddech.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - jęknął, kryjąc twarz w jej włosach. - Phoebe, dziecino! Słyszysz mnie? Phoebe! Phoebe!

Z oddali dobiegło ją natarczywe wołanie. Poznała głos. Obejmowały ją mocne ramiona. Czyżby umarła? Nabrała powietrza, poczuła ból i zaniosła się kaszlem. Drżąc na całym ciele, otworzyła oczy i ujrzała wymizerowaną, smutną, najukochańszą twarz Corteza.

- Jeremiasz? - wymamrotała z uśmiechem i zimnymi palcami dotknęła jego policzka. - Czy ja umarłam i Jestem w niebie?

- Żyjesz, żyjesz - mruknął. - Ale z tym niebem to chyba strzał w dziesiątkę. Co za szczęście, że cię wreszcie znaleźliśmy. - Pocałował ją mocno, jakby chciał samego siebie przekonać, że najgorsze już minęło. Wargi miała chłodne, lecz oddała pocałunek. Mógłby tak trwać całą wieczność, ale to nie była odpowiednia pora na czułości. Puścił Phoebe, zdjął kurtkę i zarzucił jej na ramiona.

- Jak ciepło! - westchnęła z zachwytem.

- Omal nie zamarzałaś! - denerwował się Cortez, otulając ją starannie. Nie zważając na klucie w barku, wziął ją na ręce i ruszył do auta.

- Nie wolno ci forsować ramienia - sprzeciwiła się natychmiast. - Postaw mnie...

- Zamknij się - uciszył ją. Westchnął boleśnie, gdy uświadomił sobie, że nawet w takiej chwili Phoebe myśli o nim, nie o sobie. Kochała go. Był o tym przekonany. I on ją kochał sercem, ciałem i duszą. Całym sobą. Przytulił ją jeszcze mocniej.

Przy każdym kroku czuł przeszywający ból, ale dowlókł się do auta, dźwigając słodki ciężar. Szeryf otworzył drzwi i pomógł umieścić Phoebe na tylnym siedzeniu. Cortez zdjął jej buty i mokre skarpetki, a potem silnymi dłońmi rozcierał stopy, aż zrobiły się ciepłe.

- Ma pan koc? - zapytał szeryfa.

- Nie, ale w bagażniku leży śpiwór - padła odpowiedź. Policjant nacisnął guzik na desce rozdzielczej. Przyniósł śpiwór, a Cortez starannie owinął nim tułów i nogi Phoebe.

- Musimy natychmiast jechać do szpitala - zarządził. W tej samej chwili przypomniał sobie wspaniałą nowinę usłyszaną od ojca. Szczerze zdumiony popatrzył na Phoebe szeroko otwartymi oczami. Ciekawe, czy i tym razem ojciec się nie pomylił. Zwykle trafiał w dziesiątkę. Czyżby Phoebe naprawdę nosiła pod sercem jego dziecko? Był wdzięczny niebiosom, że pozwoliły mu ją ocalić, ale bał się uwierzyć w bezmiar swego szczęścia. Przecież ostatnie godziny były jednymi z najgorszych w jego życiu.

- Nie możemy teraz jechać do szpitala - zaprotestowała schrypniętym głosem Phoebe. - Wiem, gdzie upadł pistolet. Musimy go znaleźć. Jestem pewna, że z tej broni Klaudia zastrzeliła Nortona.

- Phoebe! - oburzył się Cortez.

~ W ostatniej chwili wytraciłam go jej z ręki gorączkowała się Phoebe. Opowiedziała krótko, jak udało jej się ocalić życie. Cortez pobladł i jeszcze staranniej otulił ją śpiworem.

- Powinien zbadać cię lekarz - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Później! - odparła zniecierpliwiona. - Nie mogę pozwolić, żeby ta kobieta ci się wymknęła tylko dlatego, że zabraknie narzędzia zbrodni. - Ponad ramieniem Corteza spojrzała na zakłopotanego szeryfa, który udawał, że nie słyszy sprzeczeki zakochanych. - Niech pan go przekona, proszę, to bardzo ważne - zwróciła się do

niego.

- Nie muszę. On to wie - powiedział, krzywiąc się paskudnie.

Cortez popatrzył na nią czule. Oczy mu błyszczały w przyćmionym świetle kontrolek radiowozu.

- Zgoda. Poszukamy miejsca, gdzie spadł rewolwer. Dzielna z ciebie dziewczyna - mruknął, spoglądając na nią z dumą i rozrzewnieniem.

- No to jazda! - ucieszył się szeryf. - Raz dwa się z tym uporamy.

Phoebe bez trudu doprowadziła ich na miejsce niedoszłej egzekucji. Od rozstajów dróg, gdzie ją znaleziono, dzieliło je niespełna pięć kilometrów. Szybko rozpoznała charakterystyczne punkty i wskazała kępę zarośli, w której zniknął pistolet. Szeryf zrobił notatki i ułożył na śniegu wielką strzałkę z patyków skierowaną grotem ku zaroślom wskazanym przez Phoebe.

- Świetny pomysł - pochwalił go Cortez.

- Zaraz ściągnę tu moją ekipę z wykrywaczem metali. Szybko znajdą broń - zapewnił szeryfa, a potem spojrzął na ukochaną. - A teraz zawieziemy cię do szpitala.

W tej samej chwili z lasu wyjechał radiowóz Drake'a, a za nim zielony dżip straży leśnej.

- W samą porę! - ucieszył się szeryf.

Phoebe rozkleiła się dopiero w izbie przyjęć, gdy czekała na lekarza, który miał ją zbadać. Ścisnęła kurczowo rękę Corteza, słuchając jego opowieści o akcji ratunkowej. Popłakując, opowiedziała mu o głosach, które skłoniły ją, żeby na pierwszym rozwidleniu dróg poszła w prawo, i o czarnej rozpacz, która dopadła ją na leśnej krzyżówce.

Drzemali przytuleni, gdy podszedł do nich młody lekarz.

- Co pani dolega? - spytał przyjaźnie. - Phoebe Keller, prawda? - upewnił się, spoglądając na formularz zgłoszeniowy.

- Zostałam porwana przez uzbrojoną kobietę - odparła rzeczowo. - Trzymała mnie na muszce i chciała zastrzelić. Najpierw zostałam ogłuszona ciosem w głowę. Nie mam pojęcia, czym go zadała. Kiedy się ocknęłam, okropnie bolało. Pojawiły się też mdłości. Ale największy problem to wychłodzenie organizmu. Prze - szłam kilka kilometrów w bluzce, cienkich spodniach i czółenkach na płaskim obcasie. Trzęsę się z zimna.

Młody lekarz początkowo nie traktował jej poważnie, ale zreflektował się, gdy Cortez pokazał mu legitymację FBI i wszystko potwierdził.

- Phoebe nie zmyśla. Została porwana przez morderczynię.
- Trup w jaskini? - rzucił domyślnie zaciekawiony młodzien.
- Jest pan na bieżąco - odparł z uśmiechem Cortez.
- Nazwisko wydawało mi się znajome. Pani jest antropologiem, prawda? Cała okolica o pani mówi. Kieruje pani naszym muzeum.

- Wszystko się zgadza.

Lekarz osłuchał ją natychmiast i zlecił dodatkowe badania. Cortez z czułością chwytającą za serce uprzedził, że pacjentka najprawdopodobniej spodziewa się dziecka. Spojrzał na nią tak, jakby miał paść na kolana i wyznać jej miłość.

- Ale... skąd możesz wiedzieć? - wykrztusiła, porażona jego słowami.

- Ja nie. Ojciec mi powiedział, gdy zadzwonił, żeby nam udzielić kilku wskazówek. Wskazał miejsce, gdzie należy cię szukać.

- Pański ojciec jest lekarzem? - spytał zaintrygowany stażysta.

Cortez odchrząknął z godnością.

- Nie, szamanem.

Młody lekarz rozpromienił się i przycisnął do piersi trzymane w ręku dokumenty.

- Chwileczkę! To on kazał pani włożyć do kieszeni dwie duże meksykańskie monety na chwilę przed tym, jak wywiązała się strzelanina - mówił, patrząc z ciekawością na Phoebe, która skinęła głową i zaczęła się śmiać. Zdziwiony Cortez bez słowa uniósł brwi. - Trzeba państwu wiedzieć, że cały personel naszego szpitala żyje teraz opowieściami o tym szamanie. Facet wie, co mówi. W takim razie robimy test ciążowy.

- Spojrzał porozumiewawczo na Corteza, który z uśmiechem wziął Phoebe za rękę.

- To moje dziecko - oznajmił chępliwie.

- Pobierzemy się w przyszłym tygodniu, czy moja pani tego chce, czy wręcz przeciwnie.

Stażysta zaśmiał się i odszedł, żeby załatwić formalności. Phoebe spoglądała z niedowierzaniem na Corteza. Serce biło jej jak szalone.

- Chcesz się ze mną ożenić? - szepnęła.

- No pewnie - odparł bez wahania.

- Przecież ani razu nie powiedziałeś... Dotąd nie rozmawialiśmy... Nie wydaje mi się...

Pocałował ją czule.

- Kocham cię całą duszą - szepnął. Ciemne oczy patrzyły na nią łagodnie i uroczyście.

- Kocham sercem, ciałem i umysłem. Chcę dzielić z tobą życie. Będę cię kochać aż po grób. Do ostatniego tchnienia i na tamtym świecie.

Daremnie próbowała powstrzymać łzy. Smukłymi palcami pogłaskała go po policzku.

- Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia - szepnęła. - Nigdy nie przestałam cię kochać, nawet wówczas, gdy myślałam, że mnie rzuciłeś dla innej.

- Wiesz, dlaczego tak postąpiłem - odparł.

- Nie miałem wyboru.

- Mały Joseph jest mi bardzo bliski - przyznała z uśmiechem.

- Będziemy mieć więcej dzieci. To dopiero początek - mruknął, głaszcząc ją po brzuchu.

- Co za radość! - westchnął.

- Tak. - Położyła dłoń na jego rękę. Patrzyli sobie w oczy, marząc o wspólnej przyszłości.

Gdy Phoebe znalazła się w separacie, musieli się opamiętać i wrócić do rzeczywistości. Rozdzwoniła się komórka Corteza, który natychmiast ją odebrał.

- Znaleźliśmy pistolet. Mamy też gipsowe odlewy śladów opon - raportował szeryf.

- Szukamy tej morderczyni. Wszystkie patrole są w terenie. Widziano ją na skraju miasta. Jak pan sądzi, gdzie nikt by jej nie szukał? Na jej miejscu właśnie tam bym się zaszły.

Cortez zastanawiał się przez chwilę.

- Macie jakiś pomysł?

- W domu panny Keller - odparł szeryf po chwili namysłu.

- Też tak sądzę. Zaraz tam pojedę. Spotkamy się przed ostatnim zakrętem.

- Przyślę do szpitala policjanta. Trzeba pilnować panny Keller.

- Nie będę się z panem spierać - odparł Cortez.

Zakończył rozmowę i podszedł do łóżka Phoebe. Dostała już środki nasenne i uspokajające, ale nie mogła zasnąć i nadal martwiła się o ukochanego.

- Nie waż się ryzykować, bo mi cię zastrzelą - upomniała go surowo. - Jeśli spodziewam się dziecka, a test ciążowy zapewne to potwierdzi, choć nie wiem, czy jest



do końca wiarygodny, nasz maluszek będzie potrzebował ojca!

- I matki, więc odpocznij. Musisz odzyskać siły - podkreślił z uśmiechem. - Zaraz przyjedzie tu policjant, który pod moją nieobecność będzie cię pilnować.

- Zgoda.

- Będę uważać - obiecał. - Nie możemy pozwolić, żeby nam się wymknęła - mruknął ponuro.

- No pewnie. Idź, a ja tu sobie poleżę. Zaraz podadzą kolację. Uwielbiam szpitalne jedzenie.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i ociągając się, wyszedł z separatki.

W chwilę później zajrzał tam młody lekarz.

- Mam dwie wiadomości.

Gestem dała mu znak, żeby kontynuował.

- Oczekuje pani dziecka. Uśmiechnęła się od ucha do ucha i położyła dłonie na brzuchu.

- A druga wiadomość? - dopytywała się niecierpliwie.

- Ma pani gościa. - Odsunął się, żeby wpuścić do środka wysokiego, szczupłego mężczyznę o srebrnoszarych włosach, ciemnych oczach i wysokich kościach policzkowych ubranego w elegancki garnitur z kamizelką. Nieznajomy wyglądał na Hiszpana.

Phoebe wpatrywała się w niego, nie kryjąc zaskoczenia. Lekarz uśmiechnął się tajemniczo i wyszedł, żeby dokończyć obchód.

- Witaj, Phoebe - powiedział mężczyzna. Jego akcent i maniery były nieskazitelne. - Podziwiam nie tylko twoje kwalifikacje i talenty, lecz także wytrwałość i odwagę.

- Przepraszam, my się chyba nie znamy - powiedziała, mrugając powiekami.

Machnął ręką na jej wątpliwości. Podszedł bliżej i stanął przy łóżku.

- Nieważne. Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Bałem się, czy zdążę na czas.

Phoebe z każdą chwilą była coraz bardziej zbита z tropu. Może to sen? Albo halucynacje?

- Byłem w Atlancie. Miałem tam przesiadkę, ale lot został opóźniony z powodu fatalnej pogody - tłumaczył nieznajomy. - Na wypadek gdyby nie mogli cię odnaleźć, zamierzałem na ochotnika przyłączyć się do ratowników. Bóg raczy wiedzieć, jak wytłumaczę dziekanowi moją nieobecność - dodał z ponurą miną.

- Jakiemu dziekanowi?

- Wykładałam historię na Uniwersytecie Stanowym w Oklahomie. Za cztery dni zaczyna się u nas sesja egzaminacyjna.

Phoebe oniemiała.

- Pan... jest...

- Ojcem Jeremiasza. Naturalnie - przytaknął z promiennym uśmiechem. - Szaman nie musi być wcale obwieszony grzechotkami, dzwonkami i amuletami. Wiesz, że skończyłem też antropologię? Zapowiadam się na fajnego dziadka, prawda?

Cortez przyjechał radiowozem na parking przed motelem, gdzie zostawił swoje auto. Tina zobaczyła go przez okno i przybiegła z Josephem na rękę.

- Znaleźliście ją? Żyje?! - krzyknęła.

- Będzie dobrze. Na noc została w szpitalu.

- Jest ranna? - wypytywała dręczona poczuciem winy.

- Raczej trochę poturbowana. Zrobią jej dokładne badania. Jest w ciąży. - Uśmiechnął się chełpliwie. - Będziesz miała kolejnego bratanka.

Tina wybałuszyła na niego oczy.

- Urodzi... twoje dziecko?

- Jasne, że moje! - odparł, spoglądając na nią z wyższością.

- Rany boskie! Dlaczego ja ubzdurałam sobie, że ona i Drake mają się ku sobie?

- Zakochanym czasami odbija - pocieszał ją Cortez. - Drake już wie, co do niego czujesz, i nie posiada się z radości.

- Naprawdę? Nie bujasz? - odchrząknęła nerwowo. - A wracając do Phoebe... Będę ją przeproszać na kolanach, obiecuję. Ależ byłam głupia... Dokąd jedziesz? - zapytała, gdy ruszył w stronę auta.

- Tropić podejrzaną. Zamknij się na klucz.

- Tak jest. Odebrałeś wiadomość?

- Jaką? Od kogo? - Cortez przystanął.

- Od twojego ojca - odparła z chytrym uśmieszkiem. - Jedzie tutaj!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Cortez wybuchnął śmiechem.

- Pewnie uznał, że sami nie poradzimy sobie z naszymi problemami - odparła pogodnie Tina. - Na pewno zaprzyjaźni się z Phoebe. Ona już teraz jest jego ulubienicą. Powiedział, że nie może się doczekać, kiedy ją zobaczy. Dodał jeszcze, że chce uczestniczyć w waszym ślubie i ma nadzieję zdążyć na czas.

Cortez od dzieciństwa przywykł do osobliwych sytuacji, które były następstwem wieszczego daru ojca, więc tylko kiwnął głową.

- Pobierzemy się za pięć dni. Bóg raczy wiedzieć, skąd ojciec o tym wie.

- Mogę przyjść na wasz ślub? - spytała nieśmiało Tina.

- No pewnie. Przecież Phoebe nie ma do ciebie pretensji.

- Bogu dzięki.

Ucałował Josepha, cmoknął Tinę w czoło i wsiadł do auta.

- Zobaczymy się później. Zaniknij drzwi na klucz, nie zapomnij.

- W porządku! - zawołała roześmiana i wróciła do pokoju.

Cortez z piskiem opon ruszył ulicą wylotową prowadzącą na pustkowie, gdzie stał dom Phoebe. Przed ostatnim zakrętem czekał na niego szeryf Steele oraz Drake i Jack Norris, agent do zadań specjalnych, oddelegowany z biura w sąsiednim okręgu.

- Sąsiad, który wczoraj dał nam znać, że Klaudia jedzie do domu Phoebe, dzwonił przed kilkoma minutami. Wróciła i nadal tam jest - poinformował szeryf. - Właśnie zastanawiamy się, w jaki sposób ją podejść.

- Atakujmy - nalegał wrogo usposobiony Cortez. - Nie mogę ryzykować, że ta podła baba znów nam się wymknie.

- Nie ma szans - zapewnił szeryf. - To jedyna droga. Piechotą nie da się uciekać w kopnym śniegu. Klaudia Bennett ledwie dojechała do domu Phoebe. Po śladach opon widać, że nie ustrzegła się poślizgu.

- Możemy otoczyć dom i zmusić ją do poddania, ale to wymaga czasu i posiłków - tłumaczył Cortez. - Ona nie ma nic do stracenia. Może znowu strzelić. Kolejne zabójstwo nie robi jej już różnicy.

- Duże ryzyko - mruknął Drake. - Ciągniemy zapalki, żeby ustalić, kto idzie pierwszy? Nie trzeba rzucić Cortez, ruszając w stronę auta. Sam pójdę. Norris, masz mnie ubezpieczać. Wsiadaj, będziesz prowadzić. Wskoczę przy starej studni na podwórku. Okrążysz dom. Głowę trzymaj nisko. - Popatrzył na szeryfa i Drake'a. -

Liczę na was. Gdyby próbowała ucieczki i jakimś cudem dotarła aż tutaj, musicie ją zatrzymać.

Obaj zgodnie pokiwali głowami.

- Jasne - rzucił szeryf. - Będziemy się trzymać twoich wskazówek. Powodzenia.

Cortez pożegnał się, unosząc dłoń. Norris, wysoki, ciemnowłosy agent, wskoczył za kierownicę. Cortez usiadł na fotelu pasażera.

Podjechali pod sam dom, w napięciu czekając, aż padną strzały, było jednak zupełnie cicho. Nikt się nie pokazał.

- Dobra. Podjedź teraz do tych sosen przy domu. Tam wyskoczę. Dadzą mi osłonę - powiedział Cortez do Norrisa.

- Co dalej?

- Zaparkuj przed jej terenówką, żeby nie mogła odjechać - polecił Cortez. - W razie czego będzie miała tylko jedno wyjście: jechać do lasu. Jakies trzydzieści metrów stąd jest stromy uskok. Parę dni temu, kiedy Phoebe była w pracy, z ciekawości przeszedłem się po okolicy i zrobiłem rozpoznanie terenu. To daje nam przewagę.

- Wiem, o którą stromizną ci chodzi. W dole jest spławny strumień.

- Nawet terenówka nie zjedzie po takiej pochyłości. Dobra. Tu będzie dobrze. Hamuj!

Norris zatrzymał auto. Cortez wyskoczył i wyciągnął służbowy pistolet. Chciał dostać Klaudie Bennett żywa., ale miał do czynienia z morderczynią, więc nie zamierzał ryzykować. Wbiegł na werandę i przez okno zerknął do środka. Dla odwrócenia uwagi Norris okropnie hałasował za domem, manewrując na zaśnieżonym podwórku.

Korzystając z tego, Cortez poruszył klamką. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchylił je ostrożnie, gratulując sobie w duchu, że włożył buty na gumowej podeszwie tłumiącej odgłos kroków. Miał nadzieję, że deski podłogi nie skrzypią.

Znieruchomiał, przymknął oczy i nasłuchiwał. Norris zaparkował auto i wyłączył silnik. Zrobiło się cicho. Cortez słyszał tylko szum wiatru w koronach drzew. Śnieg przestał padać, lecz nadal było wietrznie.

Wślizgnął się do środka. Z kuchni dobiegał cichy szmer. Cortez przeciął jadalnię i zajrzał do kuchni. Zobaczył kuchenkę, lodówkę i podłogę z terakoty oraz nieruchome stopy w eleganckich butach.

Spojrzał za ściankę oddzielającą salon i kuchnię. Automatyczny pistolet nadal trzymał w pogotowiu. Skrzywił się, widząc leżącą na podłodze Klaudie Bennett. Obok

niej dostrzegł pistolet, z którego strzelała Phoebe podczas swoich lekcji z Drakiem. Bluzka Klaudii z przodu była poplamiona krwią. Ranna spojrzała na niego szklistymi oczami.

Ukląkł obok niej i zawołał Norrisa, który wpadł do domu przez tylne drzwi i przybiegł do kuchni. W ręku trzymał pistolet, ale schował go, gdy zobaczył kobietę rozciągniętą na podłodze kuchni.

- Ktoś do pani strzelał? - zapytał Cortez. Westchnęła płytko.

- Prawie nie boli. Jakie to dziwne. - Słowom towarzyszyło kolejne westchnienie.

- Fred miał ukryć zabytki na rok... i dopiero wtedy je sprzedać. Głupek... Nie wytrzymał i poszedł prosto do miejscowego muzeum... Zaoferował figurkę... tej Keller.

- Próbowała wziąć głębszy oddech i skrzywiła się boleśnie. Krew płynęła coraz obficie.

Cortez wyciągnął rękę i chwycił kuchenny ręcznik leżący na blacie. Przycisnął go do rany, próbując zatamować krwawienie. Klaudia jęknęła.

- Wezwij karetkę - polecił Norrisowi.

- Nie warto - mruknęła. - Leżę tutaj dobry kwadrans. Celowałam w serce, ale ręka mi zadrżała, i trafiłam trochę powyżej brzucha. - Próbowała się roześmiać, ale zaczęła kasłać.

- Mój mąż.... znalazł nasz łup i zadzwonił do swego kuzyna archeologa. Bałam się. Powiedziałam Kredowi... Zatelefonowaliśmy do tego mężczyzny, podając się za policjantów. Umówił się z nami w hotelu. Gdy przyjechaliśmy, rozmawiał przez telefon. Nie wiem, z kim. Ledwie odłożył słuchawkę, Fred go zastrzelił. Zrobił prowizoryczny tłumik z litrowej butelki po napoju. Nasadził ją na lufę pistoletu. Patent się sprawdził. Nikt nie usłyszał wystrzału. Załadowaliśmy trupa do auta i pojechaliśmy za miasto. Wyrzuciliśmy go... na polnej drodze. Nie mieliśmy pojęcia... że jesteśmy w rezerwacie Czirokezów - dodała z żalem w głosie. - To jasne, że nie chcieliśmy wciągać w to federalnych.

Cortez miał nadzieję, że pogotowie zdąży na czas. Klaudia zebrała siły i podjęła opowieść.

- Fred oznajmił, że nie zamierza gnąć w więzieniu. Przeraził mnie. Zrozumiałam, że chce obarczyć mnie winą... a przecież byłam notowana. Musiałam coś zrobić. Podałam się za nauczycielkę, żeby porozmawiać z panną Keller. Imię i nazwisko wzięłam z gazety. Ta kobieta dostała ważną nagrodę za osiągnięcia dydaktyczne. Mniejsza z tym. Miałam nadzieję, że Panna Keller pamięta Freda i po rozmowie ze mną natychmiast zawiadomi policję... Ale wszystko potoczyło się inaczej.

- Wstrzymała oddech. Głos słabł. - Fred coś wyczuł. Oznajmił mi, że zabiera towar i znika, a ja pójdę siedzieć za morderstwo. Nie mogłam na to pozwolić. Zwabiłam męża do jaskini. Miałam nadzieję, że przy łapie Freda na gorącym uczynku, obezwładni go i odda w ręce policji. Ale Fred był sprytniejszy. Ogłuszył mojego męża i chciał go zabić. Miałam przy sobie broń. Powiedziałam Fredowi, żeby sprawdził, czy Walks Far nie ma podsłuchu. Wiedziałam, że to bzdura. Chciałam tylko, żeby Fred... się pochylił. Usłyszał. Strzeliłam mu w tył głowy.

- Można by to uznać za przypadek obrony koniecznej - mruknął Cortez. Spojrzał pytająco na Norrisa, a ten kiwnął głową na znak, że karetka i policja już są w drodze.

- Po zastrzeleniu Freda uświadomiłam sobie, że gliny wkrótce mnie namierzą. Musiałam im to utrudnić. Strach dodał mi siłę. Gdyby wtedy zaszła taka potrzeba, sama jedna dźwignęłabym szafę. Wpakowałam męża do furgonetki i zawiozłam go do przyczepy, w której mieści się biuro mego brata. Zapaliłam światło i zwałam, łudząc się, że zyskam na czasie i skieruję dochodzenie na fałszywy trop. Gdyby gliniarze uznali, że Walks Far bił się z Fredem, zastrzelił go, a potem dowlóknął się na budowę, daliby mi święty spokój. Tylko Panna Keller miała na mnie haka. Musiałam ją zabić, żeby nie zeznała, kto odwiedził ją w muzeum... Gdyby policja o tym wiedziała, zaraz skojarzyliby mnie z Fredem i kradzieżą zabytków.

Cortez starał się zapanować nad złością. Słuchał uważnie.

- Nic udało się. Panna Keller wytraciła mi z ręki pistolet. Upadł gdzieś w zaroślach i nie mogłam go znaleźć. Rzuciła się w dół i ukryła w poszyciu na stromym stoku, nie dotarłabym tam autem. Cóż było robić? Zabrałam się stamtąd i jechałam prosto przed siebie. Za jakiś czas w radiu podali, że Panna Keller została odnaleziona. Dla mnie to był koniec. Przyjechałam tutaj, żeby spokojnie pomyśleć, co dalej. Znalazłam jej pistolet. Był w szufladzie.

Klaudia przysporzyła cierpień wielu ludziom, a mimo to Cortez współczuł jej, bo sama była teraz w sytuacji bez wyjścia. Powróciło do niej całe wyrządzone zło. Ścisnął jej dłoń, zachęcając do dalszych zwierzeń.

Roześmiała się z goryczą.

- Doszłam do wniosku, że dalsza ucieczka i ukrywanie się nie mają sensu. Więzienie mnie przerażało. Walks Far opowiadał o nim straszne historie. - Skrzywiła się lekko. Szklistymi oczami spojrzała na Corteza i dodała szeptem: - Przepraszam... Może pan powiedzieć mojemu bratu i mężowi, że ich kocham i czuję się winna?

- Na pewno przekażę im pani słowa - obiecał przyciszonym głosem. - Chciałbym jeszcze zapytać... Jak dokonaliście włamania?

- Fred przebrał się za strażnika i podrobił legitymację firmy ochroniarskiej. Dzięki temu bez, przeszkód nocą weszliśmy do środka. Pomogłam mu wynieść eksponaty. Klaudia posmutniała i zamknęła oczy. - Szukałam mocnych wrażeń. Uwielbiałam ten dreszczyk emocji. Walks Far był taki zwyczajny. Zero fantazji. Marzyłam o przygodach, władzy, pieniądzach... - Westchnęła przeciągle i po raz ostatni otworzyła oczy. - Byłam... tak blisko... życiowego celu. Niech pan powie mojemu mężowi... Dawno temu powinien mnie rzucić. Nie protestowałam, kiedy po kradzieży biżuterii wziął winę na siebie i poszedł zamiast mnie do więzienia. Był notowany, a przecież nie popełnił żadnego przestępstwa. Największą jego winą była miłość do mnie. Taki z niego kochany... kochany głupek.

Powieki Klaudii opadły. Odetchnęła raz jeszcze i znieruchomiała. Cortez sprawdził puls. Przypuszczał, że śmierć nastąpiła z upływu krwi oraz na skutek wewnętrznego krwotoku. Usiłował przywrócić akcję serca, potem z wyciem syreny nadjechała karetka i lekarze natychmiast podjęli reanimację. Wkrótce ułożyli ranną na noszach i ruszyli do miejscowego szpitala.

Cortez zamknął dom, żeby zabezpieczyć ślady przed zadeptaniem. Wraz z Norrisem pojechał za ambulansem. Na miejscu dowiedział się, że w izbie przyjęć potwierdzono zgon Klaudii.

Cortez od razu poszedł do separatki, w której leżał Walks Far, by mu opowiedzieć, co się stało, i przekazać słowa Klaudii. Wkrótce zjawił się też Bennett.

- Razem . - Norrisem wysłuchaliśmy jej ostatnich słów dodał Cortez ze smutną miną|. Przedśmiertne zeznanie złożone w obecności wiarygodnych świadków ma taką samą wartość jak notarialnie potwierdzone pisemne oświadczenie. Radzę panu wynająć adwokata i zwrócić się do gubernatora z prośbą o uwolnienie od bezpodstawnych zarzutów. Norris i ja będziemy zeznawać na pańską korzyść. - Popatrzył na Bennetta. - Panu doradzam to samo. Warto odzyskać dobre imię, skoro to możliwe. Bardzo wam obu współczuję. Mój brat przez całe życie też miał kłopoty z prawem - dodał. - Czasami nie wystarczy szczerą miłość i troska rodziny, żeby uratować ukochanego człowieka od więzienia lub gwałtownej śmierci.

- Niestety ma pan rację - przyznał Bennett i uściśnął Cortezowi rękę. - Dzięki, że próbował pan ją ratować. Zastrzeliła się, prawda?

Cortez kiwnął głową.

- Z pistoletu Phoebe. Jeden z miejscowych policjantów dał go pannie Keller, żeby miała czym się bronić.

- Trudno zmienić wyroki losu, a za błędy trzeba w końcu zapłacić - oznajmił uroczyście Walks Far. - Byłem zakochany w Klaudii, ale ona nie wiedziała, czym jest prawdziwa miłość.

- Prosiła, abym przekazał wam obu, że was kochała. Przeprosiła za wszystko odparł Cortez. Pochylił się do przodu. Smutny Walks Far zdziwił się, czując na sobie jego przeszywające spojrzenie. Uratowała pana od śmierci, kiedy Fred postanowił pana zastrzelić. Nie musiała. Była już wtedy współwinna morderstwa. Jedna zbrodnia więcej niewiele zmieniała. Klaudia zabiła Freda, żeby pan ocalał. Walks Far zdobył się na uśmiech.

- Powiniennem być jej wdzięczny.

- Spokojnie wszystko przemyślcie - doradził Cortez obu mężczyznom. - Czas leczy rany.

Bennett w milczeniu pokiwał głową.

- Muszę zadzwonić do zakładu pogrzebowego, żeby... - Zawahał się i umilkł w pół zdania.

- Najpierw trzeba przeprowadzić sekcję zwłok - odparł Cortez. - Żaden sąd nie uwierzy mi na słowo, jeśli powiem, że podejrzana się zastrzeliła. Oczywiście może pan zwrócić się do zakładu pogrzebowego, żeby ją przewieźli do kostnicy. Ludzie ze stanowego zakładu medycyny sądowej będą wiedzieli, co dalej.

- Ciągle zastanawiam się, czy oszczędziłbym jej takiego losu, gdybym po pierwszej kradzieży nalegał, żeby poniosła konsekwencje swego postępowania. Wtedy broniłem honoru rodziny. Sam pan wie, co z tego wynikło.

- Takie dywagacje na nic się nie zdadzą. Trudno powiedzieć, co by było, gdyby... Należy pogodzić się z faktami i żyć dalej. To jedyne wyjście. Odezwę się do pana - zapewnił na pożegnanie. - Muszę jechać do Phoebe i sprawdzić, jak się czuje.

- Znaleźliście ją? - ożywił się Bennett. - Jest cała i zdrowa?

- U niej wszystko w porządku - zapewnił z uśmiechem. - Mamy przynajmniej jeden powód do radości w tej okropnej sytuacji.

- Bogu dzięki - mruknął Bennett. - Gdyby Panna Keller umarła, czułbym się winny do końca życia.

- Ja też cieszę się, że Panna Keller ma się dobrze - dodał Walks Far. - Powodzenia.



- I nawzajem - rzucił na odchodnym Cortez.

Gdy wszedł do separatki Phoebe, jego ojciec siedział na krześle przy szpitalnym łóżku. Twarz miał rozpromienioną. Przywitali się w języku Komanczów i uścisnęli serdecznie.

- Świetna dziewczyna. Masz moje błogosławieństwo - oznajmił pan Redhawk i spojrzał z ukosa na Phoebe. - Zastanawiam się, czegoś ty jej o mnie nagadał. Kiedy tu wszedłem, zrobiła wielkie oczy.

- Pewnie sądziła, że wparujesz do separatki w skórzanych spodniach i pióropuszu.

- Nieprawda! - oburzyła się Phoebe. Ojciec i syn wybuchnęli śmiechem.

- Mogę być twoim drużbą? - zapytał Redhawk, spoglądając na syna. - Przyjechałem na krótko. W przyszłym tygodniu mamy sesję egzaminacyjną, a o zastępstwie nie może być mowy.

- Do tego czasu będziemy świętować nasz miodowy miesiąc - zapewnił Cortez. Pochylił się i pocałował czule ukochaną.

- Gdzie zamieszkacie? - zapytał Redhawk.

- Ojej! No to mamy problem - wyrwało się Phoebe. Polubiła te okolice i nie chciała stąd wyjeżdżać.

Cortez wyduł usta.

- Mnie to obojętne. Wszędzie dobrze, byle z Phoebe. Ważne jest, żeby w pobliżu było lotnisko. Muszę przyznać, że polubiłem Chenocetah. Czirokezi są w porządku.

- Naprawdę? Mówisz serio? - Oczy jej zabłyśły.

- To dobre miejsce do wychowywania dzieci - ciągnął Cortez. - Joseph mógłby się nauczyć miejscowego języka.

- A ja przyjeżdżałbym do was na wakacje - dodał z uśmiechem jego ojciec.

- Świetnie gotuję - wtrąciła Phoebe. - Będę pana dobrze karmić.

- Chyba wyglądam na cherlaka - szepnął Redhawk do syna.

- Jesteś trochę za chudy - przyznał Cortez.

- W takim razie umowa stoi. Jak dacie na imię mojemu wnukowi?

Młodzi spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Wybaczcie - mruknął z przepraszającym uśmiechem. Pewnie chcieliście do narodzin pozostawać w błogiej nieświadomości.

Phoebe odchrząknęła nerwowo.

Pan uratował mi życie. Dwukrotnie. Może pan mówić, co się panu podoba.

Jestem pańską dłużniczką. Serdeczne dzięki!

Redhawk wybuchnął śmiechem.

- To świetny dar! Mogę paplać, ile wlezie, bez żadnych konsekwencji! Postaram się korzystać z tego roztropnie. Ja też dziękuję.

- Co się stało z siostrą Bennetta? - spytała nagle Phoebe, spoglądając na Corteza.

- Popelniła samobójstwo - odparł. - Później o tym porozmawiamy - dodał, nie chcąc jej mówić, gdzie umarła Klaudia. W domu na odludziu wciąż panoszyła się ekipa śledcza.

- Nie powinno być między nami żadnych sekretów - odparła z niepokojem.

- I nie będzie - zapewnił z uśmiechem. - Ale na razie nie mówmy o tym. Poczekajmy na odpowiedni moment.

- Tina dzwoniła - wtrącił Redhawk. - Chce odwiedzić Phoebe i przeprosić ją. Może przyjść?

- No pewnie - odparła bez namysłu. - Nie mam do niej pretensji.

- I bardzo dobrze - mruknął Cortez. - Biedaczka stale popłakuje po kątach.

- Zazdrość to prawdziwe piekło mruknęła Phoebe, spoglądając mu w oczy. Wiedziała, co mówi. Znienawidziła żonę Corteza, kiedy dowiedziała się o ich ślubie.

Oczy jej narzeczonego pociemniały.

- Tak - przyznał. Sam był do niedawna zazdrosny o Drake'a.

- Tina i Drake mogą przyjść na nasz ślub - oznajmiła wielkodusznie.

Cortez uśmiechnął się tylko.

Phoebe i Jeremiasz pobrali się kilka dni później. Alice Jones wróciła z ekipą śledczą do Oklahomy, a Cortez ustalił ze swoim szefem, że zamieszka w Chenocetah i stamtąd będzie współpracował z centralą. Od razu przydzielono mu ważną misję. Prowadził kurs dla oficerów lokalnej policji, ucząc ich metod stosowanych przez śledczych i siły porządkowe w indiańskich rezerwach. Po odbyciu szkolenia policjanci mieli utworzyć osobną komórkę w jednostce specjalnej do zwalczania przestępczości na terytoriach indiańskich, utworzonej przy FBI.

Tina i Drake pogodzili się w czasie pierwszych odwiedzin w szpitalu. Włożyli w to tyle serca, że o pamiętnej scenie pojednania personel medyczny plotkował cały tydzień. Tina przeprosiła Phoebe i płakała rzewnie na jej ramieniu, aż dotarło do niej, że wszystkie winy zostały darowane. Phoebe z każdym dniem darzyła coraz większą sympatią małego Josepha i przyszłego teścia. Specjalizował się w kolonizacji Ameryki

Północnej. Szczególnie interesowały go wojny Francuzów z Indianami prowadzone w latach pięćdziesiątych osiemnastego wieku. Karolina Północna była świetnym miejscem do takich badań, bo tu rozegrało się wiele ważnych wydarzeń.

Bennett, Yardley i Corland spokojnie kontynuowali inwestycje. Walks Far wystąpił o kasację wyroku. Bennett także podjął stosowne kroki, żeby oczyścić się z zarzutów.

Phoebe odebrała od znajomych ukochanego psa. Cortez wprowadził się do niej z małym Josephem. Hucznie obchodzili pierwszą wspólną Gwiazdkę. Zaprosili pracowników muzeum z rodzinami, Tinę i Drake'a oraz szeryfa Steele'a, który był kawalerem. Przyszło z nim paru oficerów miejscowego posterunku policji.

Phoebe ubrała w salonie ogromną choinkę. Indianie z pobłażliwym uśmiechem spoglądali na jej przedświąteczną krzątaninę, ale chętnie pomagali w pakowaniu prezentów. W Wigilię Cortez ofiarował żonie pierścionek z brylantem otoczonym rubinami.

- Jaki śliczny - szepnęła, z zachwytem dotykając lśniących kamieni.

- Rubiny mają kolor nieba tuż przed świtem - powiedział cicho, uśmiechnął się i skradł jej całusa. - Będą ci zawsze przypominać, że choćby noc była najstraszniejsza, w końcu nadejdzie brzask i nowy dzień.

- Nigdy nie wolno tracić nadziei - przytaknęła, spoglądając na niego pytająco. - Warto było, prawda?

- O czym mówisz?

- Mam na myśli dawne smutki i cierpienia - odparła. - W naszym przypadku sprawdziło się powiedzenie, że po burzy na niebie pojawia się tęcza. W moim życiu nastąpiła wreszcie piękna pogoda.

Znów pocałował ją czule.

- Z ust mi to wyjęłaś. - Objął ją mocno i przytulił do szerokiej piersi. Zamknął oczy.

- Wesołych Świąt.

- To moja najpiękniejsza Gwiazdka. - Wtuliła się w niego. - Mam nadzieję, że czeka nas wiele podobnych.

Joseph przydreptał do salonu. Na widok choinki i rodziców od razu się rozpromienił.

- Mikołaj wejdzie przez komin? - zapytał po chwili, mocno zaniepokojony, bo na kominku płonął ogień. - To parzy. Mikołaja będzie bolało. - Był tak przejęty, że

omal się nie rozplakał.

- Joseph nie chce prezentów!

Cortez podszedł do maluszka, wziął go na ręce i mocno przytulił. Roześmiana Phoebe opadła na kanapę.

- Posłuchaj, synku - tłumaczył Cortez. - Mikołaj ma czerwony kubrak z żaroodpornego materiału. To znaczy, że żaden ogień nie zrobi mu krzywdy. Daję ci słowo!

Joseph zamrugał powiekami, a potem uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, tato!

- Jeśli chcesz dostać prezenty, wracaj szybko do łóżka. Mikołaj czeka, aż zaśniesz, żeby je zostawić.

- Już idę! - zawołał Joseph. Zerknął w róg salonu na Jocka, który spał zwinięty w kłębek.

- Jock nie ugryzie Mikołaja?

- Ależ skąd! Bardzo go lubi - zapewnił Cortez.

- I nie pogoni renifera? - upewnił się jeszcze chłopiec.

- Co ty! To jego wielki przyjaciel - odparła Phoebe.

- No dobrze. - Joseph ucałował na dobranoc najpierw Corteza, a potem Phoebe. Zadowolony z siebie pomaszerował do sypialni w głębi korytarza. Wkrótce drzwi się za nim zamknęły.

- Kto tu jest żaroodporny? - mruknęła Phoebe, mrugając porozumiewawczo do męża. - Warto sprawdzić.

Gdy wyciągnęła ramiona, rzucił się w nie z radosnym westchnieniem. Nie zamierzał tłumić trawiącego go ognia namiętności.